

EINAR OLAFUR DAAMGAR

Od Zeusa do Jezusa

EINAR OLAFUR DAAMGAR

Od Zeusa do Jezusa

Z PRZYMRUŻENIEM OKA

Przedmowa

Gdyby na samym początku, ale początku pojawienia się człowieka, a nie stworzenia świata, istniała nauka, i gdyby człowiek rzeczywiście był efektem tzw. *boskiego projektu*, to więcej niż pewne, że nic nie byłoby w stanie podważyć tezy o istnieniu Stwórcy. Najprawdopodobniej mielibyśmy wówczas świat o wiele prostszy – z jednym uniwersalnym wyznaniem, w wyniku czego pozbawiony byłby on również jakichkolwiek wojen religijnych. Stało się jednak inaczej, czego dowodzi ewolucja, a potwierdza właśnie nauka. Można zatem przyjąć, że religia pojawiła się w pewnym momencie życia człowieka, jako jego duchowe zapotrzebowanie i jednocześnie odpowiedź na nurtujące go podstawowe pytania, dotyczące naszej egzystencji. Zapotrzebowanie to było, niestety, na tyle silne, że na przestrzeni wieków zaowocowało powstaniem wielu religii, wyznań i nierzadko absurdalnych wierzeń. Dlatego w tym miejscu można jedynie głęboko westchnąć: *Wielka szkoda, że tak późno pojawiła się nauka!* Z drugiej jednak strony lepiej późno, niż wcale. Znaczy to tyle, że głęboko wierzę, iż rozwój człowieka, jaki jest przed nim, doprowadzi go kiedyś do tego, iż wyzwoli się on z prymitywnych lęków i zabobonów, z infantylnej wiary w życie wieczne i związane z tym miłosierdzie jakiegoś wymagowanego boga. Czy otrzyma coś w zamian? Trudno powiedzieć. Wiele będzie zależało od niego samego. Ważne, żeby nigdy nie spoczął i zawsze szukał odpowiedzi. Choćby nigdy miał jej nie znaleźć. Istotne, żeby

jej szukał! Bo to będzie oznaczało, że jest istotą wolną.
Człowiekiem wyzwolonym! Myślącym!

Jeżeli niniejsze opowiadania i pomieszczone pomiędzy nimi moje przemyślenia egzystencjalno-religijne okażą się w jakiejś mierze pomocne komuś w jego poszukiwaniach owej odpowiedzi, będę ogromnie usatysfakcjonowany. Bo to będzie znaczyło, że swoje zadanie spełniłem. Nie tylko jako pisarz, ale również, a może nawet przede wszystkim, jako człowiek.

Autor

O naiwności – nie tylko na niedzielę

Wcześniej, gdy nas jeszcze nie było, bogowie i boginie również byli nieobecni, bo i po co? Nikt nie powoływał ich do życia, bo nie było takiej potrzeby. Po prostu nie mieli dla kogo istnieć. Dlatego śmiało można wysnuć z tego wniosek, iż są oni tak starzy, jak historia człowieka. Nie starsi!

Miliardy lat po tym, jak powstał wszechświat, po tym, jak ukształtowała się nasza przepiękna matka-Ziemia, po pojawieniu się pierwszych ludzi, a także z uświadomieniem sobie przez nich z czasem własnego bytu, pojawiać się zaczęły dręczące ontologiczne pytania: *Kim jesteśmy? Skąd się wzięliśmy? Czym jest życie? Po co i dlaczego w ogóle ono jest? Dokąd zmierzamy?* – itd., itp., krótko mówiąc – wraz z coraz większą samoświadomością, bez względu na długość i szerokość geograficzną, pojawiło się odpowiednie podglebie do powstania pewnego rodzaju wierzeń, które zaczęły tłumaczyć nam to, co tajemnicze, nieokreślone i pozostające poza naszym rozumem; wierzeń z całym panteonem bóstw tłumaczących nam, poprzez własne istnienie, naszą ludzką, cholernie niedoskonałą egzystencję.

Jacy byli ci nasi pierwsi bogowie? Oczywiście niezwykle okrutni, nierzadko, jak wykazuje historia różnych kultur, żądni krwi swoich ofiar. Składano więc je pod różnymi postaciami – tak zwierząt, jak i ludzi; a im w państwie działało się gorzej niż zwykle, albo w ogóle źle, tym czyniono to

gorliwiej. Robiono to naturalnie w jednym celu: wyblągania przychylności bóstw w takich obszarach życia jak deszcz, lepsze zbiory, czy wygrana bitwa. Generalnie jednak rzecz ujmując ci pierwsi bogowie byli tacy sami jak my. Dlatego można powiedzieć, że od tego momentu mamy do czynienia z czymś na kształt: ***I stworzyliśmy ich na wzór i podobieństwo swoje!***

W miarę rozwoju człowieka zmieniały się również jego potrzeby w zakresie transcendencji. I tak w pewnym momencie całe zastępy bóstw zostały ostatecznie zastąpione tym jednym jedynym, wszechmocnym, wszechmogącym, najdoskonalszym tworem – Bogiem osobnym, pojedynczym. Po to, żeby nie tylko było łatwiej żyć, czy wytłumaczyć niewytłumaczalne, ale również, aby łatwiej było umierać. Poza tym, jak się wkrótce okazało, monoteizm był logiczniejszy i łatwiejszy do obrony. W końcu samochód prowadzi tylko jeden kierowca, mimo że w środku autobusu osób z wymaganymi uprawnieniami do kierowania nim może być wiele. Dzieje się tak oczywiście dla dobra i bezpieczeństwa wszystkich pasażerów.

Podobnie jest z religią – tutaj również, wraz z rozwojem świadomości człowieka, niezbędny okazał się ten jeden jedyny Bóg, którego doskonałość można było łatwiej wytłumaczyć. Potrzebny był ktoś na wzór trybuna ludowego, taki szef wszystkich szefów!

Dziwnym zrzędzeniem losu, i to już od najmłodszych lat, nigdy nie należałem do tego typu ludzi, którzy karmią się, czy to ze strachu, czy też w wyniku głębokiego przekonania, złudzeniami dotyczącymi istnienia Boga, szczególnie takiego, jakiego przedstawiają nam różnego rodzaju monoteistyczne

religie. Nigdy nie odczuwałem jakiegokolwiek wewnętrznej potrzeby posiadania tego typu mentalnej podpórki, jako warunku poznania czy też zbliżenia się do niepodważalnej prawdy wyjaśniającej mi nie tylko moje, ale w ogóle istnienie jako takie. Zawsze świetnie obywałem się bez tej całej czarnej gadaniny tak o Nim, jak również o jakimś tam Szatanie i w ogóle o całym religijnym sztafażu, niewiele różniącym się od znanych nam mitów greckich, rzymskich, irańskich czy jakichkolwiek innych; zawsze jakoś podskórnie wyczuwałem w tym obszarze potężny fałsz ludzi w kapłańskich szatach, ich obłudę i totalne zakłamanie, i że oni sami nie są w stanie udzielić mi niepodważalnych odpowiedzi na temat prawdy absolutnej. I nie trzeba być tutaj wcale jakoś specjalnie bystrym i oczytanym, żeby dojść do takiego właśnie wniosku i dosyć szybko połapać się w krętactwach ludzi spod znaku krzyża, półksiężyca, czy dawidowej gwiazdy.

Spęd ludzi, niczym nawet nie baranków a baranów, do kościoła, synagogi czy meczetu, nie przybliży człowieka ani na jotę do jakiegokolwiek prawdy o istnieniu jakiegokolwiek boga. A wszelkie próby objaśnienia nam tego, co nie tylko *tutaj*, ale i *tam*, przy pomocy jakiegokolwiek transcendencji, to najzwyczajniej w świecie, z jednej strony cwaniactwo jednych, z drugiej zaś głęboka naiwność, podbudowana intelektualną bezradnością, drugich. To bardziej efekt naszego chęćstwa i wiara w świat wirtualny, który tak naprawdę jest niezmiernie odległy od naszej fizycznej rzeczywistości, niż prawda absolutna i niepodważalna. Należy bowiem zawsze pamiętać, że nasz świat, ten namacalny, to przestrzeń, w której nie brylują żadni aniołowie czy archaniołowie, to świat na wskroś ludzki, w którym każdy istniejący do tej pory bóg, to tak naprawdę

bardziej emanacja nas samych i naszych pragnień, niż rzeczywista postać samego Stwórcy, który zmieniał się na przestrzeni wieków relatywnie do zmian zachodzących w nas samych.

A tak poza wszystkim: jeżeli On rzeczywiście istnieje, to zasługuje bez wątpienia na znacznie lepszy wizerunek niż ten, jaki sami wykreowaliśmy na własne potrzeby. Ten obraz bowiem, który znamy, najzwyczajniej w świecie urąga Mu!

06.12.2015 r.

Przymierze

Było to dziwne miejsce. Dziwne, bo inne. Miejsce, o którym się człowiekowi nie śniło, o jakim w ogóle nie myślał. A nawet gdyby pomyślał, to by nie wiedział, za skarby, jak wygląda. Jest to bowiem jedno z tych miejsc, do których człowiek nigdy nie trafia – nawet wyobraźnią, bo nie dla śmiertelnych ono. Jest to miejsce – bez miejsca, można by powiedzieć. Ponieważ istnieje gdzieś tam poza czasem i przestrzenią, poza ludzkimi okolicznościami i zdarzeniami. Ale gdzieś istnieje. Może nawet tuż obok...?

– ...nie i jeszcze raz nie!

– A mogę się chociaż dowiedzieć, dlaczego?

– Bo nie! Kimże ty, do diaska, jesteś, że tak rządzić chcesz, hę?

– Nie pytaj się głupio, Arymanie. Gadasz, jakbyś mnie widział po raz pierwszy co najmniej.

– Pierwszy – nie pierwszy, nieważne. Ale widzę, że się wyłamujesz z umowy. Zaczynasz coś kombinować. A ja tego nie lubię, wierz mi.

– Co, straszysz?

– Uuu, od razu tak ostro. Po co? Nie to mi w głowie. Ale boję się, żeś już zapomniał, że razem mamy rządzić akurat *tym* światem! Jak przyjaciele, sprawiedliwie i, że tak powiem, demokratycznie!

– I co, ja niby nie chcę tak – sprawiedliwie, demokratycznie?

– Ano. Widzi mi się coś, że nie. No bo sam przyznaj: jest Królestwo Niebieskie Ziemi? Jest. Żyje tam ktoś? Nie. Chcesz stworzyć ludzi? Chcesz. No i w porządku, wchodzę w to! Ale powiedz mi, jeśli już tam mają być ci l u d z i e – jak chcesz ich nazwać – to dlaczego ty masz ich tylko tworzyć, hę? Pół na pół: ty, dajmy na to, mężczyznę, ja – kobietę. To rozumiem. To jest demokracja! No co, zgoda? – Aryman wyczekująco wpatrywał się w swojego rozmówcę.

Po dłuższej chwili zastanowienia Jahwe odparł:

– No... Zastanowić się trzeba...

– A nad czym się tutaj zastanawiać? – przerwał mu Aryman. – Są i żyją, albo ich nie ma i nie żyją – proste. Jak to, że świat jest w połowie twój, a w połowie mój.

– Odstąpię ci... – Jahwe patrzył teraz na Arymana spod przymkniętych powiek – dajmy na to... połowę niebios.

– Połowę powiadasz? – Aryman jakby ważył usłyszaną przed momentem niespodziewaną propozycję.

– Naturalnie. Tylko pozwól mi ich dwoje...

– Ty spryciarzu! Wiedziałem, że coś kombinujesz. Ale nic z tego, chłopieniu kochany, nie da rady. Zresztą, i tak mam dosyć kłopotów ze swoją połową niebios, więc po co mi całe? No, nie wydurniaj się, bądźże rozsądny. Nibyś mądry, potężny, a takie masz pomysły, że... Wstydz się! Mało ci władzy? Chciałbyś sam rządzić, hę?

– Mógłbym spróbować...

– Ale to oznacza walkę, wiesz o tym. Chcesz walczyć? Naprawdę? Przecież, jak dwa razy dwa – cztery, pewne, że nie wygrasz. Sam wiesz, że taka wojna jest bezsensowna – nie ma w niej wygranych.

– A gdybym się nie zgodził?

– Cóż, wtedy, kochanieńki... – Aryman zawiesił głos.

– Co *wtedy*? – niecierpliwiał się Jahwe.

– Właśnie to, czego powinniśmy uniknąć – walka.

– Słowem wojna.

– Ano. Tak czy inaczej.

– Ona to i tak będzie. Nawet gdybym się zgodził.

– I masz rację, mój ty wizjonerze! Tylko że ta byłaby dużo gorsza, bo między nami. Chodziłoby przecież o władzę, o panowanie nad światem – *tym światem*! Dlatego, jak wiesz, nie warto jej nawet zaczynać. Dysponujemy w końcu podobnymi siłami. Żaden z nas nie wygra. Zresztą, co to za Stwórca, który chce walczyć i niszczyć? Trochę to dziwne, nie uważasz?

– Walczyłbym w słusznej sprawie. Ze złem! Dla dobra tych, których bym stworzył.

– Oj, Jahu, Bożuniu kochany. Żał mi ciebie, wiesz? No pomyśl – przecież, gdyby było tak jak mówisz, to ci – jak ich tam nazwałeś – ludzie, albo by nie docenili tego twojego dobra – bo nie wiedzieliby, co to zło, albo...

– Albo?

– ...albo postępowaliby jak te maszyny posłuszne jedynie twojej woli. Zrobiłbyś z nich kretynów, zaprogramowanych, że się tak wyrażę, imbecylów. Oni muszą mieć wolną wolę! Wolę wyboru właśnie między dobrem, a złem. Między tobą, a mną. Inaczej nie warto ich nawet tworzyć, bo nie pojmą, że żyją.

Zapanowało niezręczne milczenie, które po chwili przerwał Jahwe.

– Wolna wola, mówisz. Może masz i rację.

– Oczywiście że mam! – ożywił się Aryman. – Pomyśl sam, przecież od nadmiaru tego dobra, jakie chcesz im zaserwować, mogłoby ich zemdlić i...

– Nie szarżuj, Arymanie. Ostrzegam cię!

– No dobrze, już dobrze. Może faktycznie trochę mnie poniosło.

– Ale, jak tak pomyśleć z drugiej strony, to mając prawo wyboru, będą ciągle narażeni na pokusy twoje szatańskie, Siło Nieczyste!

– Ale przynajmniej wtedy przekonasz się, ile naprawdę są warci.

– No tak. No tak – z nieskrywanym rozczarowaniem zgodził się z nim Jahwe.

Zapadła cisza.

– Widzisz, Bożuniu kochany – zaczął po dłuższym milczeniu Bóg Zła Aryman. – Jeden błąd popełniasz: na wszystko przez pryzmat dobra chcesz patrzeć. A tak nie można. Potrzebny dystans. Zachowaj go, a... Zresztą, sam wiesz, jak świetnie się uzupełniamy. Ani ty nie jesteś doskonały, a tym samym samowystarczalny we wszechświecie, ani ja. Słowem – zdrowa równowaga sił. Więc po co próbować to zmieniać? Mówię ci – ty stwórz mężczyznę, ja – kobietę. I zobaczymy wtedy, co dalej. Gdyby coś nie szło po myśli, to zawsze można co nieco zmienić – jakiś potopik, pożarek, albo małe trzęsionko. Zresztą – mrugnął porozumiewawczo – sam wiesz najlepiej, jak z tym jest. Co cię będę uczył. – Urwał, a po chwili: – No co, wchodzisz w to? I zastanawiaj się szybciej, bo nie mam za dużo czasu. A!, i pamiętaj – to jest jedyne słuszne wyjście. Niech oni sami martwią się tam o siebie. W końcu wszystko będzie zależało od

nich – jak sobie pościelą, tak się i wyśpią. Sprawiedliwie. Czyż nie?

– No, niby tak – odparł Jahwe nie do końca jednak przekonany o racji Arymana. – A jednak jakoś mi ich szkoda, żal...

– Szkoda, żal – też wymyśliłeś! Przecież ich jeszcze nie ma, czego tu żałować? Odkryjemy swoje karty, to się wtedy zobaczy jak będzie. Teraz żal jest i przedwczesny, i niepożądany. Ot co!

– No tak – skonstatował Jahwe. – No tak – powtórzył i nagle zamilkł.

Zapanowała cisza. Aryman nie chciał jej przerywać. Wiedział, że mogłoby to tego dobrodusznego osobnika, znajdującego się przed nim, tylko niepotrzebnie rozdrażnić. A wtedy – wtedy jego plany mogłyby wziąć w łeb. Dlatego teraz cierpliwie milczał. I czekał, uważnie obserwując Jahwe. Ten jednakże, mimo że nie do końca przekonany co do słuszności rozumowania Boga Zła, po dłuższej walce z samym sobą, powiedział w końcu:

– Zgoda. Przyjmuję twoje warunki, Arymanie.

– Wiedziałem żeś rozsądny gość! – ucieszył się Bóg Ciemnej Strony Życia. – Ani przez chwilę nie wątpiłem w twoją mądrość.

– Dobrze-dobrze, nie podbieraj mnie, Siło Nieczysta! I tak mnie nie przekonałeś. Spróbować jednak zawsze możemy.

– Pewnie! Świat od tego się nie zawali. – Aryman promieniał.

– Ja myślę – smętnie mruknął Jahwe, Bóg Światła i Miłości.

– No, to ja będę wodził ich na pokuszenie – jak to się mówi, a ty, naturalnie, będziesz ich zbawiał ode złego, tak? – zaśmiał się przymilnie Aryman.

Jahwe nie odpowiedział – w tym momencie nic nie słyszał i nie widział. Cały zatopiony był w swoich wizjach przyszłości.

– No, to ja zmykam do siebie – wyrwał go z zamyślenia głos Arymana. – Aha! I nie zapomnij: ty – mężczyznę, ja – kobietę!

– Dobrze, dobrze. Tylko ty idź już, idź! I daj mi pracować. Niech się w końcu zacznie to koło życia toczyć.

– Niechaj! – przytaknął ochoczo Aryman. – Odchodzę, Jahu. I niechaj ci się wiedzie! – Były to jego ostatnie słowa; po chwili zniknął, nie wiedzieć jak i gdzie, jakby rozpułnął się w powietrzu.

Bóg Światła i Miłości został sam. Wokół zapanowała niczym niezmacona, doskonała cisza. Przez dłuższy czas nieruchomo siedział głęboko pogrąony w swoich myślach, następnie mruknął coś niezrozumiale do siebie i w najwyższym skupieniu zabrał się do pracy – pracy, której owocem miał być pierwszy z nas.

Szatan, niczym Bóg – również dla naiwnych!

Wraz z religią monoteistyczną stworzyliśmy również postać Szatana, zapewne jako przeciwwagę dla Boga. Oczywiście słabszego w swoich możliwościach od tego ostatniego, niemniej na tyle silnego, że należy się z nim liczyć, choćby z racji tego, iż ustawicznie wodzi nas na pokuszenie. W tym bowiem tkwi jego siła i potęga, której nie wolno sobie lekceważyć! Bo o ile modlimy się do tego pierwszego, uznajemy Jego potęgę, Jego sprawczą moc, o tyle ten drugi, paradoksalnie, niezwykle intensywnie obecny jest w naszym życiu. Dzieje się tak w zasadzie z jednego powodu: zło immanentnie związane z nami jest o wiele bardziej intrygujące niż dobro, które wydać się może dla wielu z nas mdłe, nijakie, mało, albo w ogóle nie intrygujące. Stąd nasza ustawiczna walka z nim (złem), próba jego zwalczania i ostatecznego zwyciężenia!

To, że Szatan pojawił się w naszej kulturze wraz z monoteistycznym Bogiem nie jest wcale przypadkowe, to konsekwencja naszego myślenia o sprawach *dobra* i *zła*, o kontrastach, jakie niesie ze sobą po prostu zwykłe ludzkie życie. Obaj jednak są podobnie wszechmocni i potężni, ponieważ obaj tkwią w naszej naturze pospołu. Z tą jedynie różnicą, że jeden jest uosobieniem miłości i życia jako takiego, również tzw. wiecznego, drugi natomiast pozostaje personifikacją drzemiącego w człowieku wcielonego zła.

Dlatego pytanie, jakie musi się tutaj pojawić, brzmi: Który ostatecznie z nich zwycięży? A może już zwyciężył?!

Myślę, iż można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że gdyby nie szkodliwa działalność Szatana, to z całą pewnością człowiek – ta doskonała przecież istota(!) już dawno osiągnęłaby zapowiadany przez różnego autoramentu cwaniaków ów mityczny raj, czy też koraniczny *Ogród, gdzie w dole płyną strumyki*.

Oczywiście, człowiek nie rodzi się z gruntu zły, wręcz przeciwnie – przychodzi na świat pełen dobrych cech, a z czasem również uświadamianych sobie pozytywnych intencji. To wychowanie w czasie dzieciństwa i okresu młodzieńczego potrafi nas, że się tak wyrażę, niewłaściwie uformować, co później w dorosłym już życiu skutkuje nierzadko naszym negatywnym postępowaniem. Jednak początkowa tablica, owa tabula rasa naszej indywidualnej egzystencji, jest czysta, nie skażona żadnym egzystencjalnym błędem! Dlatego pytanie: która strona ostatecznie w nas zwycięży?, chcąc nie chcąc pozostać musi bez odpowiedzi, co w zasadzie powinno nas skłaniać do konstatacji, iż w naszej ludzkiej historii mamy do czynienia jednak ze znacznie większą ilością czarnych dziur, niż tylko tymi odnoszącymi się do kosmosu. Przy czym należy mieć nadzieję, że *ludzi dobrej woli*, jak śpiewał kiedyś niezapomniany Czesław Niemen, będzie jednak w ostatecznym rozrachunku znacznie więcej, niż tych pozostających po drugiej, tej ciemnej stronie mocy, co jednoznacznie, oczywiście, przechyli szalę zwycięstwa na korzyść dobra.

13.12.2015 r.

Grzech pierworodny (?)

Stała się! I miała takie wrażenie, jakby zawsze była, istniała tutaj. Rozejrzała się dookoła i zobaczyła to, co znane jej było od dawna, chociaż nigdy wcześniej tego nie widziała: bujne drzewa, soczysta roślinność, zwierzęta i nawet on, który leżał nieruchomo odwrócony do niej tyłem, a który – co rzucało się natychmiast w oczy – wyglądał inaczej niż ona. Lecz nie to było w tym wszystkim najważniejsze i niezwykle, niezwykle było „coś”, czy też „ktoś”, co trudno opisać, ale miało się nieodparte wrażenie istnienia tego „czegoś-kogoś” nieskończenie wielkiego, a przez to i nieopisywalnego. Zanim wstała, postanowiła obudzić swojego towarzysza.

– Wstań – powiedziała, potrząsając go energicznie za ramię. – I tak już za długo śpisz. Jestem... jestem głodna. Musimy zrobić coś do jedzenia.

Mówiąc to, podniosła się, spojrzała w górę mrużąc oczy, po czym frunęła dookoła wzrokiem, zatrzymując go na dłużej na stojącym w pobliżu rozłożystym drzewie. Zastanawiała się. Jej naga zamyślona postać wyglądała w promieniach przedpołudniowego słońca bardzo naturalnie i podniecająco.

– Cicho, przecież nie śpię – rzucił opryskliwie i leniwie przeciągnął się.

Właśnie miał zamiar przekręcić się na drugi bok, gdy całkiem niespodziewanie jego wzrok spoczął na niej. Z wnikliwą, znaną tylko sobie ciekawością, zlustrował ją –

tego swojego budziciela, i marszcząc czoło, począł się zastanawiać, kim właściwie jest ta niezbyt duża istota z długimi włosami, o dziwnie harmonijnej budowie ciała? I w ogóle, skąd się tutaj wzięła? A ponadto, dlaczego jest taka niecierpliwa i mówi: *musimy*, skoro on dobrze o tym wie, że niczego nie musi?

– Ty, słuchaj no – powiedział z nieskrywaną zaczepnością w głosie, następnie skrzyżował ręce pod głową, na których teraz nieznacznie się uniósł, i dodał: – Właściwie, to kto cię tutaj podrzucił i dlaczego chcesz decydować za mnie? – Podobało mu się to, co powiedział, więc w geście triumfu rozciągnął się na trawie i z nonszalancką obojętnością dodał: – A w ogóle, to dziwna jakaś jesteś, wiesz? I nawet się nie przedstawiałaś!

– Tylko nie podrzucił, dobra!?! – błyskawicznie odparła.
– No! A tak ogóle, to mam na imię Ewa. I jeżeli chodzi o ścisłość faktów, to ja... ja tutaj byłam pierwsza. – Uśmiechnęła się. – Zresztą, jak widzisz, jestem kobietą – istotą ważniejszą od ciebie, bo dającą życie. Między innymi takim osobnikom jak... jak ty. Więc trochę szacunku, dobrze?

– Dobra-dobra, tylko że ja... – Nagle urwał i spojrział na nią. Ich oczy spotkały się i jakby w tym samym momencie pomyśleli o tym samym.

– Tak, tak. Jest tak, jak właśnie myślisz. – Miała świadomość przewagi nad nim.

– O niczym nie myślę – powiedział, próbując nadać głosowi beztroski ton, po czym przeniósł wzrok ponad siebie.

– Nie zwiedzisz mnie – nie dawała za wygraną Ewa. – Dokładnie wiem, o czym pomyślałeś. Ten strach na twojej twarzy wszystko mi powiedział. Mam rację, co?

Był coraz bardziej poirytowany.

– Wiesz co, nie chce mi się z tobą gadać – rzucił krótko i odwrócił się do niej tyłem.

Był zły nie tylko na nią, ale też wściekły na siebie i swoją bezradność. Pomyślał: „No właśnie, skąd się tutaj wziąłem, jeżeli... jeżeli się nie urodziłem? Nic nie pamiętam. Zupełnie. Nawet wczorajszego dnia... A może ona jednak coś wie? Może ona ma rację, że... że jest ważniejsza, bo... Tak, muszę ją rozgryźć, bo jeszcze gotowa mi wejść na głowę! Na razie wiem tylko tyle, że jest kobietą i, jak to określiła, daje życie takim osobnikom jak ja. Tak, na pewno coś wie, w końcu była tutaj przede mną. Ciekaw jestem, czy i dla mnie ma jakieś imię...”

Gdy tak leżał pogrążony w swoich rozmyślaniach, Ewa zajęła się szukaniem czegoś. Gdy w końcu to „coś” znalazła, włożyła na siebie i stanęła przed nim.

– No, spójrz na siebie – powiedziała sarkastycznie. – Mój Boże, jak ty wyglądasz?! Włóż coś na siebie i chodź mi pomóc – musimy zrobić jakieś schronienie w razie niepogody. Najlepiej w tamtym miejscu – wskazała wyciągniętą dłonią na znajdujące się za nim rozłożyste drzewo, które już wcześniej ją zaciekawiło, lecz dopiero teraz uświadomiła sobie, dlaczego. I po chwili dodała: – No i musimy w końcu przygotować coś do jedzenia. Jestem przeraźliwie głodna. Jakbym nie jadła co najmniej od... od wieków. – Tu zrobiła wymowny ruch ręką, wskazując na brzuch, po czym ominęła go, a oddalając się, rzuciła jeszcze przez ramię: – Tylko się pospiesz! Mamy mało czasu do zachodu słońca, a bardzo dużo do zrobienia.

Mimo że nie miał ochoty na żadną tego typu pracę, o jakiej mówiła, to jednak bez cienia sprzeciwu podniósł się

z legowiska, przeczesał dużą, niezgrabną dłonią czarne, długie jak smoła włosy i skierował się do krzątającej się, przy owym rozłożystym klonie, Ewy. Jego umysłem targały na przemian niepokój przed nieznaną mu przyszłością, a jednocześnie ciekawość życia oraz, co właśnie teraz był sobie uświadomił, ona. Tak, ona niewątpliwie była bardzo ładna i pociągająca, co jego wzrok bardzo szybko odkrył i z ogromną przyjemnością spoczywał na jej delikatnym i niezmiernie estetycznym ciele. Swoją sylwetką uosabiała pewne zmysłowe doznania, a także jakieś bliżej nieokreślone dla niego odczucia fizyczne. Nie wiedział jeszcze, jakie i na czym one miałyby polegać, niemniej czuł je i, co mogło wydawać się dziwne, pragnął ich. Dlatego wszystko to razem powodowało, że wiedział, iż pasuje do tego miejsca jak nikt inny! Zresztą, i tak nie miał zbyt dużego wyboru: poza nią nie znał tutaj nikogo i nie miał pewności, czy w ogóle ktoś jeszcze tutaj jest. No i, co istotne, mimo krótkiego czasu trwania ich znajomości polubił ją i już teraz wiedział, że bez niej czułby się tutaj bardzo głupio i samotnie,

W momencie gdy stanął obok niej, powiedziała:

– Jesteś. To dobrze. – Spojrzała na niego, a w jej wzroku zdawało się zauważyć jakby lekceważenie. – No, nie stój tak, jak... – nie dokończyła. – Mniejsza z tym – powiedziała obojętnie. – Przynieś gałęzi i rozpal ognisko. O, najlepiej tam – wskazała dłonią na pustą trawiastą przestrzeń.

Nie trzeba było powtarzać mu dwa razy rzeczy oczywistych. Po upływie zaledwie kilkunastu minut w wybranym przez nią miejscu ogień jaśniał majestatycznym płomieniem, z którego co chwila wydobywał się snop iskier i niczym wiązka sztucznych ogni natychmiast ginął w jego

szczytowych, rozgrzanych do czerwoności językach. Następnie przytaszczył z pobliskiego lasu kilkadziesiąt ogromnych, rozłożystych gałęzi, potrzebnych do budowy ich pierwszego, wspólnego domu. Tutaj, co ważne, mógł i wykazał się swoją tężyzną i sprawnością fizyczną, co, nie ukrywała, zaimponowało jej.

Pod wieczór pierwszy wspólny posiłek zjedli już w swoim prowizorycznie postawionym lokum. Po skończonej wieczery Ewa ujęła go za rękę i powiodła nad leżące w pobliżu jezioro, gdzie po całodziennym trudzie orzeźwili swoje spragnione relaksu ciała. Po wykonaniu tej prawie rytualnej ablucji, wrócili do szałas, gdzie z jej inicjatywy, poddając się miłosnej grze, wydobywającej z nich różnorodność pieśczoć, osiągnęli stan pełnego z niczym nieporównywalnego uniesienia emocjonalnego, po czym wtuleni w siebie swymi rozgrzanymi ciałami, zapadli w głęboki sen, zdawałoby się, wsłuchani w rytm swych oddechów i dopiero co rozpoczętą kanonadę kropli ciepłego deszczu.

Następnego dnia długo rozmyślał nad tą niespodzianą zaistniałą sytuacją. To, co przeżył, przechodziło wszelkie znane mu opisowe granice. Zrozumiał, że te odczucia fizyczne, które były jego udziałem a które ona w nim powodowała, należały do fascynująco pięknego świata – do krainy błogich doznań. Jednocześnie uświadomił sobie, że taki wieczór, jaki miał miejsce wczoraj, powinien trwać jak najdłużej, nie powinien znać słowa koniec. Czuł, że ta bariera prymitywnej i nieuzasadnionej nieufności między nimi została w końcu bezpowrotnie zlikwidowana, a jej miejsce zajęło nieznane mu wcześniej uczucie niepokoju i troski – troski o nią! Nie

wiedział, jak to nazwać, ale był pewien, że, właśnie minionej nocy, stała mu się ona jakby bliższa, bardziej znana. A ona, czy ona też tak czuła? Podobnie postrzegała ich związek? Oczywiście, tego nie mógł być pewien, ale miał nadzieję, że tak właśnie jest. Zresztą, po tej wspólnej nocy nic nie mogło go zmartwić, wprowadzić w zły nastrój. Dlatego ufny we wszystko, co najlepsze, w spokoju oczekiwał wydarzeń losowych, reżyserowanych przez nieprzeniknioną przyszłość.

Tak minęło sześć niebiańskich dni. Siódmego dnia, a był to dzień, w którym Ewa zarządziła całodzienny odpoczynek, przeznaczając jego czas wyłącznie dla nich obojga, nieoczekiwanie, jak grom z jasnego nieba, spadło na nich nieszczęście, które było zapowiedzią innych mających się wkrótce wydarzyć. Tego właśnie dnia, nie wiadomo z jakich powodów, spłonął im szałas. Co prawda można było postawić inny – może nawet lepszy, ale drewno znajdujące się w najbliższej okolicy poczęło naraz butwieć, owoce na drzewach zaczęły gnić, wszelka roślinność usychała, a zwierzęta, jakby rażone jakąś zarazą, zdychały. Na domiar tych wszystkich okropności woda w pobliskiej rzece i nieopodal leżącym jeziorze zaczęła wysychać, a on złożony nieznaną chorobą, leżał na półprzytomny w cieniu jednej z obumierających jabłoni. Wszystkie te zdarzenia wyglądały tak dziwnie i nienaturalnie, jakby *coś*, czy też może *ktoś*, powodował je z okrutnym wyrachowaniem, właściwie tylko w jednym celu: aby upokorzyć te dwie niedoświadczone jeszcze swoim bytem istoty.

W końcu dogłębnie zrozpaczona i zniechęcona tymi nieszczęściami Ewa, padła zrezygnowana na kolana, wznosząc bezradnie twarz ku górze, jakby w niemym błaganiu o cud. Ale

cud nie nadchodził, a dookoła panowała niczym niezmacana, doskonała wręcz cisza. Już chciała coś powiedzieć, gdy nagle usłyszała jakiś bezdźwięczny Głos, który wypełnił cały powoli umierający świat – ich świat! – następnie przeniknął jej mózg, po czym skierował ją do źródła swego pochodzenia. Nie wiedziała gdzie podążyć, lecz instynktownie czuła, że kroczy ku przeznaczeniu. Nie uszła jeszcze kilkudziesięciu metrów, gdy ten prowadzący ją Głos nagle zamilkł. Wówczas jakiś wewnętrzny impuls podpowiedział jej, iż musi tę chwilę goręcej, jaką napełniła się w niej przez te kilka ostatnich dni udręki, wyrzucić z siebie. I nim zdążyła przemyśleć to, co chciała powiedzieć, z jej ust wypłynął niczym niekontrolowany potok słów.

– Panie nasz i... i Stwórco, wiem, żeś mnie i jego stworzył, bo taka była wola Twoja, lecz czyż po to dałeś nam życie, by je teraz w tak okrutny sposób zabierać? To... to przecież niehumanitarne! – Głos jej lekko wibrował, ale nie starała się ukryć wzruszenia. – Czemu nas tak doświadczasz, jak... jak...

– Nie dokończyła. Głos przerwał jej:

– A bo go nie lubię! – Rozległo się dookoła, aż zatrzęsło się podłoże, na którym stała. – Jeszcze tego nie rozumiałaś?! – Urwał, a po chwili, teraz już spokojniejszy, ale jakby pełen nadziei, dodał: – Porzuć go, a spełnię każdą twoją wolę. On – zaśmiał się szyderczo – nie ma nawet własnego imienia. Nieudany to produkt. Zresztą, jak wiele rzeczy tutaj.

– Ale ja... ja go ko... kocham – usłyszał w odpowiedzi Głos. – A na imię dam mu... a dam mu, właśnie – Adam! Tak, to bardzo ładne imię. I nawet pasuje do niego.

– I pomyśleć, że chciałem – ja! chciałem, żebyś była nieśmiertelna. Czyż to nie ironia losu? – zabrzmiał głośny, nieprzyjemny śmiech. – Szeźniesz razem z nim i swoim miotem tam, gdzie łzy i brutalność istnienia nie będą miały końca. A ty, ty więc się będziesz w bólach do końca dni waszych, wydając owoc waszej chuci!

Nagle nastała niczym niezmacona cisza. Nieopodał, w cieniu uginających się pod naciskiem owoców gałęzi jabłoni, stał Adam. Zarówno on, jak i miejsce, w którym się znajdowali, na powrót odzyskało życie. Ewa podeszła do niego, wzięła go za rękę i splotła ich dłonie. Następnie wolno skierowali się w stronę pobliskiej bramy, przez którą po chwili przeszli majestatycznym krokiem, a która prawie natychmiast z wielkim łaskotem zamknęła swoje podwoje. Gdy znaleźli się kilka metrów od niej, chcąc zapamiętać to miejsce, obrócili głowy, a ich oczom, pełnym nieopisanego zdumienia i zaskoczenia, ukazał się napis: ***Pod Karą Śmierci Niewiernym I Niedyscyplinowanym Wstęp Surowo Wzbroniony!***

Jeden Bóg, a religii zatrząsienie!

Mówi się, że od przybytku głowa nie boli. I zapewne jest to prawda, np. w odniesieniu do naturalnych surowców, jedzenia, bogactwa, osobistego szczęścia itd., itd. Ale co zrobić, gdy takie sformułowanie dotyczy religii? Czy tutaj ma ono rację bytu, w jakiś sposób skutecznie się broni? W końcu nadmiar w zakresie religijnym, naturalnie, to występowanie wielu bogów, więc czy uznanie takiego stanu za normę, nie przeczy istnieniu tego jednego jedyne go, a tym samym najdoskonalszego? Czy takie postawienie sprawy jest tutaj właściwe i pożądane?

Założmy optymistycznie, że wszystkie religie naszego świata, różnego rodzaju sekty i wyznania skłonne są twierdzić, iż Bóg jest jeden i wszyscy właśnie wznoszą do Niego modły. Niestety, już na samym wstępie w takim rozumowaniu pojawia się pierwszy zgrzyt: To, że robią to na różny sposób właściwie świadczyć może, że albo odnoszą się do różnych bogów, czyli jest ich więcej, albo po prostu inaczej postrzegają tego **Jedynego!** Więcej – modły to jedno, drugą nie mniej istotną rzeczą jest oddawanie Mu czci. I w tym momencie pojawiają się pomiędzy nimi takie różnice, które z jednej strony co najmniej przeczą jedynobóstwu, z drugiej zaś wykazują naszą głupotę w dowolności interpretacji tego, czego ów Bóg wymaga od swoich wyznawców. Bo o ile łatwo pogodzić oczekiwania wyznawców judaizmu i islamu w odniesieniu do

uboju rytualnego, czy ramadanu tych ostatnich i postu pozostałych grup religijnych, to już w wielu innych kwestiach dochodzi tutaj do totalnego wręcz rozwarstwienia: kobiety zakrywające włosy, a nawet całe postaci w islamie; Żydzi nakładający kawałki szmat, zwane jarmułkami, na czubek głowy; świadkowie Jehowy nie godzący się na transfuzję krwi – nawet w sytuacji zagrożenia życia; wielożeństwo, wzorem Mahometa, który miał cztery żony – chociaż, jak wiadomo, nie zawsze jest to najlepszy przykład, bo byli i są tacy, którzy posiadali i posiadają ich dużo więcej! Oczywiście wszystkich różnic pomiędzy religiami wymieniać tutaj nie będę, bo nie o to chodzi aby je punktować, rzecz w tym, żeby sobie uświadomić absurdalność całego zagadnienia. W końcu, gdyby naprawdę istniał tylko jeden Bóg, do którego cała ludzkość wznosi modły, to wszystkie obrzędy wyglądałyby identycznie, albo co najmniej bardzo podobnie. Jest jednak inaczej. Co dowodzi, myślę, jednego: że żaden bóg nigdy nikomu się nie objawił, nigdy nikomu niczego nie wręczał, nigdy nikomu niczego nie nakazywał! Gdyby tak postąpił, wykazałby jedynie swoją małość. Okazałoby się bowiem, że stworzył coś (nas), co trzeba jakoś tam instruować, podpowiadać, prowadzić niejako za rączkę.

Poza tym pozostaje jeszcze jedno pytanie: Co z naszymi protoplastami – np. człowiekiem kromaniońskim? Co z homo habilis? Co z neandertalczykiem? Co z Sumerami, Asyryjczykami czy Egipcjanami? Co z Majami, Aztekami czy Inkami? Czy ich bogowie byli gorsi od tego nam „współczesnego”? Nie! Oni okazali się jedynie słabsi. Z jednego prostego powodu: ponieważ ich wyznawcy nie przetrwali! I to cała różnica. Krótko mówiąc: wszystko to lipa!

Tak jak spamem dla boga, czy ewentualnych bogów są te wszystkie spowiedzi naiwniaków, tak modły i towarzyszące im rytuały są niczym innym, jak nic nie przynoszącym pustym gestem, potrzebnym jedynie tym, którzy je wnoszą i celebrują.

A teraz, gorliwi wyznawcy wszystkich religii tego pięknego świata, możecie mnie spalić na stosie jako heretyka. Nie będę protestował, krzyknę jedynie spośród płomieni:

– Żaru! Więcej żaru, bracia i siostry! Naturalnie, w imię waszego boga!

22.07.2013 r.

Wygnanie z raju

Byli w drodze od zawsze. Od kiedy tylko sięgała ich zbiorowa pamięć, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Wędrowali z miejsca na miejsce, bo taka była ich natura, taka była tradycja ich życia – nie znali zresztą innego, więc nie zastanawiali się jakoś specjalnie nad innym wyborem. Nie znali innego wyboru! Tak postępowali ich dziadowie, pradziadowie, tak też postępowali ich rodzice, a w przyszłości podobną drogą mieli podążać oni – młodsze pokolenie. Co prawda w pewnych miejscach pozostawali dłużej, w innych krócej, ale zawsze w końcu je opuszczali. Tym razem jednak miało być inaczej. Nie wiedzieli jeszcze tego, nie zdawali sobie z tego sprawy w sposób świadomy, ale decyzja zbliżała się nieuchronnie i ostatecznie. Zmieniające się warunki klimatyczne, a także nieuświadomiona do końca chęć zakotwiczenia, zatrzymania się na dłużej w jednym miejscu była coraz bardziej widoczna. Ich pragnienie posiadania jednego miejsca na stałe, które byłoby tylko ich – na wyłączność, w którym czuliby się pewnie i bezpiecznie, u siebie – to pragnienie w ich zbiorowej świadomości odzywało się z coraz większą intensywnością. Dlatego też, gdy po kilku miesiącach znów mieli ruszyć w dalszą drogę, starym, odwiecznym zwyczajem przenieść się w nowe, nieznane im dotąd miejsce, starszyzna plemienna postanowiła zrobić coś, co nie miało jeszcze miejsca w ich dotychczasowej historii – historii ludu odwiecznych wędrowców, mianowicie – rada postanowiła zerwać z

dotychczasowym życiem i osiedlić się. Decyzja ta okazała się tym łatwiejsza do podjęcia, albowiem miejsce, w którym się właśnie znajdowali, było miejscem wręcz idealnym do życia. Było w nim wszystko, co jest niezbędne do dalszego trwania – i woda, i ogromna różnorodność drzew owocowych, i zwierzyzna, a wszystko w rajskiej wręcz scenerii. Nie wiedzieli, co prawda, co to raj i jak może wyglądać, ale nawet gdyby wiedzieli, to chcieliby, żeby tak właśnie wyglądał. Nie widzieli więc powodu, aby akurat to miejsce porzucić, zrezygnować z niego tylko i wyłącznie w imię odwiecznej tradycji wędrownego życia. Uświadomili sobie, jak nigdy dotąd, z niezwykłą przejrzystością i klarownością, że wszystko, czego potrzebowali, było tu i teraz na wyciągnięcie ręki. Znaleźli swoją *ziemię obiecaną*.

Być może, iż początkowo decyzja o pozostaniu w tym miejscu, zarzuceniu nomadycznego trybu życia wydawała się dziwna i obca ich dotychczasowemu doświadczeniu, nie znaczyło to jednak, że była niewytłumaczalna. Oczywiście, nie znali jej konsekwencji, ale ona była jak najbardziej wytłumaczalna! Tłumaczyło ją wszystko to, co znajdowało się w tym magicznym miejscu. Doskonały klimat, żyzna, urodzajna gleba, bujna roślinność, soczysta wręcz zieleń, a wszystko to dzięki czterem otaczającym je rzekom: od południa Eufratu i Tygrysu, a od wschodu Pishon i Gihon od północy. Dodatkowo od strony północno-zachodniej wystrzeliwały w niebo śnieżnobiałe góry, a na wschód od tego miejsca, skąd zresztą przywędrowali oni, znajdowała się kraina Nod. To wszystko tworzyło nie tylko doskonały teren do życia i miły dla oka krajobraz, ale, co istotne, było gwarantem bezpiecznego trwania. Na dodatek, jakby tego było mało, przez

osadę przepływała nieduża rzeczka, która dbała o odpowiednie nawilżenie okolicznych drzew, owocowych krzewów, kwiatów i traw, a w przyszłości miała również zadbać o posiane przez nich zboża. Słowem – był to raj na ziemi, a oni mogli się czuć jak lud wybrany, mogąc tutaj beztrudno żyć i rozmnażać się, jak nakazywała odwieczna tradycja. Tak wyglądała ziemia, którą z czasem nazwali krainą Kusz.

Mijały dni, tygodnie, miesiące, a w końcu i lata. Życie upływało im na codziennych pracach i obowiązkach, wynikających z podziałów klasowych, jakie wytworzyły się wraz z upływem czasu. Bo o ile w podróży wszyscy byli sobie równi i znaczyli tyle samo w wyniku wspólnego stanu posiadania, o tyle teraz, w konsekwencji osiadłego trybu życia, pojawiły się różnice w majątkowości, a tym samym i podziały klasowe. Jedni mieli więcej, inni mniej, i to w przyszłości miało odgrywać coraz bardziej negatywne znaczenie w egzystencji tego ludu. Na tyle negatywne, że miało doprowadzić do mniejszych lub większych dramatów.

Jednym z takich dramatów jest historia miłości pary, która od najmłodszych lat przebywała zawsze razem i która, gdy jej bohaterowie już dorośli, nie widziała poza sobą świata. Ten dramat, to historia dwojga pięknych, młodych ludzi – Adama i Ewy. Gdy byli dziećmi, ich zażyłość nikomu jakoś szczególnie nie przeszkadzała, tym bardziej, że i ich rodziny od dawien dawna również pozostawały ze sobą w bardzo bliskich relacjach. W momencie jednak gdy dorośli, a w ich zachowaniu nic się nie zmieniło, wręcz przeciwnie – ich zażyłość ewoluowała w nieskrywane głębsze uczucie, jakim była miłość, niemal wszystko uległo diametralnej zmianie. Niemal, ponieważ, co prawda, oni nadal dla siebie pozostawali

tacy sami, to jednak ich rodziny oddaliły się od siebie wprost proporcjonalnie do siły uczucia, jakie połączyło tych dwoje młodych ludzi. Teraz wspólna przyszłość ich rodzin była praktycznie niemożliwa. Oba rody bowiem należały w tym momencie, można by powiedzieć, do dwu różnych światów – różnych w wyniku stanu owego nieszczęsnego posiadania, a tym samym i znaczenia! Ona należała do tej sfery, która nadawała ton ich wspólnocie, jej ród przewodził ich społeczności, On natomiast przynależał do tych, którzy mieli niewiele, a jeszcze mniej mogli i znaczyli. Stąd też wynikały ograniczenia jakie ich dotknęły. Okazało się, że miłość, która ich połączyła, była zarówno niepożądana, jak i zła, burzyła bowiem porządek rzeczy, niweczyła z tak ogromnym trudem i ciężkim mozołem budowany kształt ich społeczeństwa.

Jednak zakazy i nakazy to jedno, z drugiej zaś strony są żywi, czujący różnego rodzaju emocje ludzie. W tym konkretnym przypadku ludzie bardzo młodzi, którzy, co naturalne, bunt i niezgodę na zastany porządek rzeczy mieli niejako zakodowany we krwi. Na taki świat, w którym oni nie mogli być razem, przyzwolenia i zgody dać zwyczajnie nie mogli!

Jako że w społeczności tej nie stosowano żadnych kar cielesnych, a zakazy, jakimi próbowano okiełznać tych dwoje młodych ludzi i przywołać do porządku, okazały się niewystarczające i zwyczajnie zawiodły, starszyźnie nie pozostawało nic innego, jak podjąć bardziej drastyczne, a nieuniknione kroki. W tym też celu na głównym placu osady zebrali się wszyscy ci, którzy mieli wydać w tej sprawie ostateczny wyrok; którzy musieli jak najszybciej i jak najsurowiej ukarać występki, aby był zarówno przestrogą, jak i

nauczką dla innych, którzy chcieliby kiedykolwiek podążyc podobną drogą.

Zebranie nie było długie, przebiegało jednak, co było oczywiste, w burzliwej i gorącej atmosferze. Bo o ile Adam właściwie od początku stał na straconej pozycji, o tyle Ewa – właśnie z racji przynależności do wyższej, lepszej kasty – miała do ostatniej chwili szansę uniknięcia kary, za czym przez cały czas sądu opowiadała się jej rodzina. Ceną za to miało być odtrącenie Adama, pogrążenie go w winie za zaistniałą sytuację i ostateczne wyrzeknięcie się miłości do niego. Tego jednak Ewa nie tylko nie mogła, ale też i nie chciała zrobić, czym, co zrozumiałe, przypieczętowała swój los. Tym losem, od teraz wspólnym, było wykluczenie ich ze społeczności i wygnanie. Nie wiedzieli, czym to się dla nich skończy – nikt nigdy do tej pory z czymś takim się nie spotkał w ich dotychczasowej historii. Woleli jednak tę wspólną niepewność, niż życie bez siebie. Ich miłość była silna i ponad wszystko, choćby i najdotkliwsze konsekwencje. Była ponad czymś tak strasznym, jak wygnanie i ewentualna śmierć! Nie bali się. Niczego i nikogo. Miłość bowiem dodawała im sił i wiary w przyszłość.

Kiepskie nasze początki

Zapewne każdy z nas chociaż raz w swoim życiu zastanawiał się, skąd się wziął, tzn. nie tyle, skąd się wziął on sam – bo to jest wiadome: każdy z nas został zrodzony przez swoją rodzicielkę, przy wydatnej pomocy drugiego z rodziców, tego płci męskiej – ile przede wszystkim z czego wzięło się życie w szerszym kontekście – na ziemi?

Oczywiście, istnieją dwie teorie na ten temat: pierwsza, naukowa, mówi o pojawieniu się na ziemi tlenu i wody, co dało początek wszelkiemu istnieniu; druga teoria, ta bogobojna, mówi o tzw. projekcie kreacjonizmu, czyli że swoją rąsę do pojawienia się życia przyłożył On, czyli – wszechmocny, wszechmogący i wszechobecny Stwórca!

Nie będę się w tym momencie wdawał w rozważania, czy życie w takiej formie, jaką znamy, występuje jedynie tutaj, czy gdzie indziej również ono istnieje, a jeżeli tak, to czy wygląda podobnie, czy może zupełnie inaczej, a tym samym i tamtejsi bogowie, czy też pojedynczy bóg, postrzegany jest odmiennie. To, tak naprawdę, zupełnie nieistotne. Ważne, czy ten, który króluje w naszej części wszechświata, maczał w powyższym projekcie swoje paluszki bezpośrednio, czy może raczej nie miał z tym nic wspólnego? A może istnieje jeszcze wariant trzeci, który mówi że, jak najbardziej, dołożył do tego swoją cegielkę, lecz nie bezpośrednio, a jedynie pośrednio, hm?

Kiedyś, szukając odpowiedzi na powyższe pytanie, napisałem o brudnej ścierce zanurzonej w wodzie, na której po jakimś czasie zauważyłem maluteńkie muszki, coś na kształt muszek owocówek. Pomyślałem wówczas, że aby pojawiło się jakieś życie, muszą zaistnieć odpowiednie do tego warunki. Ale nie jakieś konkretne, a jedynie jako takie, tzn. sprzyjające!

Dzisiaj, po rozmowie z kolegą, pojawił się tych rozmyślań ciąg dalszy, a ściślej – wcześniejszy etap, tzn., skąd ta ścierka w szerszym aspekcie i w ogóle, z czego mogło zrodzić się życie na ziemi. I wyszło nam podczas rozmowy, że niekoniecznie musiał nas tworzyć w sposób bezpośredni jakiś bóg; a to z tej prostej przyczyny, że gdyby to zrobił, musielibyśmy być o wiele mądrzejsi, bystrzejsi! A my przecież, tak naprawdę, nie grzeszymy zbyt dużą mądrością, o czym dobitnie zaświadcza, niestety, nasza historia – pełna wynaturzonych potworności! Więc czy to możliwe, żeby stworzył nas aż tak ułomnych ktoś, kto jest doskonałością samą w sobie? Czy to możliwe, że mógłby się aż tak mocno pomylić i spieprzyć swoją pracę ręczną?

Dyskutując więc właśnie o tym, doszliśmy do następującego wniosku: jeżeli w ogóle jakieś życie mogło powstać na ziemi, to pojawiło się ono jedynie pośrednio dzięki Bogu, albo może nawet wbrew Niemu! Ściślej ów proces mógł wyglądać następująco:

Jeden z aniołów, tych upadłych naturalnie, pewnego dnia został strącony za karę na ziemię. Za co to była kara – nieistotne, ważne, że ów anioł trafił właśnie tutaj. Nudząc się zapewne niemiłosiernie, ale dostrzegając też dookoła porządną bajzel, tzn. trochę syfu po działalności wulkanicznej,

powodziach i samoistnych pożarach, postanowił naszą planetę posprzątać; wziął więc jakąś ścierkę i przy jej pomocy zaczął robić porządek. Gdy skończył, odrzucił ją w kącie ziemi i – właśnie: wtedy się zaczęło! Ściślej: tak jak u mnie na ścierce powstały muszki, podobnie z tej anielskiej ścierki zrodził się pierwszy człowiek – owa niezmiernie niedoskonała istota, pełna wad, leniwa w swojej masie, żądna krwi, uznania, poklasku, władzy i szeregu innych negatywnych cech.

On: Teraz rozumiesz, szmato, skąd się wzięłaś ?!

Człowiek: Tylko nie szmato?!

On: Szmato – szmato. I nie łudź się, że coś się tutaj zmieni. Do końca dni swoich będziesz głupią, bezmyślną szmatą, szmaciarzu. Ha, ha, ha!...

Ament.

11.12.2016 r.

Wszyscy splamieni, bo każdy uczynić to może

Było ich dwóch – starszy i młodszy. Starszy – Kain, był spokojny i zrównoważony. Podobny był w tym do ojca. Młodszy – Abel, był jego przeciwieństwem: narwany i agresywny. Był jednym z tych, którzy nie wiedzą co to kompromis – zawsze musiał postawić na swoim. I mimo wielu wspólnych cech łączących ich, posiadali chyba nie mniej tych, które ich różniły. Jakby każdy z nich wyrósł z innego, odrębnego pnia, chociaż korzenie przecież były te same.

– Posłuchaj, Kainie – zaczął spokojnie Abel – to, że jesteś starszy, to wcale jeszcze nie powód, żebyś mi ciągle rozkazywał i pouczał, co mam robić. Sam doskonale sobie poradzę bez tych twoich, pożał się Boże, rad!

– Co cię znowu ugryzło, czego się czepiasz?! – burknął nieprzyjemnie Kain.

– Bo tyranizujesz mnie! Mam już tego dosyć, słyszysz?! Wiesz, kim ty jesteś?

– No-no, tylko spokojnie. Chyba nie chcesz, żebym znowu musiał cię przywoływać do porządku. Jak masz jakieś „ale”, co do naszego układu, to miej pretensje do rodziców – nie do mnie. To oni zadecydowali że ma być tak, jak jest. Nie ja!

– Ale ja już dłużej tak nie wytrzymam! Jak mi Jahwe miły, nie wytrzymam! Przysięgam na pamięć naszego ojca, że zrobię coś tobie, albo sobie. Ja...

– Przestań histeryzować i weź się wreszcie w garść!
Zachowujesz się co najmniej parszywie. Jak baba.

– Bo ja już tak dłużej nie mogę, Kainie. Po prostu nie daję rady. – W głosie Abła wyczuwało się zarówno bezsilność, jak również wołanie o pomoc.

– Nie mogę, nie daję rady – przestań się w końcu mazgaić. Jestem od ciebie starszy i należy mi się twoje posłuszeństwo – prawem pierworodnego. Musisz to w końcu zrozumieć i zaakceptować! Zresztą, nikt nie chce cię skrzywdzić. To dla twojego dobra.

– Pieprzę takie dobro, słyszysz?! Nie zgadzam się! – Frustracja Abła wzrastała coraz bardziej z każdą następną chwilą rozmowy.

– Jak chcesz. Ale i tak niczego w tym zakresie nie zmienisz. Chyba że...

– To wszystko przez nią! – przerwał mu kolejnym wybuchem niezadowolenia Abel. – Gdyby była mądrzejsza, to byśmy tu teraz nie gnili. Ojciec dawno chciał się stąd wynieść. To ona jest wszystkiemu winna. Przez te jej durne pomysły... ten grzech...

– Abel! Przestań szargać pamięć matki, ostrzegam cię! I daj w końcu raz na zawsze spokój z tym grzechem. Sami jesteśmy sobie winni. – Przenikliwie spojrzał Ablowi prosto w oczy i dodał: – Wiesz, co jest naszym grzechem? Wolna wola. Nasz swobodny wybór. Tak – tak, i nie rób takiej głupiej miny. Chodzi o niczym nie skrupowaną wolność wyboru pomiędzy dobrem, a złem. Tylko tyle, nic więcej. Więc przestań w końcu pieprzyć o grzechu naszej matki, bo to staje się już niestrawne.

– Bo to prawda! – upierał się przy swoim Abel. – Prawda, prawda! Od początku było z nią coś nie tak. Jakby była ulepiona z innej gliny.

– Możliwe – zgodził się z nim Kain, chcąc załagodzić napiętą sytuację. – Ale czego by nie powiedzieć, toś ty podobny do niej jak dwie krople wody: takiś sam hardy, niepokorny i nieposłuszny, a na dodatek jeszcze chorobliwie impulsywny. No po prostu wypisz – wymaluj cała ona!

– Kłamiesz! – zaperzył się Abel. – Boże jedyny, pomóż mi, bo dłużej tego nie wytrzymam – bezsilnie zaskowyczał, wznosząc wzrok ku niebu.

– Jahwe nic ci tutaj nie pomoże – z niezmałym spokojem ciągnął swoje Kain. – I nie wzywaj imienia Pana naszego nadaremno. Sam musisz dać sobie z tym radę. Tylko my odpowiadamy za nasze życie, nikt inny. Tylko my!

– Ale jak? Co ja mam zrobić? – Abel spojrzał niemal błagalnie na Kaina, szukając choćby źdźbła nadziei. Nadziei jednak w tym, co usłyszał, nie było. Ani za grosz.

– Ugnij kark, Ablu – poradził mu z braterskim współczuciem Kain. – Ukorz się, a Bóg na pewno ci wynagrodzi...

– A czy już tak nie było, czy nie byłem cierpliwy?!

– Widać nie dość cierpliwy, bracie. Spójrz na mnie – mam ziemię, kocham ją, a ona w podzięce za to oddaje mi to, co najlepiej potrafi: piękne płody. Ty zrób to samo. Jesteś pasterzem. Zaopiekuj się troskliwie, jak potrafisz najlepiej, swoją trzodą. Zadbaj o nią, a wtedy Jahwe i tobie wynagrodzi. Tylko więcej cierpliwości. I pokory.

– Kainie, czy ty mnie słuchasz?! Ja mam dosyć takiego życia. Tego bywała i w ogóle tego wszystkiego dookoła!

– Nie rozumiem cię. – W głosie Kaina dało się wyczuć rezygnację. – Ale dam ci radę – bierz życie takim, jakim ono jest. Ciesz się nim!

– Nie! Nie! Nie! Po trzykroć nie! Nigdy się nie pogodzę. Nigdy!

– Więc rób, jak uważasz. Ale pamiętaj – ja cię ostrzegałem.

Zapadła cisza. Wydawało się, że kolejna rozmowa braci zakończy się tak samo, jak wiele poprzednich – bez jakiegokolwiek pożądanego efektu, gdy po chwili Abel zaczął niepewnie ponownie:

– Kain?

– Co znowu?

W głowie Abła wrzało niczym w wulkanie tuż przed erupcją lawy. Powściągnął jednak emocje, a na twarz przywołał uśmiech. Jakby nagle jakiś promyk nadziei wlał się w jego serce, dając mu tym samym obietnicę lepszego jutra. Następnie bardzo spokojnym głosem powiedział:

– Zamieńmy się.

– Słucham? – Kain jakby nie zrozumiał w pierwszej chwili tego, co powiedział brat. Nie zdążył jeszcze przeanalizować tego, co przed chwilą usłyszał, gdy Abel zaatakował go ponownie.

– Mówię, żebyśmy się zamienili. Ty zaopiekujesz się moim bydłem, a ja twoją ziemią. Myślę, że to mogłoby wiele zmienić. – Głos Abła pobrzmiwał nadzieją.

– Oddać ci ziemię, moją ziemię!? – Kain z nieskrywanym niedowierzaniem wpatrywał się w Abła.

– Tylko na jakiś czas. Tak na próbę – nie poddawał się Abel. – Może wtedy Jahwe spojrzy na mnie inaczej, przychylniej.

– Nie, nie wierzę w to, co słyszę. Tyś chyba zwariował!
– bezdusznie odparł Kain. – Zamienić?

– Proszę cię – nie dawał za wygraną Abel.

Jego argumentacja jednak nie docierała do Kaina.

– Już powiedziałem – nigdy! Ziemia jest moja i tylko moja! Zapisem naszych rodziców. – Mało rzeczy wyprowadzało Kaina z równowagi, ta była właśnie jedną z nich. – Co ty sobie, do diabła ciężkiego, myślisz – że oddam ci moją własność, bo ty tak sobie nagle umyśliłeś? Po moim trupie, słyszysz? Po moim trupie!

– Ale jesteśmy przecież braćmi – Abel raz jeszcze spróbował dotrzeć do sumienia Kaina, przekonać go, licząc na jego zrozumienie wynikające z braterskiej miłości. Przeliczył się: ten był niezłomny w swoim postanowieniu niczym skała.

– I co z tego, że jesteśmy braćmi? Wiedz też, że tylko braćmi!

– Tylko...? – Abel sprawiał wrażenie nie tylko mocno zawiedzionego, ale również mocno zaskoczonego. Nie spodziewał się usłyszeć takich słów. Jego konsternacja nie miała granic.

– Właśnie tak – tylko! Więc nie myśl sobie bóg wie czego. – Kain pozostawał nadal niezachwiany w swoim postanowieniu.

W Ablu słowa brata zrobiły swoje. Na powrót rozpały w nim uczucia namiętności, które szukały swojego ujścia. I były tak silne, że musiały je znaleźć.

– Więc nie dasz mi jej? – zapytał, ostatkiem woli próbując zachować spokój.

– Nigdy! I wybij to sobie raz na wieczność z tej swojej pustej głowy. Bo zaczynasz gadać, jakbyś tam naprawdę nic nie miał i tylko hulał hamsin. Ziemia jest moja! Tylko moja!

– Więc dobrze – sam tego chciałeś! – rzucił gniewnie Abel, a w jego dłoni niespodziewanie błysnęło ostrze noża. W następnej chwili był już przy Kainie.

– Nie, Abel!...

Ale przed tym, co się miało wydarzyć, nie było odwrotu. Po chwili było już po wszystkim, a wokół panowała śmiertelnie dręcząca i niepokojąca cisza. Jakby nic się nie wydarzyło, a ona była tu zawsze. I tylko ciche łzy na twarzy Kaina i krew na dłoniach jego, milcząco nuciły pieśń śmierci – pieśń o pierwszej tragedii człowieka. Tragedii, którą każdy uczynić może.

Słowo nie tylko na niedzielę

Mówimy: Bóg to, Bóg tamto – siamto, nadając takiemu twierdzeniu nie tylko pozory, ale w ogóle znamiona niepodważalnej prawdy. Jakby uznanie istnienia Boga było pewnikiem, pozostającym poza jakąkolwiek dyskusją. Ale czy rzeczywiście tak jest? Czy naprawdę nie mamy tutaj o czym dyskutować? Czy wszystko w tej materii jest wiadome, bezdyskusyjne i niepodważalne? Co nas uprawnia do stawiania w ten sposób sprawy: Bóg stworzył świat, ba – wszystkie światy! Bo przecież nasz układ planetarny, to jedynie jakaś mała cząstka niewyobrażalnie ogromnego wszechświata! Zatem, jak to z tym jest? Kim my jesteśmy, do diabła (ups!) ciężkiego, żeby uzurpować sobie prawo do określania w sposób niepodważalny i autorytatywny tego, co pozostaje poza naszym rozumem i pojmowaniem spraw nieodgadnionych i nieopisywalnych? Czyż nie jest to zwykła bufonada i brak pokory? Czy nie jest tak, że ów Bóg, dzisiejszy, bo uznawany przez nas współczesnych, jest tylko dlatego „lepszy” (czytaj: mocniejszy, bo „istniejący”) od tych z przeszłości, ponieważ jest nieprzerwanie uaktualniany, a tym samym uprawomocniany przez naszą egzystencję? Czy da nam ktoś dzisiaj gwarancję, że za sto/dwieście lat nie będzie podobnie pozamiatane po naszym Bogu, jak uczynił to czas z bogami przeszłości?

– Halo, jest tam kto? Nic nie słyszę?!

Oczywiście, nikt nie da nam takiej gwarancji, bo dać nie może! Życie bowiem to proces, który podlega ustawicznym zmianom, również w zakresie naszej duchowości. Dlatego jestem pewien, że wraz z naszym rozwojem zmieniają się i w tym obszarze nasze zapotrzebowania. Muszą się zmienić! Obecne bowiem tłumaczenie świata i naszego istnienia, poprzez judaistycznego Boga i jakoby jego syna Jezusa – niby odkupiciela wszystkich grzechów ludzkości, dla człowieka przyszłości będzie nie do przyjęcia z powodu najzwyczajniej w świecie rażącego wręcz prymitywizmu całej tej historii.

Wielu zapewne odpowie mi apodyktycznie: ***Bluźnierstwo! I w ogóle o czym tu dyskutować? Wiadomo przecież, że Bóg stworzył świat, a szóstego dnia również człowieka!*** Oczywiście! Dla wielu tak poukładany świat to pewnik. I dobrze. Jeżeli ktoś tego chce – jego sprawa, czym się zadowala. Każdy może wierzyć w takie wizje stworzenia świata, jakich pragnie. Jak to mówią: ***Wolność Tomku w swoim domku***. W tym zakresie nie musimy się ze sobą zgadzać. Wszyscy bowiem, bez wyjątku, jesteśmy w tym temacie najzwyczajniej w świecie głupi. I dlatego właśnie możemy i szukamy odpowiedzi w różnych miejscach. Ja poszukuję jej tam, gdzie nic i nikt nie ogranicza mojej wyobraźni. Czy poszukuję w dobrym miejscu, czy nie jest to przypadkiem droga wiodąca mnie na manowce? – trudno powiedzieć. Myślę, że przynajmniej na starcie wszyscy mamy równe szanse. To, co prawda, jeszcze nie gwarancja sukcesu, ale zawsze jakaś nadzieja na jego osiągnięcie.

Bez względu na to, jak brzmi odpowiedź na pytanie – czy ktoś taki jak Bóg istnieje, czy też nie, dla mnie istotniejsze

jest co innego, dokładnie – punkt wyjściowy, źródło zagadnienia, tzn.: dlaczego uznajemy, że zarówno świat, jak i nas stworzył Bóg? Czy takie podejście do sprawy jest logiczne i daje się racjonalnie wytłumaczyć? Czy w kontekście tego, co wiemy o wszechświecie, a także o nas samych i ewolucji naszego gatunku, da się obronić taką koncepcję Boga, jaką przedstawia nam Biblia czy Koran?

Otóż nie, nie da się tego zrobić! Nawet wbrew ogólnie panującemu twierdzeniu, że **Bóg** (jakoby) *stworzył nas na wzór i podobieństwo swoje*. Takie podejście bowiem do ontologicznego zagadnienia to czysta, że tak powiem, herezja! Więcej – to ewidentny przejaw pychy i niemałej wręcz buty! Ale istotniejsze jest tutaj dla mnie co innego, mianowicie – takie postawienie sprawy ogromnie słyca niniejszy problem, sprowadza bowiem relacje: Bóg – ludzie, do podobieństwa stosunków międzyludzkich, co z gruntu jest założeniem fałszywym. Dzieje się tak oczywiście z jednej prostej przyczyny: to nie On, a my w rzeczywistości wymyśliśmy, czy też stworzyliśmy Go na wzór i podobieństwo swoje; to my zbudowaliśmy Jego ołtarze; to my doszukujemy się w Nim takich cech, jakie sami posiadamy. Tak jak przed tysiącami lat ówczesni stwarzali swój panteon bóstw, obdarzając je ludzkimi cechami, tak dzisiaj my w miejsce nieistniejących od dawna bogów, wprowadziliśmy uproszczoną wizję tego, kto jakoby miał powołać do życia cały ten zgiełk (wszechświat) razem z nami. Więc czy możliwy był inny obraz Boga? Nigdy! On musiał posiąść nasz wizerunek – ludzki!

Na koniec mała uwaga, skierowana nie tylko do Żydów: tak jak nie ma takiego Boga, jakiego starają się nam

wmówić wszystkie religie, tak też nie ma również żadnego tak zwanego *narodu wybranego*. Ale to nie znaczy oczywiście, że jeżeli takiego Boga nie ma, to w ogóle nie ma nic. *Coś* bowiem z całą pewnością jest! Pytanie: Co?

09.08.2015 r.

Nocna ekspiacja

Gdy wyruszał na polowanie w góry było słonecznie i beztrasko. Życie w osadzie toczyło się swoim normalnym odwiecznym rytmem – wolnym, leniwym, prawie że usypiającym. Gdziekolwiek tylko dało się słyszeć szczere dziecięce śmiechy, które od czasu do czasu zanikały, by po chwili znowu powrócić, lecz tym razem z dużo większym napięciem. Dzień, jak wiele innych poprzednich, płynął monotonnie w nieznaną sobie przyszłość, w nieodgadnioną wieczność. Jeszcze raz obrócił się i przyjrzał wiosce, jakby chciał nasycić wzrok jej widokiem, przeczuwając podskórną, że szybko tu jednak nie wróci, i w następnej chwili zniknął w zaroślach.

Było paskudnie. Lało niemal od czterdziestu już dni i nie wiadomo było, kiedy i czy w ogóle kiedyś to się skończy; lało, jakby „ktoś” tam „na górze” zachorował na enurezję. Ale to mu nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie – mimo że nic nie upolował, promieniał szczęściem, którego źródło tkwiło w zażartych modlitwach do Boga – jego Boga!, który był go w końcu wysłuchał, a ów deszcz był tego jaskrawym dowodem. Był darem od Najwyższego! Za jego niezachwianą wiarę w... nienawiść, niegodziwość i zawiść, której się nie wyrzekł, lecz pieczołowicie pielęgnował, a która jednocześnie była motorem wszelkich jego poczynań. Bo tak chciał On – Najwyższy, Stwórca świata! Ząb za ząb, oko za oko, czy w końcu śmierć za śmierć! Zresztą, takie żądania były mu na

rękę, były zgodne z jego charakterem, z jego potrzebami, zarówno duchowymi, jak i fizycznymi. Był bowiem głęboko przekonany, iż został nie tylko pokrzywdzony i niedoceniony przez los, on został również przez innych wzgardzony! Wiele mógł ścierpieć i przeboleć, upokorzenia jednak nigdy! Dlatego za wszystkie upokorzenia, towarzyszące mu od małości drwiny, chciał się zemścić, musiał to zrobić! Jednocześnie zdawał sobie doskonale sprawę, że sam nic nie może, zemsta się nie dokona, ponieważ jest zbyt słaby, aby wystąpić przeciwko wszystkim. Potrzebna mu była jakaś mocna podstawa, która dałaby mu siłę i wiarę w możliwość zmiany. Ugruntowałyby w nim głębokie przeświadczenie, że jest jedyny, wyjątkowy, wybrany!

I tutaj w tym momencie pojawiła się modlitwa, jednocześnie jako podziękowanie za już, ale też jako prośba o jeszcze. Więc się modlił, zawzięcie, zażarcie, wręcz fanatycznie, wierząc, że kiedyś nadejdzie taki dzień i zostanie wysłuchany do końca; że kiedyś jego myśli i słowa staną się ostatecznie ciałem!

xxx

Gdy przestało padać i słońce po raz pierwszy od prawie czterdziestu dni przedarło się zza ciemnych chmur, wyszedł ze swojej górskiej kryjówki i spojrzał w dół. Dokoła, jak okiem sięgnąć, rozciągała się woda, nieprzebrane miliony jej litrów. Żadnej żywej duszy, ani jednego skrawka suchej ziemi – wszystko zalane! Tylko szczyty tych gór były ponad nią, jakby jakiś znak dla morskich rozbitków. Znak, że oto tu, na tym wierzchołku górskim narodzi się nowe, lepsze życie. Prawe, niezbrukane jeszcze żadną ludzką perfidią, życie warte Jego – Stwórcy wszechrzeczy!

Nie wiedział, co jest po drugiej stronie gór, ale nie martwił się tym – był przygotowany na wszystko. W swojej jaskini miał nagromadzone zapasy żywności na co najmniej trzy miesiące. A jeżeli będzie jadł racjonalnie, oszczędnie, to nawet na dłużej. Zresztą, to nie było ważne, nie myślał nawet o tym. Interesowała go tylko ta część, w której znajdowała się jego osada; osada, którą zniechęcił z całego serca; osada, która już teraz nie istniała, ani nikt z jej mieszkańców. Oprócz niego, oczywiście. Poza nim nikogo więcej. Został tylko on, jedyny, ten wybrany!...

xxx

– Noe... Noel ! – potrząsnęła go mocniej.

– Co – co, co się stało? – zapytał z przestachem i podparł się na łokciach. Zastygł teraz w pozycji półleżącej.

– Znowu się zmoczyłeś.

– Ja ... – Zaczął płakać.

– Przestań!, do jasnej cholery. Ile ty masz lat? Dorosły człowiek, a zachowuje się jak gówniarz. To choroba, musisz w końcu to sobie uświadomić. Jutro pójdziesz z tym do lekarza. Ja już tak dłużej nie wytrzymam!

Nie odpowiedział. Nadal płakał.

– Słyszysz, mazgaju?! Do lekarza! Jak nie, to rozwód. Zrozumiałeś? Nie mam zamiaru czekać dotąd, aż wszystko zgnoisz.

Milcząco skinął głową, następnie wstał i niespiesznie, przygnębiony kolejnym atakiem enurezji, powędrował do łazienki – nie poznając drogi z gór.

My – z kosmosu

Oczywiście, Ziemia to planeta, na której przyszło nam żyć pod jej różnymi szerokościami i długościami geograficznymi, w wytyczonych przez granice ojczyznach. W większym jednak, kosmopolitycznym wymiarze, to wszech ojczyzna całej ludzkiej populacji. Innymi słowy rzecz ujmując nasza planeta to ojczyzna w zasadzie uniwersalna! Bez względu na nasze pochodzenie, kolor skóry, czy wyznanie religijne – dla wszystkich ludzi nasz glob stanowi jedną wielką matkę – niepodzielną, wspólną, bez granic. Dlatego, dopóki nie spojrzymy na nią z takiej perspektywy, ponad przynależnością do jakiegokolwiek nacji, dopóty będziemy tkwili w swoich uprzedzeniach, niechęciach, żądzach wzajemnego podboju czy odwetu.

Nie wiem, czy gdziekolwiek we wszechświecie poza Ziemią występują jakiegokolwiek formy życia. Jest jednak całkiem prawdopodobne, że gdzieś tam one istnieją, na przykład na planecie typu Kepler-22b, czy Kepler-452b. A jeżeli tak jest, to znaczy, że należy postawić w tym miejscu następujące pytanie: W jakiej formie ono gdzieś tam występuje? Czy podobne jest do naszego, czy może jednak jest raczej niezmiernie odległe od niego, aż tak odległe, że nie do wyobrażenia?

Co do mnie, to przyznam, iż wolałbym, aby było ono jednak bardzo odległe od naszego. My bowiem, to, niestety,

cholerna niedoskonałość! Do tego stopnia ułomność, że jeżeli Ziemia jest z czegoś znana we wszechświecie, to jestem pewien, że dzięki naszej historii znana jest ona tylko z jednego: nieprzebranego ogromu cierpienia, jakie przez długie tysiąclecia potrafilismy z dziwną premedytacją, wartą lepszej sprawy, wygenerować w odniesieniu do drugiego człowieka. I nie tylko człowieka, zwierząt również. Więcej – co najciekawsze nadal je wytwarzamy, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Bo lubimy. Bardziej niż błogi stan szczęścia. Cierpienie innych bowiem, to dzika satysfakcja wielu z nas i trudno opisywalna przyjemność. Tak, jakby cierpienie jednych, uszlachetniało drugich.

Więc jeżeli jest, istnieje gdzieś jakieś życie we wszechświecie, to nie dziwmy się, że nikt mądry i rozsądny *stamtąd* nie chce z nami kontaktu. Głupie, niereformowalne istoty należy omijać szerokim łukiem. Kosmos nie potrzebuje negatywnej energii. W końcu cywilizowane istoty nie opierają swojego rozwoju na prymitywnym zwyrodnieniu!

01.04.2016 r.

Mojżesz, czyli wyciągnięty z wody

Było to jakiś czas temu, ba – dużo więcej niż jakiś czas, po prostu bardzo dawno temu, tak dawno, że nikt tego nie pamięta, bo żyjących świadków tego zdarzenia już nie ma, żyje tylko ten oto przekaz...

Gdy wreszcie Mojżesz wspiął się na górę Synaj, czekał już tam na niego Ten, który zstąpił tam od siebie z ZEWSZĄD – dobry Bóg Ojciec, Stwórca tego najlepszego ze światów i, podobno, jedyne – przynajmniej w tej części wszechświata. Zszedł tam, by, no właśnie, ale po kolei.

– Nareszcie! – rzekł Bóg, nie kryjąc rozczarowania.

– Gdzie jesteś, Panie? – spytał Mojżesz, rozglądając się uważnie dookoła, nic jednak nie dostrzegając.

– Gdzie, gdzie!?! Nie bądź taki wścibski. Wszędzie! Nie wiesz o tym?

– Oczywiście, ale...

– Żadnego „ale”! – zagrzemiał Jahwe. – Jestem, który jestem i już! Objawiam się wtedy, kiedy czas.

– Objawiłeś się Abrahamowi, Jakubowi, Izaakowi – nie dawał za wygraną Mojżesz – więc...

– Dosyć! Ani słowa więcej. Koniec z objawianiem. To był błąd. Ty mnie już nie zobaczysz. Musisz uwierzyć na słowo.

– Na słowo? – W głosie Mojżesza słychać było niedowierzenie.

– Moje słowo! Boże, naturalnie. Trzeba ci więcej, mój synu? – I nie czekając na odpowiedź, dodał: – Zresztą – zawahał się na moment Jahwe – dobrze, objawię się. Tobie objawię się jako obłok za, powiedzmy, trzy dni. Żeby lud ci uwierzył. A teraz powiedz mi, dlaczego tyle czasu zajęło ci dotarcie tutaj? Zbyt dużo go zmitrężyłeś.

– Robiłem i robię wszystko, co w mojej mocy...

– Być może za mało.

– Jestem tylko człowiekiem...

– Tego akurat nie musisz mi przypominać, wiem o tym aż za dobrze – zirytował się Jahwe. – Czas Jezusa dopiero nadejdzie.

– Kogo? Jakiego...

– Nie twój interes.

– Wydawało mi się...

– Właśnie, wydawało ci się – uciął krótko i stanowczo Bóg i zamilkł. A po chwili: – Nie mówiłem ci tego podczas ostatniego naszego spotkania na górze Horeb, ale ciekawi mnie, dlaczegoś zabił tego Egipcjanina?

– Bił mojego rodaka...

– Nic by mu nie było! – brutalnie przerwał mu Jahwe. – On by go nie zabił. Za to ty wszystko tym zabójstwem zepsułeś. Miałem dla ciebie całkiem inną, krótszą drogę do ziemi Kananejczyka.

– Ja... nie wiedziałem... Bił go, więc... – Słowa Mojżesza rwały się.

– No dobrze już, dobrze – powiedział łagodniej Jahwe, widząc jego ból i przygnębienie. – Co się stało, to się nie odstanie. Ważne, że w końcu dotarliście tutaj. I dotrzecie wkrótce tam, gdzie obiecałem wam, że

dojdziecie. Wiesz, że stale jestem przy tobie i nie możesz mnie zawieść.

– Wiem, Panie mój.

– No! Więc nie obawiaj się trudności i przeciwności losu. Tak jak byłem przy waszym wyjściu z domu egipskiej niewoli, gdzie dokonałem tych wszystkich sztuczek, tak również...

– Sztuczek? – wtrącił z niedowierzaniem Mojżesz.

– A coś taki zdziwiony?

– Nie rozumiem...

– No chyba nie wierzysz w cuda? Cudów, mój drogi, nie ma. Są jedynie sztuczki. Raz lepsze, innym razem gorsze, ale to zawsze tylko sztuczki.

– Więc to wszystko to...

– Uhm. Zaskoczony?

– Boże mój! Trudno nie być. – W głosie Mojżesza pobrzmiwało rozczarowanie.

– Nie dramatyzuj, nie jesteśmy w teatrze.

– W czym?

– Nieważne.

Zapadło chwilowe milczenie.

– Więc to wszystko to tylko sztuczki – powiedział głucho do siebie Mojżesz, jakby nadal nie wierzył w to wszystko, co usłyszał i chciał tym siebie przekonać. – I ta przemiana laski w węża...

– Zgadza się – potwierdził Jahwe. – I wody w krew w Nilu też. I żaby, które zesłałem na Egipt; i plaga komarów, a potem much; i bydło, które padło, a to, które nie padło, wykończyły wrzody i pryszczce; i grad i błyskawice;

a w końcu i szarańcza, która miała wykończyć to, co zdołało się uratować z poprzednich plag.

– A Morze Czerwone? Przecież...

– Och, to dziecinnie proste. Widzisz, jakby ci to najprościej wytłumaczyć, żebyś pojął. – Na moment Jahwe zawiesił głos. – Najkrócej mówiąc, to wpływ księżyca na ziemię. Taka mała sztuczka przy tworzeniu tej części waszego wszechświata. – Jahwe nie krył zadowolenia z własnej potęgi i pomysłowości.

Mojżesz słuchał tego wszystkiego z niedowierzaniem, odzierany raz po raz ze złudzeń przez tego, któremu zawierzył i któremu oddał się bezgranicznie, a który teraz z dziwną i niezrozumiałą dla niego satysfakcją brutalnie sprowadzał go z obłoków bezgranicznej wiary na ziemię.

– A pierworodni synowie Egipcjan...

– Ten los akurat Egipcjanie zgotowali sobie sami. Błąd w przechowywaniu zapasów ziarna, w które wdały się bardzo groźne toksyny. Zwykły pech.

– Teraz wszystko rozumiem...

– No widzisz że to nietrudne. W końcu wiedziałem kogo do tej misji wybieram.

– Więc faraon o wszystkim wiedział – kontynuował swoją myśl Mojżesz, głuchy na słowa Boga – tylko ja naiwny myślałem, że to wszystko to Twoja bezgraniczna moc czynienia cudów.

– O co ci chodzi? – zapytał lekko poirytowany Jahwe. Ale jego pytanie pozostało bez odpowiedzi. Mojżesz, głuchy na wszystko, ciągnął dalej swoją mowę zwątpienia, a jednocześnie i akt oskarżenia.

– I dopiero jak zesłałeś noc na Egipt, która trwała trzy dni, to się wystraszył i ugiął. Więc może dlatego tak długo trwała nasza wędrówka do tego miejsca – bo on, tak naprawdę, bał się Ciebie...

– Co, oskarżasz mnie? Obwiniasz za to, że was wybrałem? – Jahwe nie krył coraz większej irytacji i rozczarowania. – Że ciebie, Mojżeszu, uczyniłem mężem opatrnościowym Izraela – ludu wybranego i umiłowanego przeze mnie? Taka jest twoja zapłata – niewdzięczność?!

– Skądże – nieśmiało, pełen skruchy, próbował oponować Mojżesz. – Jakże bym śmiał...

– O ja sam, nieszczęsny! – zagrzmiało dookoła z żalem, jakby pękło niebo, a po chwili, gdzie tylko okiem sięgnąć, spadł rześisty deszcz, który, tak jak nagle pojawił się, tak i niespodziewanie po chwili zanikł. – Co za niewdzięcznicy! – kontynuował swój wyrzut Jahwe. – To ja was wyprowadzam z ponad czterowiekowej niewoli, a wy tak mi się odpłacacie? Ale mam za swoje. Nikogo nie powinienem wyróżniać. Widać – wszystkie narody powinny być wobec siebie i mnie równe. Żadnych wyróżnień, żadnych wywyższeń!

– Ależ, Panie nasz...

– Panie nasz – panie nasz! A przecież choćby ta laska. Ode mnie ją masz i to dzięki niej...

– Wiem, Boże mój.

– No właśnie. – W głosie Jahwe nie słychać już było cienia rozgoryczenia czy żalu, odzyskał swój właściwy spokój i niezachwianą pewność. – Więc pamiętaj o tym,

dobrze ci radzę. Bo tak jak szybko w nią cię wyposażylem, tak równie szybko mogę cię jej pozbyć.

– Wiem, Panie – pokornie rzekł Mojżesz.

– Gdyby właśnie nie moje sztuczki nadal bylibyście niewolnikami. I to aż po sądny dzień! O to wam chodzi? Tego chcecie na powrót?

– Nie, Panie nasz – nagle z nieskrywanym przestraczem w głosie zaprzeczył Mojżesz. – Oczywiście że nie!

– No! To wiedz to i pamiętaj o tym na przyszłość. I lud mój niech też nie zapomina. Bo inaczej – tutaj Jahwe zawiesił na moment głos, a po chwili namysłu dokończył – skończy się moja opieka nad wami, zniknie ręka bożej opatrności. Nie będzie już nigdy żadnego Morza Czerwonego, przepiórek, manny z nieba, czy wody ze skały na Horebie, która ugasiła wasze pragnienie, kiedy byliście u kresu wytrzymałości. Rozumiemy się?!

– Stanie się, jak rzekłeś, Panie nasz.

– Świetnie. A teraz – powiedział Jahwe, nie kryjąc swego zadowolenia – jeszcze jedna sprawa. Tam, parę metrów od ciebie w bok, leżą dwie takie nieduże kamienne tablice, które dla was przygotowałem.

– Tablice?

– Dziesięć takich małych punkcików.

– Nie rozumiem – Mojżesz nie krył zdziwienia. –

Jakie punkciki?

– Więc podejdź i zobacz – odparł Jahwe.

Po chwili Mojżesz stał przed jedną z nich i czytał to, co dobry Bóg Jahwe – Ojciec Izraela przygotował swojemu ludowi.

– To jest dekalog – dziesięć przykazań, które ty i lud twój, to znaczy mój, będziecie przestrzegać po wieczne czasy. Przeczytasz je, to zrozumiesz, że znając was, musiałem to przygotować. A teraz czytaj.

Mojżesz powrócił do przerwanej na moment lektury.

– Na głos! – przerwał mu brutalnie Jahwe. – Niech to usłyszę z ust twoich.

– Po pierwsze: Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną. Po drugie: Nie będziesz wzywał imienia Mego nadaremnie. Po trzecie...

– Nie odliczaj, czytaj po kolei – skarcił go Jahwe.

– Nie miej fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu; pamiętaj, byś dzień święty święcił; czcij ojca swego i matkę swoją; nie zabijaj; nie kradnij, nie kłam; nie pożądaj żony bliźniego swego, ani żadnej rzeczy, która jego jest...

– Bardzo dobrze – powiedział Jahwe, gdy Mojżesz skończył czytać. – To wszystko oznajmię ci uroczyście trzeciego dnia od dzisiaj, tutaj – na górze Synaj, tak by lud to słyszał, a ty byś miał posłuch u niego.

– Będzie jak rzekłeś, Panie nasz – zgodził się ochoczo Mojżesz.

– Ja myślę.

– Doprowadzę ich tam – przyrzekł z jeszcze większym entuzjazmem.

– Wiem – rzucił krótko Bóg, a po chwili pociągnął swoją myśl dalej: – Jest tylko jedno małe „ale”. Niestety, ty, mój synu, do Kanaanu już jednak nie wejdiesz.

– Ale...

– Powiedziałem!

– Dlaczego, Panie mój? Czy rozgniewałem Cię czymś? Źle postępuję? Czyż nie robię tego, czego ode mnie oczekujesz?

– Przeciwnie.

– Więc, dlaczego?

– Bo taka jest wola moja.

– Ale...

– Żadnego „ale”! Tak postanowiłem i koniec. Na pocieszenie powiem ci, że nie tylko ty nie doświadczysz Kanaanu. Nikt z twojego pokolenia nie ujrzy go, z wyjątkiem Kaleba, syna Jefunego.

– Nie rozumiem, Panie. Taka kara...

– Mylisz się, to nie kara. Rzecz w czym innym. Ziemia Obiecana, do której was prowadzę, czeka na nowy, czysty, niczym nie skażony lud. Wy, starzy, niestety, przejęliście od Egipcjan, oprócz dobrych również i najgorsze ich cechy. Poza tym jesteście przewrotni. Ciągłe pełni buntu i zwątpienia we mnie. Na tym budulcu, spróchniałym, zdrowego społeczeństwa zbudować się nie da. A lud, wybrany przeze mnie, od tego brzemienia musi być wolny. Musi być bez skazy, nie obciążony przeszłością. Tylko wówczas Ziemia Obiecana ma sens.

Mojesz wysłuchał tych słów w milczeniu, po czym smutno rzekł:

– Twoja wola, Panie.

– Zaiste, prawdę rzekłeś, Mojżeszu, synu mój.

Taka ona jest właśnie.

– Twoja mądrość, Jahwe, jest wielka – skonstatował z pokorą Mojżesz.

– Więc niechaj tak się stanie! – oznajmił głos; i tak jak nagle pojawił się w tym miejscu, tak również niespodziewanie zanikł.

Mojżesz został sam. Posiedział tam jeszcze jakiś czas w samotności ciszy, po czym zszedł na dół, do oczekującego go z niecierpliwością ludu Izraela, by mu obwieścić to, co usłyszał i otrzymał od Boga swego – Jahwe; Boga, który za trzy dni miał do nich przemówić poprzez niego by uwierzyli. Odtąd droga, którą mieli jeszcze pokonać, nie miała być już ani długa, ani straszna, ani ciężka, bo na jej końcu czekał na nich dom – dom ludu Izraela, ziemia obiecana im przez Jahwe – Kanaan.

Grzech pychy

I stworzył Bóg człowieka na obraz swój – jak głosi Pismo. Nic, tylko się cieszyć z takiego dobrodziejstwa! Ale czy aby na pewno tak właśnie było? Czy jest pewność, że w ogóle „ktoś” próbował powołać sobie do życia „produkt” aż tak bardzo niedoskonały, samemu będąc *doskonałością*? Śmiem wątpić!

Oczywiście, tak napisano jak we wstępie, ale napisać, jak wiemy, można wszystko, bo papier, papirus, czy jeszcze wcześniejszy pergamin wszystko przyjmie, więc dla mnie to żaden aksjomat niepodważalnej prawdy. Słowa o powyższym podobieństwie postrzegam bardziej jako grzech człowieczej pychy, niż jako prawdę absolutną. My, mrówki ziemskie, podobni do Stwórcy – też mi wymyśl!

Czy nie jest przypadkiem tak, że to człowiek stworzył sobie cały panteon bogów, który wraz ze zmianami historycznymi, jakie zachodziły na przestrzeni wieków, odchodził w mroki przeszłości razem z ludami, który je tworzył? Czy nie jest tak, że wraz ze zmianą człowieka, jego mentalności, wraz z rozwojem duchowym, ale również i nauki, tworzyliśmy taki obraz bogów, jaki w danym czasie był nam potrzebny, aby zaspokoić w tym obszarze nasze pragnienia? Czy nie jest tak, że w wyniku owych zmian dotarliśmy w końcu do jedynobóstwa, tego jedynego Boga, który przystawał do naszego postrzegania życia, był na miarę naszych oczekiwań? Czy nie jest więc tak, że to nie On nas, ale

to my Jego stworzyliśmy, albowiem w pewnym momencie zapragniemy wytłumaczenia swojego bytu, w jakiś w miarę sensowny sposób objaśnienia niewytłumaczalnego? Czyż nie był On nam potrzebny po to, abyśmy siebie nawzajem okiełznali i poprzez sformalizowanie wiary w postaci religii, zbudowali sobie duchowe więzienie, by potem, na wzór prawa państwowego, którego jesteśmy przecież zmuszeni przestrzegać, szanowali również prawa religijne?

Piszę o tym dlatego, że coraz bardziej irytują mnie ci wszyscy politycy, ale także ludzie prywatni, którzy mając gęby pełne frazesów o Bogu i miłości, nie mają jednocześnie żadnego zrozumienia dla drugiego człowieka, jego inności, odmienności. Zero wrażliwości, szacunku i miłosierdzia dla pragnących żyć inaczej. W zamian za to jest silna, głęboka wiara w swoją rację, przekonanie o własnej nieomyślności i słuszności swoich poglądów. A tym ono silniejsze i niepodważalne, im głos mocniejszy, arogancki, apodyktyczny. Jakby ci wszyscy ludzie prawicy posiadli patent na prawdę absolutną, która zapewne ich rozgrzesza z każdego świństwa, łgarstwa, z każdego podłego czynu. Wszystko bowiem czynione jest jakoby w imię Boga i ku Jego chwale! On tak chce, takiego świata sobie życzy, bo taki świat stworzył! A oni wszyscy, naturalnie, którzy powołują się na Niego, bardzo dobrze o tym wiedzą. Bo Stwórca to ich najlepszy kumpel, który wtajemniczył ich w swoje plany. Tego więc się trzymają, próbując wmówić i narzucić innym taki właśnie punkt widzenia.

Czy sobie życzy takiego a nie innego świata ten ich Stwórca – rzecz co najmniej dyskusyjna. Nie wiem, czy

w ogóle sobie czegokolwiek życzy. Jestem natomiast przekonany, że tak jak nie potrzebował zakonu templariuszy czy jezuitów Ignacego Loyoli, tak samo nie pragnie również dzisiaj obrońców. Bo niby dlaczego miałyby oczekiwać czegokolwiek od nas, a tym bardziej jakiegokolwiek obrony? I w ogóle, co to za pomysł wymiany barterowej: będziesz robił tak i tak, to otrzymasz to i to w zamian?

Tak jak nie rozumiem takiego poglądu i stawiania w ten sposób sprawy, tak również nie przyswajam jakoby „prawdy” o Stwórcy i naszym pojawieniu się na ziemi. Nie wiem, czy niestety, jedno jest jednak pewne: nie jestem w stanie przyjąć postawy pełnej pogardy dla odmienności innych. Dlatego pytanie, jakie muszę tutaj postawić, brzmi: Okej! A w ogóle to dlaczego On a nie Ona? Dlaczego musi to być niejako z urzędu rodzaj męski a nie żeński? Dlaczego Bóg, a nie Bogini?! Czy w znanym nam świecie życie pochodzi od pierwiastka męskiego? Czy naturalną rzeczą jest rodzenie swojego potomstwa przez mężczyznę? Naturalnie, oba pierwiastki są niezbędne aby pojawiło się życie, jednak finalny „produkt” w postaci kolejnego stworzenia pojawia się dzięki niej – istocie żeńskiej! Jeżeli więc rozpatrywać już jakąkolwiek boskość w kontekście doskonałości, jeżeli postrzegać ją w aspekcie sprawczym – stwórczym, to powinniśmy przyjąć, że to przede wszystkim Ona – Bogini! W naszym przypadku, ludzkim, to naturalnie kobieta, w przypadku zwierząt – samica. Dlatego jeżeli przyjąć taką drogę stworzenia życia, to raczej – ***I stworzyła Bogini człowieka na obraz swój...***

I tyle miałbym dzisiaj na temat boskości i podobieństwa naszego do Stwórczyni.

Misja

Gdy Helena była Troją, fortel z koniem był mą zbroją.

– Posłuchaj, Priamie – zaczął raz jeszcze Odyseusz. – Ja wiem, że nie miałeś z tym nic wspólnego. Dlatego też Menelaos wcale cię nie oskarża i nie czuje do ciebie żalu i nienawiści, i pragnie, żebyś o tym wiedział. Ale teraz, sam rozumiesz, wszystko jest praktycznie w twoich rękach. Proszę cię, nie upieraj się bezmyślnie.

Zapadło milczenie, nerwowe oczekiwanie na decyzję, na to, co powie Priam – sędziwy mędrzec i władca Troi.

– Taak – zaczął po dłuższym namyśle. – Taak – powtórzył i ponownie zamilkł. A po chwili dodał: – Niby racja, co mówisz, lecz jest jedno ale, jeden mały szkopulik, że tak to określe.

– O co chodzi?

– Oni się kochają.

– Bzdura! Kochają! Aleś wymyślił – zirytował się Odys. – Przecież wiesz, równie dobrze jak i ja, że nie o nią tutaj chodzi. Ani to piękność jakaś szczególna, ani specjalnych przymiotów tam nie uświadczysz, ba – nawet nie jest zgrabna! Też ma kogo kochać. Helena to pretekst tylko, niebezpieczna zabawka dopóki tutaj przebywa.

– Może tak, a może i nie. Wszechmocny Zeus jedynie wie, jak się sprawy mają. A ja nie mogę jej przecież wygonić. Gdzie wtedy nasza gościnność, z której słyniemy na świat cały. Gdzie obyczaje dobre odziedziczone po ojcach naszych!

– Rozumiem – miękko odparł Odys, widząc, że ten sposób rozmowy, jaki wybrał, nie wiedzie do wytkniętego celu. Postanowił więc zaatakować z innej strony. – A co ty byś zrobił, gdyby tak od ciebie w te pędy, pod twoją nieobecność żonka trzask – prask! i już jesteś wdowiec – słomiany naturalnie, bo sam wiesz, że na to gorsze jest określenie dla mężczyzny. Przyznaj – głupio by ci było, co? No, przyznaj! Zresztą, co tu dużo gadać: honor, godność i ambicja nie pozwalają! I to nie tylko Menelaosowi, ale i nam – całemu rodowi męskiemu! No bo, co by się stało, gdyby tak każda, Heleny wiedziona przykładem, uciekła od męża, hm? Nie chcę nawet myśleć, co by to było! Katastrofa na miarę Terry!

Beznamiętny wzrok Priama nic nie wyrażał, a on sam sprawiał wrażenie nieobecności, jakby to, o czym się rozprawia, w ogóle go nie dotyczyło. Ale to był tylko pozór. Stary król Troi uważnie słuchał sprytnego Greka i dokładnie ważył każde wypowiedziane przez niego słowo, jak i również sam też w doskonały sposób kontrolował wszystko to, co powiedział lub też miał powiedzieć. Każde wypowiedziane słowo miało w tych warunkach ogromną wagę.

– Wiele prawdy w twoich słowach, Odysie. Bardzo wiele. Ale czy nie lepiej, żeby ona sama zdecydowała? Więcej zaufania przydałoby się wam, Grekom. Trzeba wierzyć ludziom. Wszystkie przecież i tak nie uciekną.

– Ona? Ma decydować? – Nie krył zdziwienia Odyseusz.

– Ano – przytaknął Priam. – Ona. To mądra kobieta.

– Nawet nie mów takich rzeczy! Toś wymyślił – kobieta ma decydować, do kogo ma należeć. – Nie krył zaskoczenia, ale i rozczarowania Odyseusz. – Helena, wołaj

Zeusa, od dawna przynależy do Menelaosa i powinna do niego wrócić. Natychmiast! – Ostatnie słowo wypowiedział z takim naciskiem, jakby chciał Priama przed czymś ostrzec.

– No, pohamuj swój język – powiedział lekko poirytowany król. – Gościem co prawda jesteś, a my gościnni, ale wszystko ma swoje granice. Nie chciałbym, żebyś powiedział o jedno słowo za dużo, bo wszyscy tego możemy później żałować.

Na te słowa Odys zamilkł. Mimo że zawsze elokwentny, wiedzący co powiedzieć i jak się zachować, w tym momencie poczuł się jak uczeń. Zapanowała niezręczna cisza. Po chwili władca Itaki na powrót odzyskał rezon i powiedział:

– Czcigodny Priamie, wiedz, że nie przyjąłem tej misji z jakąś szczególną ochotą. Powiem nawet więcej – podjąłem się jej z dużą wręcz niechęcią! Wiedziałem, że będą duże przeszkody i niemałe opory. Ale Menelaos to mój przyjaciel, a ja nie mogłem odmówić pomocy jego bratu Agamemnonowi. Na dodatek jeszcze to wprost fatalne połączenie z wami. Myślisz, że tak łatwo jest się tu dostać do ciebie z Itaki? Ale co było robić? Przecież przyjacielowi się nie odmawia! Chociaż, jak pragnę zdrowia, niezbyt mnie ta twoja Troja nastrajała. Podskórnie czułem niemałe problemy. Jednak przyjaźń, to przyjaźń! A że cenię moje zdolności mediacyjne, to i dlatego tutaj jestem. Mam nadzieję, że ostatecznie uda nam się jakoś zażegnać ten spór polubownie. Bo nie mam zamiaru zimować tutaj za długo. Na Itace zostawiłem bez opieki syna i żonę. Znasz Penelopę, prawda?

Priam skinął głową.

– Piękna kobieta – powiedział. – Ale i syn też ci się udał. Będzie z niego przedni wojownik.

– Właśnie – ochoczo zgodził się z nim Odyseusz. – Penelopa mogłaby konkurować o urodę z samą Afrodytą! A wiesz przecież, na co jest narażona taka kobieta, gdy sama zostaje w domu – bez opieki mężczyzny, i na dodatek z małym dzieckiem. Nie chciałbym podobnej historii jak tej z Heleną.

– Doskonale cię rozumiem, Odysie, ale, niestety, muszę cię rozczarować. Ja tutaj nic nie znaczę. Kiedyś tak, ale dzisiaj Parys tu pan...

– Nie, w ten sposób to my nic nie osiągniemy – zirytował się Odyseusz. – Ale żeby tego nie przedłużać i nie mitrzyć niepotrzebnie czasu, zaproponuję ci coś. Myślę, że – jak to mówią – i wilk będzie syty i owca cała.

– Propozycja? – powtórzył Priam. – Słucham. Może to zaprawdę będzie rozwiązanie.

– Powiem krótko: oddasz mi Helenę, a ja, to znaczy my wszyscy, którzy tu przy płynęliśmy, podarujemy ci konia. Jako dar dziękczynny.

– Co? Konia? Helenę za konia? Czy ja dobrze słyszę?

– Tak. Za konia.

Twarz Priama rozjaśnił uśmiech. I mimo podeszłego już wieku uśmiech ten był młodzieńczy, można by powiedzieć, że nawet w pewien sposób filuterny.

– Szkoda, że nie żądasz królestwa za konia! – Król nie krył swojego rozbawienia. – Może wtedy...

– Nie kpij, Priamie – uciał poirytowany Odyseusz. – Nie mam ochoty na kpinki. Bo nie o zwykłego naturalnie konia tutaj chodzi, a...

– A o niezwykłego. – Priam nie mógł powstrzymać ataku śmiechu, który wzrastał z każdą następną chwilą coraz bardziej. – A co w nim takiego niezwykłego? Może ma pięć kopyt, co? A może...

– Nie, Priamie, to koń... – Zawiesił na moment głos, spojrzał królowi głęboko w oczy i po chwili dokończył: – To koń drewniany.

– Drewniany? Czy słuch mnie nie myli? – Rozbawienie Priama tą dziwną propozycją sięgnęło w tym momencie zenitu. – Powiedziałeś drewniany? – powtórzył, chcąc się upewnić.

– Tak – odparł spokojnie władca Itaki. – Tak właśnie powiedziałem. Drewniany.

Priam nie mógł się opanować. Śmiał się teraz do rozpuku.

– Koń... Drewniany... Jeszcze jak powiesz, że na biegunach, to chyba pękne ze śmiechu!

Ale Odyseusz nic już nie powiedział. Widać było, że z trudem powstrzymuje gniew i zachowuje stoicki spokój. W tej chwili walczyły w nim – z jednej strony natura greckiego wojownika, z drugiej zaś zawodowego mediatora. Dlatego cierpliwie czekał, aż władca Troi się uspokoi. Gdy w końcu ten najintensywniejszy atak śmiechu Priam miał poza sobą, przemówił:

– Nie, Odysie, nic z tego. Nie zgadzam się.

– Nie rozumiem. Dlaczego? Boisz się drewnianego konia? Nie wierzę własnym uszom!

Priam spojrzał uważnie na Odyseusza i powiedział:

– Jeżeli mam być szczerzy, to... nie wiem. Ale nie podoba mi się to coś za bardzo. Ty jesteś spryciarz jak mała który. Słyniesz z tego na cały świat!

– Nie wiem o co ci chodzi, Priamie. Nie rozumiem ciebie i twoich obaw. Przecież nawet nie obejrzałeś tego konia. Może by ci się spodobał.

– A nie mówiłem, żeś sprytny! Świetnie udajesz Greka.

– Nie udaję, nie muszę – jestem Grekiem!

– W każdym razie strzeżonego Zeus strzeże. Wolę dmuchać na zimne. Nie chcę się sparzyć.

– Więc odmawiasz, zarówno oddania Heleny, jak i przyjęcia daru?

– Coś w takiej gorącej wodzie kąpany? Dawniej miałeś więcej cierpliwości. – Starał się bagatelizować całe zdarzenie król. – Musisz uzbroić się w cierpliwość. Jutro dam ci odpowiedź. A dzisiaj... Niech ci będzie – dzisiaj obejrzę sobie tego konika. Drewnianego. – Uśmiechnął się. – Może się faktycznie spodoba, jak mówisz. Kto wie.

– Na pewno ci się spodoba! – skwapliwie podchwycił Odyseusz, a po jego ustach przebiegł, niczym jaszczurka, niewidoczny dla nikogo uśmiech.

– Więc chodźmy – powiedział Priam, protekcjonalnie poklepując Odysa po plecach. Następnie ujął go pod rękę i, nie przestając się uśmiechać, w milczeniu wyprowadził z sali, przesądzić losy nie tylko Heleny, ale w ogóle całej Troi, o czym historię miał przekazać Homer dalej.

Układ słoneczny – wszechświat – i my

Wyobraźmy sobie powstającą z niebytu Ziemię. Ale nie tzw. *Wielki Wybuch*, czy też wybuch *Supernowej* sprzed prawie czternastu miliardów lat – jak mówi nauka – ale coś znacznie „bliższego” nam w czasie, coś, co wydarzyło się „raptem”, cztery i pół miliarda lat temu, czyli w momencie kształtowania się naszej planety.

Oczywiście, trudno sobie to wyobrazić, wszystko pozostaje w sferze domysłów popartych stanem obecnej nauki. Jakkolwiek jednak było życie w tamtych warunkach, jakie panowały na samym początku kształtowania się Ziemi, było raczej niemożliwe. Nie chodzi tylko o brak tlenu czy wody, ale również, co istotne, o to, że przez wiele milionów lat ziemia była bombardowana kometami i asteroidami, które właściwie uniemożliwiały pojawienie się życia w formie takiej, jaką znamy i jaka jest naszym doświadczeniem.

Paradoksalnie – mówi o tym nauka – właśnie dzięki tym bombardowaniom została niejako „przywleczona” na ziemię woda i po kolejnych milionach lat, gdy pojawiły się ogromne wodne zbiorniki, życie mogło się w końcu pojawić.

Zwolennicy *kreacjonizmu* mogą w tym miejscu powiedzieć, że po stworzeniu świata, Bóg zaczął tworzyć to, co zapisano w tzw. Piśmie Świętym. Kto tę historyjkę zapisał i kto ją opowiedział piszącemu, to odrębne zagadnienie. Jakkolwiek jednak było nie znaczy to wcale, że na samym początku życie we wszechświecie nie występowało w ogóle.

Myślę, że ono nie tylko mogło istnieć gdziekolwiek tak w naszym (po drugiej stronie słońca?), jak i poza naszym układem planetarnym, ono jak najbardziej istniało! Nie wiem, czy w podobnej, zbliżonej, czy też w diametralnie innej postaci od naszej, jestem jednak pewien, że ono po prostu miało i nadal ma swoje miejsce, tylko my nie potrafimy sobie tego z różnych powodów wyobrazić. Ani tym bardziej udowodnić.

03.01.2015 r.

Dwa ostatnie listy

Sydon

Najgłębsze, żarliwe pozdrowienie Marii, Abdes.

Już niebawem minie sześć miesięcy od kiedy byłem zmuszony opuścić Cię, a w moich uszach nadal pobrzmiwa dźwięk twojego imienia i twój słodki śmiech, dzięki któremu nie wiedziałem, co to smutek i rozpacz – zapomniałem o tym aspekcie istnienia. A teraz ten list, tak niecierpliwie oczekiwany i jednocześnie tak niespodziewany w swojej treści; list, który zagłuszył twój śmiech, muzykę twoich słów, zaburzył taniec twoich ruchów, zaprawił goryczą nektar pieśczęt; list, który z jednej strony ogromnie mnie uradował, rozbudzając na nowo przyczajoną namiętność, z drugiej jednak bardzo zaniepokoił i zasmucił. Uradował, że w ogóle dotarł do mnie, zasmucił jednak, ponieważ informacje w nim zawarte, jakkolwiek dla ciebie radosne, dla mnie jednak takimi nie są. Nie mogą być!, moja droga Mario.

Oczywiście, oboje od początku wiedzieliśmy, że nie możemy być razem – należymy w końcu do dwu różnych światów. Jednak łudziłem się, że nasze relacje pozostaną inne – choćby ze względu na nasze dziecko, które w sobie nosisz, a którego, niestety, nie będzie mi dane oglądać, gdy przyjdzie na świat. Dlatego, mimo iż jest mi niezmiernie ciężko pogodzić się z tym, co niesie przyszłość, wiem, że nasze rozstanie, to i tak najmniejsza z ofiar, jaką może od nas wymagać życie. Cóż, tak zdecydowali Bogowie, a z Ich wyrokami się nie dyskutuje! Bo czymże jesteśmy, żeby próbować Im się

przeciwstawić? Czym ja jestem, żeby Ich wolę kwestionować?! Prawda jest taka, że w obliczu wieczności i wyroków boskich jesteśmy jedynie pyłkiem na wietrze i niczym więcej. Jedynie nic nieznaczącym kurzem.

Ufam, że to zrozumiesz i dlatego nie będę szukał dla siebie usprawiedliwienia.

Zaufaj Bogom i niechaj mają was w swojej opiece, a naszemu dziecku – mam nadzieję że to będzie syn! – niechaj oświeclają drogę prawdy i właściwy na niej cel.

Miłujący cię –

Juliusz Tyberiusz Abdes Panthera

P.S.

1. Napisz, gdy się urodzi. Koniecznie!
2. O pieniądze się nie martw. Daj znać, ile potrzebujesz, natychmiast przyślę.

Nazaret

Pozdrowienie Abdesowi, Maria.

Bardzo trudno jest pisać, gdy ukochana osoba niszczy wszystko, burzy z premedytacją to, co między ludźmi może być najpiękniejsze.

Ja wiem, że nie jestem kobietą godną ciebie i twojej miłości, ale przecież nawet takim ludziom jak ja należy się jakaś szansa od życia, choćby najmniejsza odrobina szczęścia, a nie tylko od dzieciństwa pogarda, poniżenie i niekończący się smutek słonych dni bez deszczu. Jeżeli uważasz inaczej, to znaczy, że jesteś w głębokim błędzie. Każdy bowiem powinien na swojej drodze życia móc znaleźć pomocną dłoń. Ja również!

Niestety, ty swoją dłoń cofnąłeś, schowałeś przede mną. Jednym ruchem zniszczyłeś we mnie nadzieję i ufność

w nas i nasze jutro, zostawiając mnie zupełnie bezbronną za murem obojętności, pogrążoną w smutku i cierpieniu, w którym bardziej oczekuje się z rozpaczą godziny śmierci, niż radości następnego poranka. Pozostawiłeś mnie samą za tym murem, który stworzyłeś swoją obojętnością. Bo współczucie, ta twoja elegancka wielkoduszność, to tylko maska pozorów. Za nią czyha doskonale ukryta ta właśnie obojętność! Taki świat, drogi Abdesie, jest zły i niegodziwy. W takim świecie nie chcę żyć! Choćby i przy twoim boku, co doskonale sobie uświadomiłam po twoim ostatnim liście.

Teraz, na szczęście, jestem silna, na tyle silna, by zapomnieć o przeszłości, o tobie, o wszystkim!

Poznałam kogoś, kto się zaopiekuję mną i dzieckiem, gdy przyjdzie na świat. Nie znasz go. Jest kamieniarzem i jest starszy ode mnie o jedenaście lat. Ale to nieistotne, ważne, że jest dobry i że wziął mnie do siebie. Tak więc mam opiekę, a sam wiesz, jak trudno kobiecie w takim stanie, jak ja, znaleźć jakiś ką.

Pieniądzy nie chcę od ciebie żadnych, wystarczy nam to, co zarobi Józef (tak ma na imię). Nie mamy wymagań.

Pozostań wolny i szczęśliwy, tak jak chciałeś. I nigdy już... W ogóle zapomnij o mnie, o moim istnieniu i o dziecku, tak jak zapomina się o czymś, czego nie chce się pamiętać. Ja zrobiłam już pierwszy krok.

Maria

P.S.

Nie pisz do mnie więcej – zmieniłam adres, więc listy mnie nie znajdą. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich.

Słów kilka o religijnej ściemie

Na czym stoi Kościół katolicki? Oczywiście, na czterech Ewangeliach, Dziejach Apostolskich, Listach, czy w końcu Księdze Objawienia jakiegoś pana Jana, czyli Apokalipsie zesłańca, który siedział samotnie na kamienistej wyspie Patmos i bardziej lub też mniej z tego, czy też innego powodu, odchodził od zmysłów. Niestety, Ewangelie, tzw. gnostyczne, które mogłyby nam coś interesującego powiedzieć o Jezusie, jego życiu, nie przetrwały do naszych czasów. A jeżeli już, to jedynie w większych czy też mniejszych fragmentach – jak Ewangelia Marii Magdaleny, Tomasza, Judasza, Bartłomieja, czy Filipa. Szkoda. Te bowiem są o tyle interesujące, że ukazują reformatora religijnego z Nazaretu jako człowieka z krwi i kości, który w swoim nauczaniu odwoływał się do duchowego aspektu życia człowieka i na to przede wszystkim kładł nacisk – na wewnętrzny jego rozwój!

To, że Ewangelie gnostyczne, odwołujące się do duchowej nauki Mistrza z Nazaretu, nie przetrwały do naszych czasów nie tylko w całości, ale w ogóle w swojej zdecydowanej masie uległy destrukcji, to wynik świadomej polityki, z jaką mamy do czynienia w zasadzie od samego początku powstania Nowego Testamentu, czyli od momentu zwołania przez Konstantyna Wielkiego soboru do Nicei, który chcąc ratować spójność Cesarstwa Rzymskiego, zwrócił się w stronę religii, prawnie uznając chrześcijaństwo w 325 roku

na owym soborze za religię obowiązującą na terenie całego imperium, czego potwierdzeniem był edykt tesaloński Teodozjusza Wielkiego wydany pół wieku później w roku 380. Ten sam zresztą cesarz podjął jeszcze jedną niezmiernie istotną decyzję: wszystkie inne pisma-ewangelie niewchodzące w skład Nowego Testamentu, a rozbieżne ze wspomnianymi czterema synoptycznymi, miały zostać zniszczone! Od tego momentu Kościół katolicki, mający pełnię władzy i poparcie najpotężniejszej postaci w państwie – cesarza, robił swoje: z jednej strony zawzięcie niszczył wszystkie pisma, które były niezgodne z głoszoną przez siebie nauką – podobnie zresztą postąpił wieki później z cywilizacją Majów, Inków czy innych pogańskich kultur – z drugiej zaś systematycznie i metodycznie odczłowieczał postać samego Jezusa, wynaturzając w ten sposób naukę swojego patrona. To bowiem, co miało przetrwać według zamysłu hierarchów Kościoła, to przede wszystkim wchodzące w skład Nowego Testamentu cztery Ewangelie synoptyczne i uzupełniające je pisma wymienione na wstępie, które przedstawiały niezgodny z rzeczywistością obraz kogoś, kto poprzez swoją śmierć i, jakoby, zmartwychwstanie miał udowodnić tezę o swoim boskim posłannictwie – śmierci na krzyżu w celu zbawienia naszego świata.

Można w tym miejscu powiedzieć, że dopadł nas chichot historii: to bowiem, co było najważniejsze w nauczaniu Jezusa – jej duchowy aspekt został zepchnięty tak naprawdę na dalszy plan. Od tego momentu liczyło się coś zupełnie innego – genialna koegzystencja dwóch ciał: z jednej strony kontrola obywateli przez państwo w obszarze świeckim z całym systemem swoich represji, z drugiej zaś sprawowanie

pieczy nad rządem dusz w sferze religijnej. W ten sposób, najkrócej rzecz ujmując, można powiedzieć, że znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. I nieistotne, co utożsamia jedno, a co drugie.

Pytanie, jakie należy postawić w tym miejscu brzmi: *Czy coś się zmieniło od tamtych zamierzchłych czasów?* Odpowiedź jest tyleż krótka, co oczywista: Nic! Może jedynie tyle, że hierarchowie kościoła jakiegokolwiek odłamu religii katolickiej stali się bardziej świadomi biznesu, na czele którego stoją. Cała reszta z tym związana jest w zasadzie niezmienna. Można by nawet powiedzieć że: *Jak było na początku, teraz, zawsze i na wieki wieków. Amen. Od początku*, tzn. od uformowania się Nowego Testamentu, czyli od wspomnianego wyżej soboru w Nicei, gdzie doszło do współpracy władzy świeckiej z władzą duchową. Innymi słowy, kiedy nastąpiło stworzenie wspólnego biznesu, mającego dać obu stronom bezpieczeństwo i wygodne życie, a maluczkim złudną nadzieję życia wiecznego. Praca nad wewnętrznym rozwojem każdego z nas, próba zbliżenia się do transcendencji, a tym samym zjednoczenie z Bogiem, jak Jezus nazywał Energię, w której istniejemy zarówno po śmierci, jak i w czasie naszego istnienia, okazały się tylko niepotrzebnym zawracaniem głowy!

Ament. W październiku. Albo amant, z października. Wszystko jedno zresztą. Każdemu według uważania i potrzeb.

26.06.2016 r.

Kołyśka i krzyże

Słońce stało wysoko, ale grzało tak, jakby było zawieszono tuż nad ziemią – zeskorupiałą i pokaleczoną przez nie regularnymi pęknięciami, jak dłonie starego poczciwego chłopca.

Była w drodze już od kilku godzin i szło jej się ciężko, bardzo ciężko jak na jej stan, i dlatego musiała co jakiś czas odpoczywać; ale wiedziała że iść musi, bo cel był już blisko i myśl o tym dodawała jej nowych sił, jakby coś odradzało się w niej z każdym przybliżającym ją do celu krokiem. W końcu, wyczerpana ale dumna z siebie, stanęła przed jego domem; zapukała do drzwi. Nikt i nic odpowiedziało jej ciszą. Zapukała jeszcze raz, lecz z tym samym skutkiem. Chwilę bezradnie postąa i już miała odejść, gdy z pobliskiego budynku dotarł do niej jakiś hałas. Skierowała się tam i po krótkiej chwili znalazła się w jego wnętrzu.

– Bądź pozdrowiony, Piotrze, i niechaj będzie pochwalony dzień, w którym cię spotkałam – powiedziała, zbliżając się do zajętego pracą mężczyzny, który na widok kobiety i dźwięk jej słów, przerwał ją.

– A, dziękuję, Mario. Ty również bądź pozdrowiona – odrzekł, po czym odłożył strug na bok i wyprostował się. – Cóż cię tutaj przygnało w takim stanie? W powietrzu wisi chamsin, a ty urządzasz sobie takie maratony. Stało się coś?

Podeszła bliżej i usiadła na stercie nieobrobionych żerdzi, podczas gdy on oparł się o blat warsztatu.

– Nic, tylko tak sobie pomyślałam, że już niedługo będzie mi potrzebna kołyska i że... że mógłbyś ją dla mnie zrobić. Pierwszego kwietnia ma nastąpić rozwiązanie, a tu już marzec, a ja jeszcze nic nie mam dla dziecka.

Mężczyzna przyglądał się jej przez chwilę, skrupulatnie ważąc coś w umyśle, po czym powiedział:

– Pewnie, że bym zrobił – nawet dwie, tylko że z tym – wskazał głową na stos nieobrobionych żerdzi – mam już kupę roboty, a i to nie wiem, czy się wyrobię na czas. Namiestnik rzymski zlecił wykonanie kilkudziesięciu krzyży na jakies ich marcowe święto i jeżeli tego nie zrobię, mogę mieć kłopoty. Sama więc rozumiesz – rozłożył bezradnie ręce.

– Proszę cię. – Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem. Bardzo mi na tym zależy. Powiedz, co mam zrobić, żeby cię przekonać?

– A Józef nie może? Ponoć jesteś z nim...

– Może i by mógł, ale on przecież garnki lepi – gdzie tam jemu do stolarki! Nie zna się na tym tak dobrze jak ty. Dlatego do ciebie przyszłam. Zrób to chociaż przez wzgląd na to, co nas kiedyś łączyło...

– Jeżeli przez coś, oczywiście oprócz tych krzyży, nie mogę tego zrobić, to właśnie przez to, co było dawniej między nami. To, że działa się źle między nami, nie było dla wielu tajemnicą. Po prostu nie pasowaliśmy do siebie i tyle. I to nawet, wiedz o tym, nie tylko przez tego żołnierza rzymskiego... Jak mu tam było?

– Nie musisz do tego wracać, nie musisz mnie tym powtórnie katować.

– Zdaje się, że miał na imię Abdes, Abdes Panthera, zgadza się?

– Dlaczego to robisz? Przecież wiesz, że nie zrobiłam tego z wyrachowania, a jedynie z głupoty. Byłam młodziutka, niedoświadczona, a on mnie zwyczajnie uwiódł... – Zamilkła i spuściła głowę, niczym ofiara oczekująca egzekucji. – Ale czyż nie powiedziałeś, że mi wybaczasz? – powiedziała po chwili.

– To prawda – pokiwał głową – wybaczyłem. Zrobiłem to wtedy, kiedy zrozumiałem, że twoja rozwiązła natura posiada nad tobą władzę. Ale, tak po prawdzie, nie o to tutaj chodzi. Sama widzisz, że jestem zawałony robotą, a ty mi tu jeszcze tę kołyskę wciskasz. W tym momencie te krzyże są dla mnie najważniejsze! Jeżeli nie uporam się z nimi na czas, mogę mieć kłopoty. A ja nie chciałbym ich mieć. One mogą człowieka zniszczyć.

Maria wolno uniosła głowę – na jej twarzy załśniły łzy i dopiero teraz uwidoczniły się trudy przebytej niedawno drogi.

– Proszę cię – wyszeptała – nie odmawiaj. Już nie chodzi o mnie, ale o to nienarodzone jeszcze dziecko – jemu nie odmawiaj. Cóż ono ci zawiniło?

Uchwycił jej wzrok, błagalny i pełen cierpienia, i pomyślał: „Czy nigdy już nie uwolnię się od tej miłości? Naprawdę nigdy? Boże wszechmogący, tak bardzo chciałbym nienawidzić!... Tak bardzo... Ale nie mogę, nie potrafię...” Powiedział jednak:

– Dobrze, Mario. – Podeszedł do niej, ujął jej ramiona i pomógł się podnieść. – Przyjdź... za trzy tygodnie.

– Dziękuję. Na pewno przyjdę! – żarliwie odrzekła, a jej twarz była teraz promienna i wyrażała bezgraniczną wdzięczność. Chciała pocałować go w rękę, ale zmieszany błyskawicznie uciekł z dłonią.

Chwilę postali jeszcze wpatrując się w siebie w milczeniu, po czym Piotr pogładził ją po włosach i pocałował w czoło; w następnej chwili Maria odwróciła się i wyszła z szopy, w której pozostawiła zmartwienie i w której po chwili ponownie rozległ się miarowy, energiczny odgłos pracy struga. Szła tą samą drogą, która ją tu przywiodła, lecz teraz, mimo zmęczenia, szło jej się o wiele lżej, różniej.

Duch Święty, czyli zapracowany gość

Ilekcioć wracam do lektury Nowego Testamentu nie mogę się nadziwić, jak wiele znajduję w nim niezwykle interesujących informacji. Ale nie tych z gatunku tzw. prawd objawionych, raczej tych niezwykle przyziemnych, natury obyczajowej.

Tak oto na przykład niezmiernie intrygującą postacią jest bez wątpienia występujący w Nowym Testamencie Duch Święty, który, czego by o nim nie powiedzieć, należy, według mnie oczywiście, do niezwykle zapracowanych osobników, zaraz właściwie po aniele Gabrielu. Obaj zresztą są niejako nawet ze sobą silnie powiązani, jakby w ogóle tworzyli jakąś szemraną spółkę: tam bowiem, gdzie pojawia się Duch Święty, w ślad za nim zjawia się również anioł Gabriel. Albo na odwrót: tam gdzie pierwszy zjawia się Gabriel, zaraz po nim mamy do czynienia z Duchem Świętym. Co najmniej, jakby byli bliźniaczymi braćmi. Albo działali według czyjegoo – wiadomo czyjegoo! – z góry ustalonego planu. Żeby jednak nie być gołosłownym taki oto przykładzik:

Pewnego dnia Duch Święty sam, czy też z czyjegoo polecenia, odwiedza pewną sędziwą już kobietę, Elżbietę (sędziwa w tamtym czasie, to dzisiaj zapewne dwudziestoparolatka), żonę kapłana Zachariasza, która będąc niepłodną (jestem dziwnie pewien, że było ona odwrót: to on był fełerny w tych sprawach i zapewne dużo starszy od swojej żony; w końcu kapłanem nie mógł zostać byle jaki młokos!),

jak głosi powszechna fama, staje się nagle brzemienna! Zresztą, o tym zdarzeniu Zachariasz był już wcześniej poinformowany przez anioła Gabriela, żeby prawdopodobnie nie był niemile zaskoczony i za bardzo na Elę się nie wkur..., to znaczy nie wściekał.

Oczywiście Ela jest tej wizycie niezmiernie rada, bo w końcu będzie miała potomka, czyli spełni się jako kobieta, a i Zachariaszowi przy okazji nie ubędzie. Słowem – *i wilk syty, i owca cała*, tym bardziej że, jak się okazało, wielu będzie się radować z tych narodzin. Albowiem Jan – tak miał mieć na imię ów szkrab – *wielu spośród synów izraelskich nawróci do Pana, Boga ich* (Łukasz 1.16).

Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego Elunia, wtedy gdy już poczęła, ukrywała się przez pięć miesięcy, jakby się czegoś obawiała, mówiąc:

(Łukasz 1.25) *Tak mi uczynił Pan w dniach, kiedy wejrzał na mnie, by zdjąć ze mnie hańbę wśród ludzi.*

Gdyby tego było mało, anioł pognał w te pędy do Nazaretu, do innej kobietki, Marysi, żony Józefa, krewniaczki zresztą rzeczonyj wyżej Eluni (Łukasz 1.36), by i jej oznajmić nowinę, iż została wybrana przez Boga i urodzi syna, któremu da na imię Jezus.

Oczywiście tutaj również Duch Święty i anioł Gabriel zrobili swoje. Pierwszy oznajmił jej o łasce, jaka ją spotkała, drugi natomiast przekonał Józefa, żeby się zanadto nie dziwił, że jego niespełna czternastoletnia żonka jest w ciąży, bo tak zaplanował Pan!

Cud? Naturalnie! Ale nie taki znowu wyjątkowy, Nowy Testament jest ich pełen i to jeszcze o wiele bardziej spektakularnych, więc tak naprawdę nie ma o co robić draki. Dziwnym tylko może tutaj wydać się fakt, że zarówno Eli syn, jak i Marii, mimo swojego pokrewieństwa, nie znali się wcześniej. Aż do momentu, kiedy Jezus przybywa nad Jordan, gdzie Jan dokonuje jego chrztu.

Dziwne to wszystko i niepojęte. No, ale w końcu to Pismo Święte, a tego nie powinno się przecież rozumieć, jedynie wierzyć w to, co w nim zapisane, czyż nie?

Ament.

P.S.

Tak na marginesie: Jezus daje się ochrzcić Janowi, a potem zaczyna z nim rywalizować. Tyle, że dopóki żył Jan Jezus nie był postrzegany przez niego, jako rywal, który mógłby mu w jakikolwiek sposób zagrozić. To zresztą znajdowało i znajduje do dzisiaj swoje odzwierciedlenie w postaci istnienia sekty mandejczyków, którzy tak jak kiedyś nie uznawali Jezusa za mesjasza, tak i dzisiaj uważają Jana za jedyne prawdziwego proroka.

15.08.2016 r.

A to, to maska podła – i cała reszta też

Było gorące, parne popołudnie. Powietrze drgało jak puszczone cięciwa łuku po oddaniu strzału, albo jak świat w majakach, albo jeszcze co innego. W takim dniu można być rozdrażnionym i niespokojnym – człowiek ma do tego naturalne prawo. W końcu to nic nadzwyczajnego, szczególnie w tych stronach.

– Co, znowu szukasz guza?!

– Kto? Ja?

– Nie udawaj Greka.

– No-no, tylko nie Greka. Nie ubliżaj mi! Jestem takim samym Izraelitą jak... jak ty! Albo może nawet lepszym.

– Od kogo, od kogo lepszym? Ode mnie? Ty, ty parchu wychowany na pomyjach z nóg mojego dziadka. Ty, ty odcisku naszego rabina! Jak zarobisz w twarz tak, że nawet własna matka cię nie rozpozna, to się opamiętasz.

– No, spróbuj, spróbuj tylko. Ty, ty szczocho zasmarkany. Spróbuj, no! – Przyjął wyczekującą postawę, ale widać było, że się jednak boi.

– Oj, tym razem przesadziłeś – gniewnie stwierdził pierwszy i zrobił krok w kierunku towarzysza zabawy.

– Bo co, zbijesz mnie może? – dodawał sobie otuchy z determinacją skazańca ten drugi.

– A żebyś wiedział! – odparł tamten zdesperowany i już w następnej chwili obaj okładali się pięściami, po czym przywarli do siebie jak zapaśnicy, próbując przewrócić jeden

drugiego. Przyłgnęli do siebie, jak nowożeńcy w noc poślubną. Złączyli się w uścisku, jakby jakiś niewidzialny sznur oplótł ich ciała.

I gdy tak się siłowali, nie mogąc uzyskać nad sobą żadnej przewagi, od strony południowej nadszedł jakiś człowiek. Przystanął, popatrzył na nich przez chwilę, po czym przemówił – a głos miał tak łagodny, jak śpiew duszy, jak treść serca, którą jest bezbrzeżna miłość:

– Dzieteczki moje, czy jest taka rzecz w Galilei, albo i w Judei, co by warto dla niej podnieść rękę na drugiego człowieka, na brata swego? Powiedzcież mi – jest?

Nie odpowiedzieli mu. Stali zdeorientowani, wpatrzeni w nieznanego jak świnia w koryto, który zjawił się tak niespodziewanie, jakby wyrósł spod ziemi.

– Milczycie – ciągnął dalej nieznanomy – i wstyd wam pewnie, że tak brat brata swego... I jest się czego wstydzić, zaprawdę. Wstydzić i żałować! Bo przecież nie po to, Ojciec nasz Jahwe, dał nam ręce, byśmy się nimi wzajem okładać mieli, podnosili je jeden na drugiego. Nie po to! My bowiem – wszyscy, jak te owieczki jednego pasterza... – Nagle urwał. Głęboko się nad czymś zamyślił i, gdy wydawało się, że będzie tak trwał jeszcze jakiś czas, niespodziewanie dodał: – I nie ma takiej rzeczy na całym świecie, nie tylko w Galilei czy w Judei, dla której warto by...

– Dobra, dobra – otrząsnął się z zaskoczenia jeden z pastuszków. – Kimże ty, do czarta smolistego, jesteś, że tak pouczasz? Mentorem jakimś naszym? Wyrocznią jaką czy co? A może prorokiem, hę? – Zaśmiał się szyderczo. – Namnożyło się ich ostatnio tutaj, jakby ktoś ich zasiał.

– Oj, pycha przez ciebie przemawia, synku. Grzech to, ciężki to grzech mówić tak.

– Widocznie On – wskazał kciukiem w górę – tak chce. – Ponownie się zaśmiał. – Tworząc nas, stworzył jednocześnie i grzech, czyż nie? A jeśli tak, to musiał mieć w tym cel. – Uśmiech nie schodził z jego młodej, butnej twarzy. – Myślę, że to ryzyko wkalkulował w swoją pracę.

– Błuźnisz, synu. Ciężko błuźnisz! Występujesz przeciwko Panu naszemu – próbował go jakoś poskromić pod różny.

– Ja? Przeciw Panu? Uchowaj mnie, Jahwe. Nigdy! – I do swego towarzysza: – Słyszałeś? Ja przeciw... To, to niedorzeczne jakieś!

– A ja ci mówię, że buta i pycha cię rozpiera, synek. – Ale ja to rozumiem: młody jeszcze jesteś. Będę się za ciebie modlił. Bóg jest miłosierny, wysłucha i...

– Diabła tam z tym twoim rozumieniem i modlitwami! Potrzebne mi one, jak syfilitykowi dzieci – odparł hardo pastuszek. – Mnie tam one więcej chleba nie dadzą. Pieniądzy by się więcej zdało mieć, ot co! O to się pomódl dla mnie, jeżeli już tak bardzo chcesz. A w ogóle to módl się za siebie i za tych, co wierzą w niebo i piekło, a po drodze jeszcze w jakieś tam czyścice, czy coś w tym rodzaju. Tutaj na naiwnych panuje nieurodzaj.

– Nie mów tak, synek, ostrzegam cię! Bóg też ma swoją cierpliwość i może w końcu ją stracić, a wtedy... – Zawahał się. – Widzisz, spójrz na swojego przyjaciela. On wie, co to Bóg. Pokorny jest! Ukorz się i ty, póki nie jest jeszcze za późno. Mówię ci...

– Dobra, dobra, zatrzymaj te rady dla siebie, ja sam, jak trzeba będzie, rozliczę się przed Jahwe ze swojego życia. Niepotrzebni mi żadni pośrednicy. Zresztą, nierzadko gorsi grzesznicy są ode mnie. Poza tym, jak wiesz, był już raz taki jeden mądrała, co to chciał rady dawać, ludzi zbawiać. No i wiadomo jak skończył – marnie. Więc może lepiej zejść z tej niebiańskiej ambony na ziemię, jak nie chcesz, żeby cię inni z niej zrzucili. Bo taki upadek bardzo boli, wierz mi. Trzymaj się lepiej twardo ziemi.

Zapadło niezręczne milczenie.

– No cóż, niech się dzieje wola nieba – odezwał się po dłuższej chwili Przybysz. – Widocznie z nią się zawsze zgadzać trzeba.

– Mistrzu! Mistrzu! – od strony miasta zbliżał się w ich kierunku jakiś młody człowiek. – Mistrzu, czekają na Was! – wyrzucił z siebie podniecony, gdy znalazł się blisko całej trójki. Następnie otarł pot z czoła i dodał: – Wszyscy już się zebrali.

Nieznajomy spojrzał na młodzieńca i spokojnie odparł:

– A jak to się stało, że tak prędko obróciłeś w tę i z powrotem. Co najmniej, jakbyś był biegaczem spod Maratonu.

– Słusznieprawicie, Mistrzu. Bo po prawdzie, to żem nie dotarł na miejsce. Szczęście to miałem, że po drodze znajomka spotkałem, więc mi powiedział – odparł rezolutnie młodzieniec.

– Zatem świetnie, mój synu. To bardzo dobrze, że masz tak dobrą nowinę – odparł ciepło Nieznajomy. – Nareszcie koniec naszej wędrówki. Jesteśmy na miejscu, jesteśmy

w domu! Ale zanim ruszymy dalej, odpocznij trochę, boś cały zgrzany.

– Nie-nie, Mistrzu mój, nie trzeba – zaproponował młodzieniec. – Lepiej chodźmy teraz, od razu! Szkoda czasu. Odpocznę idąc.

Nieznajomy spojrział na uśmiechniętą twarz swojego ucznia, a widząc na niej szczęście, odparł:

– No dobrze. Może masz rację. – A do pastuszków: – Żegnajcie, moi młodzi przyjaciele. Da dobry Bóg Ojciec, to się jeszcze kiedyś zobaczymy. I pamiętajcie, co powiedziałem. Szczególnie ty, synek – zwrócił się do hardego pastuszka. – Ukorz się, a będziesz miał przebaczone. No, Pan z wami! – Narysował dwoma złączonym palcami jakiś znak w powietrzu i wolno ruszył przed siebie. Za nim, jak wierny pies, podreptał młodzieniec.

Gdy już zupełnie znikli, skryli się za wzgórzami, za którymi krył się cel podróży Przybysza, ten, który przez cały czas w milczeniu przypatrywał się Nieznajomemu, powiedział:

– O kim ty właściwie mówiłeś, że niby marnie skończył?

– Nie pamiętam dokładnie. Przeglądałem kiedyś jakiś komiks i coś takiego tam było. Wiesz, jedna z tych naiwnych historyjek dla małolatów, co to ma na celu wychowanie w wierności i lojalności. Ale dla głównego bohatera, nazywał siebie właśnie prorokiem, kończy się ona dosyć fatalnie: jacyś barbarzyńcy na żywca przytwierdzają go do krzyża. Mówię ci – paskudna historia. Brrrr! Aż do dzisiaj przelatują mnie ciarki, jak sobie o tym przypomnę.

– Aha – mruknął drugi i nagle umilkł. Po chwili jednak dodał: – Ale mów, co chcesz, Piłacie, trochę potraktowałeś go

za ostro. Mógł się obrazić. W końcu, jakby nie było, to jakiś Mistrz – nie byle kto! Słyszałeś przecież...

– Z niego taki Mistrz, jak ze mnie ten... prokurator Judei, na ten przykład – zaśmiał się beztrosko. – Nie ma o czym gadać. Było – minęło. Lepiej zagrajmy w kamienie. A tak na marginesie, Jezusiczku, to musisz zmęźnieć. Koniecznie! Miękkie serce masz. Za miękkie. Całkiem jak baba. Ale to całkiem.

Jezus wiedział, że Piłat ma rację, więc nic nie odpowiedział, ciężko jedynie westchnął.

– Jak to on powiedział...? – Piłat rzucił pytanie, ale bardziej do siebie niż do towarzysza wspólnych zabaw. – Aha! ***Jak te owieczki, jednego pasterza...*** – Parsknął śmiechem, który po chwili przeszedł w trudny do zahamowania atak. Śmiał się teraz tak głośno i tak serdecznie, jak chyba nigdy dotąd. A kto go słyszał na pewno nie mógł być zły – ten śmiech bowiem zarażał. Był jak wirus przed którym trudno się obronić. – By go tak gęś kopnęła! Słyszałeś? ***Jak te owieczki...*** A to dobre! Czego to ludziska nie wymyślą...

Podczas gdy obaj młodzieńcy ukołysani wyśmienitym humorem niemalże zapomnieli o bożym świecie, Mistrz i jego przewodnik coraz bardziej zbliżali się do celu swojej wędrówki.

– Mistrzu... – Młodzieniec zawahał się. – Czy...

– No mówże o co chodzi! – przynaglił go przybysz, po którym było już widać zmęczenie trudami długiej wędrówki.

– Mam tutaj taką – zaczął niepewnie – taką jedną dobrą, co ja gadam!? – bardzo dobrą znajomą. – Uśmiechnął się porozumiewawczo mrużąc oko. – Gdyby tak Mistrz nie miał

nic przeciwko, to moglibyśmy o nią, tak niby przypadkiem, zahaczyć...

– Co ty mi tutaj...? Ty hultaju niewierny! – obruszył się Nieznajomy i złapał młodzieńca za ucho. Chłopak zawył z bólu. – To nie wiesz, kim jestem, co? Już zapomniałeś z kim masz do czynienia?

– Wiem, wiem, Panie. Ale moje ucho!

– No! To zapamiętaj to sobie raz na zawsze, ty chodzące nasienie szatana, że...

– Dobrze, już dobrze, Mistrzu – starał się zażegnać nieprzyjemną sytuację młodzieniec. – Nie chciałem Mistrza denerwować. – Mówiąc to, wycofał się poza zasięg jego ręki. – A tak w ogóle, to co mam sobie zapamiętać?

– Słucham?

– Powiedział Mistrz, żebym sobie dobrze zapamiętał. Tylko nie wiem, co mam sobie dobrze zapamiętać.

– Jak to co, jak to co?! A choćby to, że tak długo mnie zwodzisz!

– Zwodzę? – Twarz młodzieńca wyrażała teraz bezgranicznie zdziwienie. – Nie rozumiem. Ja?

– Przecie że nie święty turecki! Widzisz tu jeszcze kogoś oprócz nas? Ty, właśnie ty! Szybko prowadź do tej swojej dziewczoi, bo czasu nie mamy zbyt wiele. Ale z werwą, chłopcze, z werwą! – ponaglił go Wędrowiec.

Młodzieniec, pamiętając jeszcze niedawną nauczkę z uchem, z pewnym niedowierzaniem spojrzął na Mistrza. W momencie, gdy ich oczy spotkały się, wybuchli tak serdecznym śmiechem, że chyba nawet umarłego by on ruszył. Następnie, w radosnych nastrojach, zapominając o zmęczeniu

i nie zwlekając już ani chwili dłużej, ruszyli tam, gdzie czekała ich radość i przyjemność życia. Każdego życia!

Naprawdę niepodważalne dogmaty?

„Od zawsze”, czyli od niecałych dwóch tysięcy lat funkcjonuje w obiegu mniemanie, że – *ci przekłęci Żydzi zamordowali nam naszego pana Jezusa!* Oczywiście, takie myślenie jest i głupie, i ahistoryczne, niemniej przyczyniło się ono, według mnie, do powstania niechęci wobec Żydów jako takich, a tym samym do powstania antysemityzmu.

Zapewne dla wielu zabrzmiało to dziwnie, wręcz może szokująco, ale rzeczywistymi twórcami antysemityzmu, oczywiście nieświadomymi – może oprócz Jana – i zapewne wbrew swoim intencjom, stali się twórcy czterech synoptycznych Ewangelii, w których Żydzi są oprawcami innego Żyda – Jezusa zwanego Chrystusem! To oni właśnie, wbrew faktom!, przedstawili arcykapłana Kajfasza oraz tłum żydowski jako tych, którzy wydali na niego wyrok, od czego jakoby wzbraniał się Poncjusz Piłat, który przecież, jak powszechnie wiadomo, był niezwykle łagodnym barankiem i zapewne dlatego, jako jedyny z wielu zarządzających rzymskimi prowincjami, został wezwany do Rzymu w celu wytłumaczenia się ze swoich wyjątkowo łagodnych i pełnych miłości do bliźniego rządów.

Oczywiście, z czysto ludzkiego punktu widzenia stało się fatalnie, prawda historyczna bowiem jest taka, że Poncjusz Piłat, jako namiestnik rzymski zrobił to, co zrobił, bo musiał, i to bez żadnej dodatkowej zachęty ze strony arcykapłana

Kajfasza. Niemniej dzięki takiej relacji, jaka została zawarta w ewangeliach Nowego Testamentu, a która utrzymała się i funkcjonuje w obiegu świadomości chrześcijan do dzisiaj, powstał obraz wykoślawiony, bo obwiniający właśnie Żydów, jako nację, za śmierć jednego ze swoich współplemieńców, uniewinniając tym samym jego prawdziwego kata, którym był oczywiście ów ww. prefekt Judei.

Innym przekłamanie jest krzyż, na którym ów nieszczęsny Jezus znalazł swoje przeznaczenie. Nie dosyć, że jego fałszywy kształt został niejako „narzucony” przez Konstantyna Wielkiego (wprowadził go do ogólnej świadomości chrześcijan w wyniku snu, który jakoby miał przed bitwą, a w którym to śnie usłyszał, aby bronił tego symbolu), to na dodatek w żadnej z czterech Ewangelii nie jest on ani razu wymieniony z nazwy – występuje w nich jedynie jako *stupa*! Więcej – wszystkie naukowe doświadczenia z nim związane dobitnie świadczą o diametralnie innym jego kształcie, ponieważ zarówno ów tradycyjny krzyż, jak i w formie litery **T**, wykluczają użycie obu tak ze względów technicznych – rzecz w masowości jego wykorzystania (taka masowość jego użycia wówczas występowała!), jak i z racji swojego przeznaczenia, czyli surowości kary, tj. długiego i dotkliwego cierpienia.

Kolejne przekłamanie dotyczy rodziców Jezusa. O ile sprawa z matką jest jasna: bo albo Maria urodziła go jeszcze jako panią, albo już jako żona Józefa, tyle że z całą pewnością w wyniku zdrady (obstawiam wariant pierwszy), o tyle sprawa ojcostwa jest tutaj już znacznie bardziej zagmatwana. Oczywiście, ojcostwo jakoby jakiegoś

szemranego Ducha, choćby i Świętego, można włożyć między bajki; szybciej już broni się teza, że jego ojcem był rzymski legionista fenickiego pochodzenia o imionach Tyberiusz, Juliusz, Abdes Panthera, stacjonujący w tamtym czasie w Sydonie, o czym można przeczytać w pracy Orygenesa zatytułowanej *Przeciwko Celsusowi*, gdzie padają cytaty z dzieła tego ostatniego *Prawdziwa doktryna*, a który w sposób krytyczny odnosi się do dogmatów chrześcijaństwa. I nieważne przy tym, czy Maria była w tym momencie panienką, czy też już mężatką i w wyniku zdrady poczęła Jezusa, istotne, że dziecko tak w pierwszym przypadku, jak i w drugim, było z nieprawego łoża, co skutkowało jedną poważną konsekwencją: był mauzerem, co znaczyło tyle, że nie mógł pojąć za żonę żydówki, a jedynie gojkę. Stąd właśnie w całej tej historii postać Marii Magdaleny, która również, podobnie jak ojciec Jezusa, była fenickiego pochodzenia.

Takich przekłamań i im podobnych w Nowym Testamencie jest znacznie więcej, ale o nich może innym razem, najlepiej przy okazji następnych świąt.

Ament.

29.12.2015 r.

Przeznaczenie?

Przyszedł na świat mniej więcej czterdzieści lat temu w nieznanym mu bliżej okolicznościach i miejscu. Nie wiedział, kim jest i po co w ogóle się narodził. Ci, którzy go przygarnęli – była to stara, przybyła z Grecji do Izraela w latach pięćdziesiątych rodzina żydowska, Katharsis – i wychowali, do końca swoich dni nie powiedzieli na ten temat ani słowa. Traktował ich oczywiście jak rodziców, ale wiedział też, że nie zostali nimi w sposób naturalny, czyli biologiczny. Niemniej ten problem dla nich nie istniał, jakby ich nie dotyczył. Wiedzieli, że adoptując go, popełnili błąd, ale też nic już nie było w stanie tego zmienić. Oddanie go na powrót pod opiekę poprzedniej placówki byłoby zbyt dużym okrucieństwem, które tak naprawdę ich przerastało. Mleko się rozlało, więc nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z tym faktem i próbować go jak najlepiej wychować. Dlatego zaakceptowali ten stan i nigdy do tego nie wracali. Aż do końca dni swoich – do swojej śmierci.

Jako że był jedynakiem, a swojej biologicznej rodziny nie znał, po śmierci swoich przybranych rodziców został sam. To jednak w ogóle mu nie przeszkadzało. Dlatego nawet przez moment w jego głowie nie pojawiła się najmniejsza choćby myśl, żeby odnaleźć tamtą, ktoś by mógł powiedzieć „właściwą”, ktoś inny że „prawdziwą”, rodzinę. Nie interesowali się nim przez całe jego życie, więc teraz on nie miał najmniejszej ochoty na ich poznawanie. Poza tym lubił

samotność. Był to stan, podczas którego z przyjemnością oddawał się marzeniom o swojej potędze, o tym, co mógłby zrobić pożytecznego, gdyby miał władzę. Samotność tutaj w żaden sposób nie była stanem, który by go przerażał. Wręcz przeciwnie – czuł się z nim świetnie, albowiem był częścią składową jego charakteru, zatem w sposób naturalny wynikał z jego człowieczeństwa, z jego wnętrza. I właśnie wtedy, gdy doświadczał owej samotności po utracie najbliższych mu ludzi, wydarzyło się coś, co miało definitywnie odmienić jego życie. Tym czymś był sen. Ale nie jakiś zwykły, jeden z wielu niepoliczalnych i nie do odróżnienia i zapamiętania, jakich doświadczamy w swoim życiu. Ten sen był inny. To był – jak on go nazwał – *sen proroczy*! Sen, dzięki któremu wyzwolił się ze stereotypowego, doktrynalnego myślenia. Uwolnił się z tkwiących w nim gdzieś głęboko, na skutek takiego a nie innego wychowania, skostniałych uprzedzeń. To był sen, dzięki któremu pozbył się jakichkolwiek zwątpień, które jednak co jakiś czas odzywały się w nim, męczyły go, a przez to również, niestety, ograniczały. Teraz, właśnie dzięki niemu, stał się niejako nowym człowiekiem, pozbawionym niepotrzebnych złudzeń; teraz dysponował na tyle dużą siłą, iż stany niepewności, wewnętrznych rozterek miały raz na zawsze się skończyć. Od tego momentu czuł, że jest innym, wyjątkowym człowiekiem! O wiele bardziej przydatnym, wartościowszym, niż jeszcze do niedawna mogło się wydawać. Chociaż, tak naprawdę, gdzieś głęboko w sobie czuł, że jest nie tylko człowiekiem, ale czymś znacznie więcej. Był przekonany, że jest kimś, kto...

„Tak” – pomyślał. – „Muszę zniszczyć ten zwierzęcy instynkt zła tkwiący gdzieś głęboko w człowieku. Muszę!

Dzisiaj w nocy odebrałem od Ciebie, Panie, przykazania-polecenia, które naturalnie wypełnię. Jedno wszak zastanawia mnie przy tym i nie daje spokoju: Jeżeli moi opiekunowie dali mi na imię Jesus, to dlaczego tak długo byłem bezczynny? Dlaczego Ty milczałeś? Czyżbyś poddał mnie jakiejś próbie? Egzaminowi? A jeżeli tak, to po co? W jakim celu? Przecież gdybym wcześniej wiedział...” – Ściągnął niczym jałowiec krzaczaste brwi i krzyżując ręce na piersiach, założył jednocześnie nogę na nogę. Jego zimny wzrok skierowany był teraz na wiszący na ścianie krzyż. – „Ojciec zawsze mówił, że jestem drań i nic dobrego ze mnie nie wyrośnie. Ona też tak myślała. Podobnie jak inni. Ale ja im jeszcze pokażę. Wszystkim!” – Chłodno się uśmiechnął i przymykając oczy, wygodnie rozpostarł się w fotelu.

Pokój, w którym się znajdował, był, mimo znajdujących się w nim przedmiotów, nieprzyjaźnie pusty i zimny. Sprawiał wrażenie, jakby tutaj znalazła swoją siedzibę noc skuta wiecznym lodem ciemności. Na jednej ze ścian wisiał jego portret. Obok, po lewej stronie, widniał obraz „Ostatniej wieczerzy”, po prawej znajdowało się płótno przedstawiające „Ukrzyżowanie”, a pod nim znalazł swoje miejsce nóż. Był to nóż z wysadzaną diamentami rękojeścią, który zdobył na wojnie Yom Kippur (podczas sześciodniowej wojny z arabskimi braćmi), a który miał mu teraz służyć z woli Pana w walce z niesprawiedliwością tego świata. Po przeciwległej stronie znajdowało się – od chwili śmierci przybranych rodziców – zawsze zasłonięte czarnym suknem okno, przez które nie przedostawały się choćby najmniejsze promyki dziennego światła. Na tle bocznej pustej ściany stał taboret, na którym leżał stary telewizor z potłuczonym

kineskopem. Rozbił go kiedyś w przyływie nagłego wybuchu gniewu, gdy oglądał jakiś dokumentalny film o życiu swojego wielkiego imiennika, który odzierał się w nim z wszelkiej boskości. Na wprost, po drugiej stronie, umieszczone było łoże, obok którego tlił się ogarek dopalającej się świecy. Nad nim wisiał wspomniany już wcześniej krzyż. Na środku pokoju znalazł swoje miejsce bujany fotel, w którym, zwrócony twarzą do gasnącej świeczki, siedział on, pogrążony w tym momencie całym swym jestestwem w modlitwie, której treścią stało się jego powołanie. Zamyślona postać, w półmroku dogasającej świecy, wyglądała dziwnie nienaturalnie, wręcz odpychająco. Jego twarz pokrywał jasno-rudawy rzadki zarost; usta były małe i wąskie, nos prosty, długi, a uszy lekko odstające; wzrok niejako zdawał się mówić o jego nieludzkich zamiarach, natomiast krótko przystrzyżone włosy sugerowały, jakby dopiero co opuścił zakład karny. W ogóle całe to pomieszczenie wraz z nim wyglądało jak kadr wyjęty z jakiegoś znanego wszystkim filmu grozy.

Gdy tak nieruchomo siedział, obojętnie wpatrzony w tylko sobie wiadomy punkt na ścianie, nagle, zza okna, z pobliskiego ratusza dobiegł do wnętrza pokoju rozdzierający ciszę dźwięk, wybijającego północ zegara. Jesus jakby go oczekiwał, bo nieomal w tym samym momencie podniósł się. Gdy się wyprostował mógł mieć nie więcej niż sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu; ubrany był w luźną bluzę z kapturem i spodnie koloru khaki, a na nogach miał miękkie sportowe obuwie. Następnie podszedł do ściany, zdjął nóż i przeszedł do przedpokoju. Zarzucił na siebie – pozostały po przybranym ojcu – stary, wytarty płaszcz, przypominający

starożytną tunikę, podniósł z podłogi wcześniej przygotowaną paczkę i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Następnego dnia jedząc spóźniony obiad w jednej z tańszych w tej części miasta restauracji, wyjął z kieszeni płaszcz popołudniową gazetę i zaczął ją od tyłu przeglądać. W momencie gdy dotarł do pierwszej strony, jego oczom ukazał się napis, który w nagłówku rozpaczliwie pytał: „Dewianci czy fanatycy?”, a pod spodem w dalszej jego treści czytał: „...dwanaście osób żywcem pogrzebanych w płomieniach pensjonatu > Korynt <, trzy ocalałe z płomieni, zasztyletowane. To krwawe żniwo minionej nocy policja przypisuje jednej i tej samej osobie lub też grupie osób. O słuszności takiego stanowiska świadczyć mają krzyże namalowane czerwoną farbą na chodnikach w miejscach, gdzie rozegrały się te isticie dantejskie sceny. Według policji może to wskazywać na podłoże religijne...” Nie czytał do końca. Odłożył gazetę na bok, zanurzył łyżkę w zupie i pełen rosnącego w sobie zadowolenia, powrócił do przerwane go na moment posiłku.

Mniej więcej tydzień po tym wydarzeniu, które wstrząsnęło całą społecznością tego niewielkiego miasteczka, w tejże samej gazecie ukazał się inserat następującej treści: „Organizacja Najwyższego Stwórcy rozpoczęła działalność. Spotkanie Jego wysłannika z nowymi członkami stowarzyszenia odbędzie się dwudziestego kwietnia o godzinie dwudziestej na ulicy Niepokalanego Poczęcia”.

Tego właśnie dnia, w starym zrujnowanym budynku bóżnicy zebrało się dwanaście młodych osób. Po krótkim wprowadzeniu, jakie wygłosił na wstępie Katharsis na temat przyszłej działalności organizacji, zupełnie nieoczekiwanie ci

wszyscy, po raz pierwszy zebrani w tym miejscu ludzie, opuścili pomieszczenie, pozostawiając go z jego niezrealizowanymi planami. Był nie tylko zaskoczony tym, co się stało, ale również ogromnie rozczarowany i rozgniewany. I wówczas wydarzyła się jeszcze jedna niespodziewana rzecz, mianowicie, ni stąd i z owąd, niczym z nicości, stanął przed nim człowiek, który był jego zewnętrznym przeciwieństwem. Był wyższy od niego o głowę i mógł mieć nie więcej jak trzydzieści lat. Oczy miał ciemne, łagodne, można by nawet rzec opiekuńcze, lecz jednocześnie spojrzenie jego było niezwykle stanowcze; nos miał prosty, kształtny, usta natomiast były niewidoczne, pokrywał je bowiem gęsty, czarny zarost znacznej długości. Uszy były ukryte pod falami orzechowych włosów, miękko spływających pierścieniami na ramiona, które sprawiały wrażenie jakby pragnęły wtulić się w szatę. Jego wygląd, mimo całej swej skromności i prostoty, pełen był powagi i dostojenstwa. Łudzaco przypominał postać świętego ze znanego obrazu, ikony, czy też innego przedmiotu kultu religijnego.

Cisza, która wypełniała całe pomieszczenie, została nagle przerwana słowami nieznajomego:

– Wiem, kim jesteś i co zrobiłeś! Droga, którą krocysz, to droga zła. To droga, która doprowadzić cię może jedynie do... – Nagle urwał i zamyślił się, jakby chciał sobie coś przypomnieć. Dłonie ułożył w modlitewnej pozie i po chwili dodał: – Znam twoje myśli i zamiary i nie podobają mi się one. Dlatego, zaklinam cię, zaniechaj ich! Cel, jaki sobie wyznaczyłeś, sam w sobie jest nawet piękny i wzniosły, lecz metody, którymi chcesz się posłużyć, niestety, są straszne

i w żaden sposób nie do zaakceptowania. Zastanów się nad tym, synu. Przemyśl to raz jeszcze!

Zapadło dłuższe milczenie. Jesus Katharsis był wyraźnie zaskoczony i potrzebował paru chwil, żeby wszystko na nowo sobie poukładać w głowie. Gdy w końcu zebrał myśli, powiedział:

– Nie wiem, kim jesteś i kto ci dał prawo, żeby mnie instruować, co mogę a czego nie. Nikt nie będzie mi rozkazywał, a już na pewno nie ty. Nie potrzebuję żadnych doradców i ich nikomu niepotrzebnych porad! Postępuję tak, jak wymaga tego ode mnie mój Pan i Stwórca – tylko Jemu służę!

– Mylisz się – przerwał mu nieznajomy. – W ten sposób nie służysz Panu, służysz diabłu!

– Precz stąd! – zirytował się Jesus. – Precz! Chcę zostać sam. Nikogo nie potrzebuję. Dobrze wiem, co mam robić i...

– Opamiętaj się! – Nieznajomy spróbował raz jeszcze trafić do serca Katharsisa. – Zejdź z tej drogi którą kroczysz, bo to droga donikąd, zaprowadzi cię ona bowiem tylko w jedno miejsce...

– Precz! powiedziałem. – Nie krył zdenerwowania Jesus.

Tajemniczy nieznajomy, jak niespodziewanie się pojawił, tak i bezszelestnie, niezauważalnie znikł, pozostawiając jednak po sobie na dłuższy czas w uszach Jesusa dźwięk ostrzegawczych słów oraz bliżej niesprecyzowany niepokój, który niezauważalnie wkradł się w jego serce. Tak, mimo tego, co zrobił do tej pory, miał serce.

Po kilku dniach, które minęły od tych niefortunnie zakończonych wydarzeń w domu modlitwy, Jesus postanowił

nikomu i niczemu nie ulegać i dalej samotnie kontynuować walkę, której reguły, jeżeli w ogóle takowe były, wcale nie były lepsze od reguł działań wojennych. Na jej efekty wcale nie trzeba było długo czekać. Nad miastem znów zawisły ciężkie chmury panicznego strachu, paraliżując jego życie. W miejscowych mediach raz po raz zaczęły się pojawiać rozpaczliwe informacje, wzywające miejskie służby porządkowe do skuteczniejszego działania. Jednocześnie zwracały się one o pomoc do anonimowych ludzi, którzy mogliby podać choćby strzępy jakichś ważnych dla policji informacji, a które mogłyby przyspieszyć rozwikłanie tej makabrycznej sprawy.

Tymczasem, gdy stróże prawa dalej razili indolencją w swoich działaniach, częstotliwość popełnianych zbrodni zaczęła się w zastraszający sposób nasilać. Jakby ten, kto je popełniał, był przeświadczony o swojej bezkarności.

Po ustawicznie zamieszczanych w prasie apelach, któregoś wrześniowego dnia w drzwiach miejscowego komisariatu stanął pewien mężczyzna, przypominający, wypisz wymaluj, człowieka, znanego już ze spotkania z Katharsisem. Następnie podszedł on do okienka, w którym majaczyła postać policjanta i o coś zapytał. Gdy usłyszał odpowiedź, skierował się w stronę automatycznie zamykanych drzwi i po chwili za nimi zniknął.

Nie upłynęły nawet jeszcze dwadzieścia cztery godziny od złożonej przez nieznajomego wizyty w biurze dochodzeniowym, gdy podjęta, jeszcze w trakcie jego obecności w komisariacie, akcja, została zakończona pełnym powodzeniem: w areszcie został osadzony ten, który stał się w ostatnim czasie postrachem całego miasta!

Po skompletowaniu przez oskarżycieli wszystkich materiałów obciążających Jesusa, co odbyło się w niezwykle ekspresowym tempie, w wyjątkowo słoneczne o tej porze popołudnie ława przysięgłych orzekła: „Winny!”, po czym sędzia odczytał wyrok: „Sąd Najwyższy w Jerozolimie, skazuje obywatela Jesusa Katharsisa, syna Józefa i Marii, na śmierć na krześle elektrycznym. Egzekucja odbędzie się w dniu pierwszego kwietnia tysiąc dziewięćset...”

– Mistrzu! Mistrzu! – niecierpliwi się Judasz, potrząsając Jesusa z Nazaretu za ramię. – Słońce już wzeszło, trzeba się spieszyć. Jeszcze dzisiaj musimy być w Jerozolimie!

Mistrz wolno podźwignął się z posłania i mętnym wzrokiem rozejrzał dookoła. Jego zamglone, senne oczy nie do końca chyba zdając sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje, pytały: czy to jeszcze sen, czy może już rzeczywistość? Po dłuższej chwili wyczekującego milczenia, otrząsnąwszy się jednak już na dobre z sennego koszmaru, spokojnie powiedział:

– Dziwny sen miałem.

– Sen?

– Dziwny i zarazem...

– Jaki sen, Mistrzu? Nie rozumiem...

– Dość powiedzieć, że okropny! Dlatego zanim ruszymy w dalszą drogę, mój bracie, pomodlimy się. – Następnie uklęknął na gołej ziemi, zwrócony twarzą, do osiągającego w swojej wędrówce coraz wyższy punkt sklepienia niebieskiego słońca, i pogрузił się w głębokiej modlitwie, zapominając – chciał zapomnieć! – o niezrozumiałej, dziwnej historii człowieka z dwudziestego wieku, którego nie dane mu było nigdy poznać.

25 grudnia – wielowiekowa błazenada religijna

Jak zwykle, co roku, znowu zbliżamy się w tym czasie do magicznej daty 25 grudnia, czyli dnia, w którym, jakoby, na świat przyszedł Jezus. Tyle tylko, że tak on przyszedł na świat w tym dniu, jak wcześniej Ozyrys, Mitra, czy również Apoloniusz z Tiany. Prawda bowiem jest taka, że magiczność tej daty wiąże się z czysto naturalnym ruchem słońca na niebie i zapowiedzią w związku z tym dłuższego dnia, nadejścia wiosny i oczekiwanego po zimie ciepła. Krótko mówiąc nie tyle chodzi w tej dacie o te wszystkie jasełka związane jakoby z przyjściem na świat Jezusa (tak naprawdę data ta w jego przypadku przyjęła się dopiero w IV wieku, gdy i religia chrześcijańska odniosła sukces w Cesarstwie Rzymskim) i jemu podobnych bóstw w tym właśnie dniu, ile przede wszystkim o odniesienie się do niezwykle naturalnych ruchów słońca na niebie, kiedy zmienia ono swoją pozycję o jeden stopień i w związku z tym dochodzi niejako do „budzenia się” całego naszego świata do życia. Dodatkowo w tym właśnie dniu Syriusz, gwiazda 21-krotnie jaśniejsza od naszego słońeczka, znajduje się w jednej linii z trzema gwiazdami z konstelacji Oriona, które w starożytności nazywane były, nomen omen, *Trzema Królami*(!). W ten sposób odnosiły się one do owych wszystkich ww. „narodzin”, chociaż, tak naprawdę, wskazywały i wskazują nadal wschód gwiazdy ogrzewającej naszą matkę ziemię od miliardów lat.

Czy może być zatem lepsza data w naszym kalendarzu na narodziny jakiegoś bóstwa? Oczywiście – nie może! Dlatego nic dziwnego, że akurat tę datę upatrzyli sobie i starożytni Egipcjanie, i Sumerowie, i Babilończycy, i Grecy, następnie sięgnęli po nią również najpierw rzymscy żołnierze wyznający kult Mitry, a od nich przejęli ją ochoczo chrześcijanie. Krótko mówiąc gra *w podaj dalej datę narodzin bożka* świetnie się rozwijała!

Myślę, ba – jestem pewien, że byłoby zupełnie inaczej w tej kwestii, gdyby, jak to zwykle bywa w tradycji ludzkości, we wszystkich naszych wierzeniach więcej było nauki i rozsądku, i w ogóle więcej człowieka, a mniej jakiegoś tam wyimaginowanego boga. Niestety, problem w tym, że na taką postawę jest jeszcze widać za wcześnie. Z jednego prostego powodu: naszego duchowego rozleniwienia! Bo żeby to zmienić, trzeba w tym właśnie zakresie wykonać ogromną pracę, przede wszystkim nad sobą i swoim wewnętrznym rozwojem. Gdy tego dokonamy, wówczas z całą pewnością przełoży się to na wyrobienie w sobie zupełnie innej świadomości – świadomości człowieka uwolnionego od wszelkiej indoktrynacyjnej presji, a tym samym do odebrania wszystkim religiom zawłaszczonego przez nie Boga. I wtedy powrócimy intuicyjnie i w sposób naturalny do czegoś na kształt pogaństwa, które utworzy nam podłoże do osadzenia na nim *idei boskości*! Albowiem cząstka tej idei jest w każdym z nas i nie potrzeba nam wcale żadnych ziemskich pośredników w postaci księży, imamów czy rabinów i diabli wiedzą, kogo tam jeszcze nadali, aby być z nią w stałym kontakcie.

Ament.

27.11.2016 r.

Współczesny Mesjasz

Od dziewięciu już godzin był w drodze i był potwornie zmęczony. Ale nie czas w niej spędzony przygnębiał go i odbierał siły, dużo bardziej bolesna i rozczarowująca była jego porażka. Nikogo nie pozyskał dla swojej idei, więc tak rozumiał i przyjmował efekt swojej pracy – właśnie jako porażkę. Czuł żal i rozgoryczenie, a tym było ono większe, im więcej musiał zamykać za sobą drzwi. Chociaż, z drugiej strony, to i tak dobrze, że mógł je zamknąć. W końcu więcej było takich, którzy w ogóle nie pozwalali mu na przekroczenie progu swojego domostwa. I albo wtedy bezskutecznie produkował się przed na wpół otwartymi drzwiami, co zresztą przeczuwał już podskórnie zanim otworzył usta, albo w ogóle nic nie mówił, bo nie było do kogo – nikt nie chciał go słuchać. A drzwi dzisiaj, zamkniętych przed jego słowem, przed dobrą nowiną jaką głosił, było niemało. Dlatego do zmęczenia drogą, dołączyły również frustracja i rozgoryczenie. Miał wszystkiego dosyć i pragnął tylko jednego: odpoczynku. Więc gdy zamajaczyły przed nim, w wieczornym świetle przydrożnych latarni drzwi miejsca, które dobrze znał, postanowił wejść i...

Wnętrze nie było duże, ale wypełnione ludźmi po brzegi – chociaż tak naprawdę nie było ich znowu tak wielu. W powietrzu unosił się zwykły rybi zapach, jak we wszystkich tego typu miejscach, gdzie sprzedaje się taki właśnie towar. Panował niezbyt głośny gwar. Prawdopodobnie atmosfera świąt usposobiła wszystkich nostalgicznie i równie skutecznie

wyciszyła. Po chwili w ów panujący we wnętrzu klimat, pełen filozoficznej zadumy, wdarł się niczym intruz głos przybysza:

– Pokój temu do... – Nie dokończył, błyskawicznie się zreflektował i rozpoczął raz jeszcze: – Pokój temu pomieszczeniu. Oczywiście że pomieszczeniu. No przecież. Zatem, dobrzy ludzie, szczęść Boże!

Rozległ się szmer, lecz nikt mu nie odpowiedział. Nieufność tych ludzi wypisana była na ich twarzach. Nieznajomy uważnie je zlustrował, po czym rzekł:

– Wigilia jutro, a wy drogi swojej nie widzicie i prawdy nie znacie, bracia moi.

Zebrani w pomieszczeniu ludzie spojrzeli na siebie zdziwieni, ale nadal żaden z nich nic nie powiedział. Zapewne dlatego nieznajomy, nie zrażony ciszą, ciągnął dalej:

– Kawał dziś drogi pokonałem, żeby tu do was dotrzeć. I powiem wam, że warto, bo słowo, z którym przybywam, objawi wam właściwą drogę. Powiadam wam zatem – porzućcie sieci wasze i domostwa swoje, i pójdźcie za mną, a żołądki wasze nigdy puste nie będą i domy wasze tam będą, gdzie i wy staniecie. Wynijdźcie na drogę pokory i prawdy jedynej, bo objawionej. Nadszedł najwyższy czas, żeby przestać błędzić!

Umilkł. Przez chwilę jakby się wahał, zbierając myśli, ale akurat tyle czasu wystarczyło zebranych tam ludziom, żeby się otrząsnęli z konsternacji, jaka nimi niespodziewanie zawładnęła podczas jego przemowy. W momencie, gdy znowu chciał zabrać głos, podzielić się ze wszystkimi tą jedyną objawioną prawdą, dwóch roślących silnych mężczyzn, zostawiwszy na ladzie swoje siatki, wyszło z kolejki, ujęli energicznie nieznajomego pod pachy i wyprowadzili na

zewnątrz sklepu, zrzucając go prosto w nieprzerwanie rosnącą od czterech godzin kołdrę śniegu. Leżał w niej bezwładnie, jak pijany u płotu.

Leżał w niej jakiś czas nieruchomo, jakby niespodziewanie zastygł. Następnie wstał, otrzepał ubranie z drobin skrzącego się śniegu, spojrzął z nieskrywanym wyrzutem raz jeszcze na ów rybny sklep, gdzie tak niegodziwie go potraktowano, po czym mrucząc coś niezrozumiale pod nosem, powędrował w zbliżającą się coraz szybciej i wyraźniej ciemność nocy, nie wiedząc dokąd i po co.

Kto ma oczy niechaj czyta!

– Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam – jam jest światłością rozpraszającą mrok dnia waszego! Uwierzcie we mnie, a droga wasza oświetlona będzie i zaprowadzi was do celu. Bo ona jest waszym wszystkim!

Tak, myślę, mogłyby brzmieć słowa współczesnego Chrystusa. Mogłyby, co nie znaczy że zabrzmiały. Właśnie nie zabrzmiały! Przynajmniej nie tu i teraz. Z dwóch powodów: po pierwsze – nikt by w nie dzisiaj nie uwierzył, po drugie natomiast brakuje potencjalnego Chrystusa, który mógłby je wypowiedzieć. I obronić, naturalnie. A gdyby się nawet pojawił, to jego słowa szybciej mogłyby zabrzmieć w ten oto sposób:

– Jam jest światłością waszą, albowiem przybyłem... z Czarnobyli!

Tyle, że tego rodzaju zjadliwa ironia jest tutaj całkowicie zbyteczna. Dlatego, jakkolwiek mogłoby być, jakkolwiek mogłaby się potoczyć życiowa droga nowego mesjasza i cokolwiek by powiedział, dzisiaj nadal chciałoby się wiedzieć więcej na temat tego, który już zaistniał w naszej historii i odkupił – ponoć – grzechy tego świata. Wszystkie! Od tego momentu, zdaje się, człowiek może grzeszyć do woli, a i tak będzie mu wybaczone. W myśl zresztą nauki głoszonej

przez samego Mistrza z Nazaretu, że: jedna zbłąkana owieczka więcej przynosi radości, niż całe pokorne stado w zagrodzie.

Cóż, jeżeli ktoś naprawdę chce się czegoś więcej dowiedzieć o reformatorze religijnym sprzed dwóch tysięcy lat, zmuszony jest zbierać rozproszone fragmenty o nim w różnego rodzaju historycznych przekazach, począwszy od Nowego Testamentu, poprzez tak zwane ewangelie gnostyczne, a skończywszy oczywiście na pojedynczych wzmiankach zawartych w różnego rodzaju źródłach historycznych. Mnie, tym samym, nie pozostało nic innego, jak trochę w tym wszystkim poszperać. A oto częściowe efekty tego szperania.

Jak powszechnie wiadomo nie jest znana dokładna data narodzin Chrystusa, ani też jego śmierci. Z całą jednak pewnością można zakładać, że urodził się pomiędzy ósmym a czwartym rokiem p.n.e., kiedy to miały miejsce dwa ważne wydarzenia: pierwsze – to spis ludności przeprowadzony przez rzymskiego namiestnika Syrii, prawdopodobnie rozpoczęty przez Sencjusza Saturninusa (9 – 6 r. p.n.e.), a dokończony przez Kwiryniusza, który oficjalnie został legatem tej prowincji właśnie w 6 r. p.n.e.; drugie natomiast wydarzenie, które pośrednio informuje nas o narodzinach Chrystusa, to data śmierci samego Heroda Wielkiego, która nastąpiła na początku czwartego roku p.n.e. Jego śmierć jest o tyle interesująca że, jak podaje Ewangelia Mateusza, na wieść o narodzinach nowego króla żydowskiego, który miał jakoby w przyszłości zagrozić królewskiej władzy władcy Judei, nakazał on zabić wszystkie dzieci do drugiego roku życia, co zostało w tradycji chrześcijańskiej nazwane *rzezią niewiniątek*.

Bez względu na prawdziwość tej powiastki istotne jest tutaj co innego: reakcja Heroda na wieść o kimś takim jak Jezus. Należy zatem przyjąć pewnik, że zanim Herod umarł, Jezus już na świecie był! Pytanie zatem, jakie się pojawia w tym miejscu, brzmi: W jakim był on wówczas wieku?

Oczywiście, pewności nie ma żadnej, niemniej mógł mieć on wówczas zarówno rok, dwa lata, jak równie dobrze trzy lub nawet cztery. Istotne i pewne jest tylko jedno: już wtedy żył!

Jeżeli odrzucimy skrajne daty, tj. ósmy i czwarty rok p.n.e., pozostanie nam rok siódmy, szósty i piąty. Aby wybrać ten właściwy nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się w stronę astrologii, która mówi nam, że w każdym z tych lat zaistniało jedno fenomenalne zjawisko astronomiczne, które mogło być obecne przy narodzinach Jezusa. Jednym z nich może być kometa widoczna w tamtym czasie na niebie w marcu i kwietniu w piątym roku p.n.e., która najprawdopodobniej zaowocowała przekazem o trzech królach i gwiazdzie betlejemskiej zamieszczona w Ewangelii Mateusza. Krótko mówiąc, którejkolwiek nie przyjęlibyśmy daty przyjścia Jezusa na świat, jedno jest pewne: urodził się on pomiędzy siódmym a piątym rokiem p.n.e., co zresztą dodatkowo potwierdza Ewangelia Łukasza:

2.4. Poszedł też i Józef z Galilei, z miasta Nazaretu, do Judei, do miasta Dawidowego, zwanego Betlejem, dlatego że był z domu i rodu Dawida, aby był spisany wraz z Marią, poślubioną sobie małżonką, która była brzemienna. I gdy tam byli, nadszedł czas, aby porodziła.

Natomiast co do śmierci Chrystusa na krzyżu, to znów w sukurs przychodzi tutaj astrologia, która mówi, że mogła ona przypaść na 7 kwietnia 30. roku lub 3 kwietnia 33. roku naszej ery. Wielu skłania się do daty pierwszej, ja, biorąc pod uwagę tylko samą śmierć Jana Chrzciciela, która przypadła na 32 rok naszej ery, stanowczo opowiadam się za datą drugą (zginął przed Chrystusem!). Idąc tym tokiem rozumowania wychodzi, że w chwili ukrzyżowania Jezus musiał mieć od ok. 37. do 41 lat! Dodatkowo, według mnie, wiek ten potwierdzają słowa pochodzące z Ewangelii Jana, który zapisał – cytuję:

(Jan 8.57)Wtedy Żydzi rzekli do niego: Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś?

Powyższe słowa skłaniają do wniosku, że musiał mieć w tym czasie właśnie około czterdziestu lat! Nie jest bowiem raczej w zwyczaju zwracać się do kogoś, kto ma np. dwadzieścia lat, że gdzieś nie był, czy też na czymś się nie zna itd., ponieważ nie ma jeszcze czterdziestu czy też pięćdziesięciu lat. W takiej sytuacji mówi się raczej zwyczajowo, że ktoś taki nie ma jeszcze nawet trzydziestki! Dlatego mocno wątpię, ba – jestem wręcz pewien, że Chrystus w chwili ukrzyżowania bliższy był czterdziestki, niż owych mitycznych trzydziestu trzech lat!

– Zatem: kto ma oczy niech czyta! Kto ma uszy niech słucha!

03.07.2016 r.

Ostatnia wieczerza w lupanarze

Pomieszczenie, w którym się zebrały, nie było wielkie, ale na tyle duże, że pomieściły się w nim wszystkie. Było ich dwanaście – tuzin wiernych uczennic, oddanych bezgranicznie Jemu, który był im nie tylko nauczycielem, ale także ojcem i matką, bratem i siostrą, przyjacielem i niezastąpionym towarzyszem życia. Był ukochanym, umiłowanym opiekunem. Wyrocznią. Był ich Mistrzem! I może nie zdawały sobie jasno z tego sprawy, ale z całą pewnością podświadomie to wyczuwały – był ich życiem! Tkwił w nim mocno i nieodparcie. Żył z nimi wszystkimi, ale też istniał w każdej z nich z osobna, mocno i niezachwianie.

Gdy wszedł, wszystkie powstały ze swoich miejsc jak na rozkaz, chociaż żadna komenda nie padła. Następnie wolno omiótł je wzrokiem pełnym ciepła, dobrotliwie się uśmiechnął i wolno powędrował do miejsca, które było puste, a które czekało na Niego. Usiadł. One zrobiły to samo, milcząco wpatrując się w Niego, jakby w oczekiwaniu na jakiś cud. Ale żaden cud nie nadchodził, a On milczał dalej. Po chwili powiódł raz jeszcze bystrym wzrokiem po zebranych niewiastach, po czym przemówił:

– Tak, moje kochane. Zdarzyło się coś, czego można się było spodziewać. – I w momencie, gdy wybrzmiały dźwięki ostatniego słowa, powtórzył: – Można było? Zaprawdę? – Na dłuższą chwilę zawiesił głos, jakby w niemym oskarżeniu i w oczekiwaniu na odpowiedź, ale żadna ze zgromadzonych

w tym miejscu kobiet nie chciała Mu przeszkadzać, więc wszystkie karnie milczały. – Tak – zaczął ponownie – chyba tak. A jako że sprawy mają się tak a nie inaczej, będę musiał... to znaczy – poprawił się – jestem zmuszony was opuścić. Już wkrótce.

Gdy treść Jego słów dotarła do zebranych w pomieszczeniu niewiast, podniósł się lekki hałas. W oczach kobiet dostrzec można było obawę zarówno o siebie, jak i o Niego. Mimo prostoty Jego słów, one jakby ich nie rozumiały, a spojrzenia wyrażały bezgraniczne zaskoczenie, czy nawet przerażenie!

– Muszę – powtórzył głucho i zwiesił głowę, uciekając ze wzrokiem.

– Ale, dlaczego? – odezwała się jedna z nich. – Nie rozumiem? I chyba żadna z nas nie rozumie... – Spojrzała po zebranych, szukając głośniejszej aprobaty dla swoich słów.

Podenerwowanie wzrastało, głosy zebranych niewiast były coraz donioślejsze, podczas gdy On nieprzerwanie milczał.

– Dlaczego, Mistrzu? – rzuciła pytanie kolejna z nich.

– Właśnie, dlaczego?! – pochwycił jeszcze inny głos pełen trwogi.

– Dlaczego? – powtórzył głucho po jakimś czasie On. – Dobrze, Magdo, odpowiem ci. Albowiem... Na skutek zdrady muszę odejść. Tak, zdradzono mnie! Ot, jakieś judaszowe nasienie wzięło i zdradziło!

– Ale, jak? To niemożliwe! – jedna przez drugą próbowały zanegować bolesny ciężar Jego słów.

– Ja też nie mogłem uwierzyć, jednak to fakt. Niezaprzeczalny, niestety. Ale ja to rozumiem. W końcu nie

każdy człowiek to heros. To niezmiernie słaba, ułomna istota.

– Zamilkł. I po chwili dodał: – A ja tak bardzo wierzyłem. Tak bardzo!

– Ale jak, kto mógł to zrobić?! – usłyszał po chwili głos pełen oburzenia, ale również i potępienia. – Czy wiesz, Panie nasz?

– Nie wiem. I sam nie wiem, czy chcę wiedzieć. – Zlustrował badawczo twarze kobiet pełne teraz skupienia i wyczekiwania, a następnie dokończył: – Bo może się to okazać zbyt bolesne. Zbyt bardzo bolesne!

Zaległa wyczekująca cisza. Wszystkie niewiasty poczęły wpatrywać się w siebie z determinacją i zawziętością, z jakąś nieznaną im wcześniej obawą i podejrzliwością. Nie mogły się z tym pogodzić. Czuły, że dzieje się coś złego, ale nie potrafiły temu w żaden sposób zaradzić.

– Zatem – ponownie zabrał głos On – to spotkanie, ta kolacja będzie naszą ostatnią wspólną wieczerzą dzisiaj. Chyba że... – Urwał i powiódł wzrokiem dookoła, i gdy wszystkie kobiety spotkały się już z Jego spojrzeniem, uśmiechnął się i dodał coś, co zabrzmiało bardzo obiecująco, a co one chciały usłyszeć: – Chyba, że coś wymyślę.

W kobiety jakby wstąpił nowy duch, wznecając pokłady nadziei. Jak się okazało, niewiele trzeba było, żeby je pobudzić. Ale to wystarczyło, aby na powrót odzyskały wiarę i pewność siebie, którą czerpały od Niego. Pobierały ją tak, jak wysysa się mleko z matczynej piersi, ten najzdrowszy płyn – ów rdzeń życia! I one właśnie teraz tak z Niego czerpały. Czerpały to, co było niezbędne i konieczne. Do trwania. Do przetrwania!

Po chwili byli ponownie radosne, uśmiechnięte i ufne w przyszłość – dobrą, pomyślną przyszłość. No bo czyż można było nie wierzyć Jemu? Temu, który głosił najprawdziwszą prawdę, bo objawioną?! Ostatecznie niejednokrotnie dał już próbkę swoich niemałych możliwości. Ileż to razy wpadła któraś przez swoją głupotę w tarapaty, ileż to razy uwalniał je od kłopotów z władzami – nie sposób zliczyć. Tak, był silny. Był wielki! Więc dlaczego miałby teraz czegoś nie wymyślić, nie okazać swojej potęgi?!

– Więc – podjął po chwili ponownie – myślę, że mam pewien pomysł. Chodzi o to, że aby być nadal razem, musimy zmienić przestrzeń naszego działania. Koniecznie! – Chwilę odczekał, żeby sprawdzić jakie wrażenie odniosły jego słowa, a nie widząc żadnej reakcji, jedynie pełne skupienia i wyczekiwania twarze, ciągnął dalej. – Tak sobie pomyślałem, że jeżeli nie tu, to w końcu dlaczego nie gdzie indziej? – Ponownie badawczo zamiótł wzrokiem po ich twarzach i znowu nie dostrzegł w nich nic, co mogłoby go odciągnąć od tego, co zamierzał im zakomunikować. – Właśnie. Dlatego uważam – kontynuował – że za wasze bardzo ciężko zapracowane pieniądze, jesteśmy w stanie stworzyć co najmniej taki sam dom, jeżeli nie lepszy, w innym miejscu, więcej – w innym mieście! W końcu tak naprawdę nic nas tutaj nie trzyma, a zmiana klimatu po tylu latach, że tak powiem, niejako kieszania się tutaj, też może wyjść nam na dobre. To jak, zgadzacie się?

Entuzjizm niewiast trochę Go zaskoczył. Oczywiście nie dlatego że w ogóle zaistniał, bo właściwie spodziewał się go w pewnym zakresie, zszokował Go raczej jego rozmiar. Jakby nie miał granic. Okazało się, że zebrane wokół Niego

niewiasty, zrobiłyby wszystko, byleby On był zadowolony. Jego zadowolenie bowiem było równoznaczne z ich szczęściem. Tak to widziały.

– Tak! Tak, Mistrzu! – przekrzykiwały się jedna przez drugą. – My zawsze z tobą! I wszędzie!

Uśmiech z twarzy ich Nauczyciela nie znikał. I był to uśmiech, co mogłoby się dla wielu wydać dziwne, samozadowolenia, triumfu i pychy, uśmiech pełen cynizmu, chłodu i pewności siebie. Ale one tego nie zauważały. Albo też nie chciały zauważyć. Wolały widzieć Go w glorii i chwale, na piedestale przeznaczonym tylko dla zwycięzców. Przy takim czuły się po prostu bezpiecznie. Takim Go właśnie pragnęły! Gdy entuzjizm nieznacznie opadł, Mistrz przemówił ponownie:

– Rad jestem ogromnie, że tak to widzicie. Naprawdę jestem szczęśliwy jak wówczas, gdy otwieraliśmy nasz pierwszy lupanar. – Nagle urwał, udając wzruszenie. Aktorski popis Jego zdolności trwał w najlepsze. – Myślę – kontynuował po chwili – więcej: jestem pewien!, że w nowym miejscu również osiągniemy sukces i szczęście. Wiem to. Czuję! – W tym momencie mocno uderzył się w pierś. – O, tu, tutaj czuję! – Ponownie obdarzył je swoim czarującym uśmiechem, tym obiecującym szczęście i życie wieczne. – A teraz, moje drogie, wnieśmy toast za pomyślność. – Podniósł kielich w górę. – Za przyszłość! – I po chwili jednym haustem opróżnił puchar z wina.

Wewnątrz zapanowała atmosfera bezgranicznej radości i uwielbienia Mistrza. Pomieszczenie sprawiało teraz wrażenie krainy nigdy niekończącej się szczęśliwości. Dlatego wieczerza trwała do późnej nocy, czy raczej wczesnego świtu,

ich wspólna ostatnia wieczerza na starych śmieciach. Od rana czekało na nie szczęście w innym mieście, w innym domu. Nie widzianym jeszcze, co prawda, na własne oczy, ale znanym już im i tak bardzo dobrze. Albowiem takie domy na całym świecie są zawsze takie same. Jedyna rzecz, jaka je różni od siebie, to okolica, w której się znajdują i ludzie, którzy ją zamieszkują.

Jak to odczytywać, czyli co miał na myśli J.Ch.?

We wszystkich ewangeliach natrafiamy na wiele myśli wypowiedzianych przez Jezusa podczas jego marszruty po Judei i Galilei. Problem w tym, czy wszystko, co zostało mu przypisane, jest tworem jego intelektu, czy też może wiele obiegowych mądrości i pojęć kursujących wówczas na Bliskim Wschodzie tylko wtłoczono w jego usta na potrzeby religii. W końcu zarówno przed nim, w czasie jego działalności, jak i po nim było wielu, którzy spodziewając się nadejścia końca świata, próbowali wmówić ludziom swoje posłannictwo, nie odbiegające zresztą w swoich założeniach zbyt daleko od nauki Nazareńczyka. I tak, podobnie jak on, głosili swoje posłannictwo: Apoloniusz z Tiany czy Szymon Mag, a nawet Szymon bar Kochba, który stał się jednocześnie zarówno przywódcą żydowskiego powstania przeciwko Rzymianom w latach 132-135 n.e., jak i nie tyle mesjaszem, ile grabarzem państwowości żydowskiej.

To, co skłania mnie do poglądu, że nie wszystko, co przypisuje się Jezusowi, jest jego autorstwa, to słowa, które przytaczam poniżej:

Ewangelia Tomasza, 43: *Rzekli Mu uczniowie Jego: „Kim jesteś, który nam to mówisz?” „W tym, co wam mówię, nie znajdujecie, kim jestem? Lecz staliście się jak Żydzi: lubią drzewo i nienawidzą jego owocu, i lubią owoc, a nienawidzą drzewa”.*

To, co tutaj zastanawiające, to pogląd, który informuje nas, iż jego uczniowie nie są Żydami, lecz stali się nimi dopiero w momencie, gdy pytają go o to, kim jest, że mówi im to, co mówi? Pytanie zatem, jakie się tutaj nasuwa, brzmi: Czy ci, którzy towarzyszyli mu w wędrówce po Palestynie, wyrzekli się swojego żydostwa w momencie przystąpienia do niego, czy może też nigdy nie byli Żydami, tzn., ściślej, w pełni Żydami? Oczywiście, bliższą prawdy jest pierwsza część odpowiedzi zawarta w powyższym pytaniu. Wyrzekając się bowiem religii przodków, nie wyrzekli się oczywiście Boga, którego wysłannikiem na ziemi był jakoby ich Nauczyciel – ich duchowy guru, który został posłany przez Ojca, aby nawracał błądzących, wskazując im właściwą drogę do Królestwa Niebieskiego.

Jakkolwiek jednak było, cokolwiek było prawdą czy zmyśleniem, jakaś część myśli zawarta zarówno w ewangeliach gnostycznych, jak i synoptycznych, należała bezsprzecznie do Galilejczyka; myśli, które wypowiedział, są, istnieją w naszej świadomości, przetrwały do naszych czasów i warto nad wieloma z nich zatrzymać się na dłużej, próbując odgadnąć ich właściwy sens. Czyli, co ich autor miał na myśli – tym bardziej, że wiele z nich jest jakby nie do końca jasnych i jednoznacznych, co może budzić nie tylko kontrowersje, ale w ogóle podważać ich autorstwo, gdyż nierzadko stoją one w jaskrawej wręcz sprzeczności z nauką głoszoną przez Nazareńczyka. Najpierw więc może te, które – według mnie – świadczą o niemałej megalomani Jezusa:

Ewangelia Tomasza, 10: ***Rzekł Jezus: przyniosłem ogień na świat i oto podtrzymuję go, aż zapłonie.***

13 *Rzekł Jezus uczniom swoim: „Porównajcie i powiedzcie mi, kogo przypominam?” Powiedział Mu Szymon Piotr: „Jesteś podobny do sprawiedliwego anioła”. Powiedział Mu Mateusz: „Jesteś podobny do człowieka, który miłuje wiedzę i jest rozumny”. Powiedział Mu Tomasz: „Nauczycielu, moje usta nie ujmą zupełnie tego, aby powiedzieć, do kogo jesteś podobny”. Rzekł Jezus: „Ja nie jestem twoim nauczycielem, ponieważ wypileś i napiłeś się ze źródła kipiącego, które ja odmierzyłem”. I wziął go i odwrócił się, i powiedział mu trzy słowa. Gdy zaś Tomasz przyszedł do swych przyjaciół, zapytali go: „Co ci Jezus powiedział?” Rzekł im Tomasz: „Jeśli wam powiem jedno ze słów, które mi powiedział, podniesiecie kamienie, aby rzucić we mnie, a ogień wyjdzie z kamieni, aby was spalić”.*

15 *Rzekł Jezus: „Jeśli ujrzycie takiego, którego nie zrodziła kobieta, padnijcie na wasze twarze, uczcijcie go - ten jest waszym ojcem”.*

17 *Rzekł Jezus: „Dam wam to, czego oko nie widziało i czego ucho nie słyszało, i czego ręka nie dotknęła, i co nie weszło do serca człowieka”.*

28 *Rzekł Jezus: „Stanąłem w środku świata i objawiłem się im w ciele. Znalazłem ich wszystkich pijanych. Nie znalazłem nikogo wśród nich spragnionego, a dusza moja bolała nad synami ludzkimi, gdyż są ślepi w swych sercach i nie przejrzą, że puści przyszli na świat i starają się wyjść z tego świata puści. Teraz jednak są pijani. Gdy odrzucą swoje wino, wtedy będą pokutować”.*

30 Rzekł Jezus: „W miejscu, w którym jest trzech bogów, tam są bogowie. Miejsce, gdzie dwu lub jeden jest, ja jestem z nim”.

61 Rzekł Jezus: „Dwaj będą spoczywać na łożu: jeden umrze, drugi będzie żył”. Rzekła Salome: „Ktoś ty, człowiecze? Czyjs? Wszedłeś na moje łóże i zjadłeś z mego stołu”. Rzekł jej Jezus: „Ja jestem tym, który powstał z równego sobie: Dano mi to, co należy do mego Ojca”. „Jestem twoją uczennicą”. „Dlatego mówię: Jeśli ktoś jest równy, wypełni się światłością, gdy się oddzieli, napelni się ciemnością”.

77 Rzekł Jezus: „Ja jestem światłością, która jest ponad wszystkimi. Ja jestem Pełnią, Pełnia wyszła ze mnie, Pełnia doszła do mnie. Rozłupcie drzewo, ja tam jestem. Podnieście kamień, a znajdziecie mnie tam”.

82 Rzekł Jezus: „Kto jest blisko mnie, blisko jest ognia, a kto jest daleko ode mnie, daleko jest od królestwa”.

86 Rzekł Jezus: „Lisy mają swoje nory i ptaki mają swoje gniazda, Syn Człowieczy zaś nie ma miejsca, aby skłonić głowę, odpocząć”.

91 Rzekli Mu: „Powiedz nam, kim jesteś, abyśmy uwierzyli w ciebie”. Odrzekł im: „Badacie oblicze nieba i ziemi, a tego przed wami nie poznaliście - to jest stosowny moment, którego nie potraficie zbadać”.

108 Rzekł Jezus: „Kto napił się z mych ust, stanie się takim, jak ja. Ja sam stanę się nim i tajemnice zostaną mu objawione”.

I jeszcze z innej beczki.

14 Rzekł im Jezus: „Jeśli pościcie, stworzycie sobie grzechy, a jeśli się modlicie, będziecie skazani. Jeśli dajecie

jałmużnę, wyrządzą krzywdę swoim duchom. Jeśli wychodzą do jakiejkolwiek prowincji, i jeśli wędrują po wioskach, i jeśli was przyjmują, to jedźcie, co przed wami położą, uzdrawiajcie chorych, którzy są wśród nich. Bowiem to, co wejdzie do waszych ust, nie zanieczyści was, ale to, co wychodzi z waszych ust, jest tym, co was zanieczyści”.

16 Rzekł Jezus: „Ludzie może myślą, że przyszedłem, aby przynieść pokój na świat, a nie wiedzą, że przyszedłem, aby przynieść rozdarcia, ogień, miecz, walkę. Gdy bowiem pięciu będzie w domu, trzech powstanie przeciw dwom, a dwu przeciwko trzem, ojciec przeciw synowi, a syn przeciwko ojcu. I staną się wobec siebie samotni”.

27 Rzekł Jezus: „Jeśli nie będziecie pościć na świecie, nie znajdziecie się przed królestwem. Jeśli nie uczynicie szabatu szabatem, nie zobaczycie Ojca”.

55 Rzekł Jezus: „Kto nie znienawidził swego ojca i swej matki, nie będzie moim uczniem; i kto nie znienawidził swych braci i swych sióstr, nie dźwiga swego krzyża tak, jak ja, nie będzie mnie godnym”.

79 Rzekła Mu kobieta z tłumu: „Błogosławione łono, które cię nosiło i piersi, które cię karmiły”. Odrzekł jej: „Błogosławieni ci, którzy usłyszeli słowa Ojca i zachowali je w prawdzie. Nadejdą bowiem takie dni, gdy powiecie: „Błogosławione łono, które nie poczęło, i piersi, które nie karmiły”.

99 Powiedzieli Mu uczniowie: „Twoi bracia i twoja matka stoją na zewnątrz”. Rzekł im: „Ci oto, którzy wypełniają wolę mego Ojca, są moimi braćmi i moją matką. To oni wejdą do królestwa mego Ojca”.

101 Ten, kto nie żywi nienawiści wobec swego ojca i swej matki, jak ja, nie będzie moim uczniem. I ten, kto nie kocha swego ojca i swej matki, jak ja, nie może być uczniem moim. Matka moja bowiem, która [...] zaś moja matka prawdziwa dała mi życie.

105 Rzekł Jezus: „Kto pozna swego ojca i swoją matkę, tego nazwą synem rozpusty”.

Przyznam, że niezbyt ciepło brzmią powyższe słowa, szczególnie w kontekście propagowanej przez Jezusa miłości do bliźniego. Oczywiście takich przykładów jest więcej również w innych ewangeliach. Ale nimi przyjdzie czas zająć się później.

Ament. W...

16.10.2016 r.

On i obrońcy Jego

Działo się to w... chciałoby się powiedzieć normalnym, zwykłym kraju, należącym od przeszło tysiąca lat do wielkiej rodziny cywilizowanej, poczciwej Europy, tyle tylko, że powiedzieć tak o tym kraju jednak nie można, bo byłoby to zbyt dużym nadużyciem i nieuczciwością wobec tych wszystkich państw, które są właśnie obrzydliwie normalne. Prawdą jest jednak to, że ten kraj należy od tysiąca lat, z nieznacznym okładem, do kultury chrześcijańskiej Europy. Ba, do niedawna jeden z jego synów zasiadał nawet na stolcu papieskim w Watykanie, będąc tym samym najwyższym dostojnikiem Kościoła chrześcijańskiego na świecie. Tylko czy coś z tego wynikło? Coś zmieniło? Otóż dokładnie nic! Albo jeżeli już, to bardzo niewiele. Albowiem ani ów syn tej ziemi, ani owe tysiąc lat chrześcijańskiego dziedzictwa nie było w stanie powstrzymać tego, co się pewnego dnia wydarzyło. Pamięć, zarówno o nim, jak i tysiącletniej tradycji chrześcijaństwa tej ziemi, okazały się zbyt słabe w obliczu... Właśnie, w obliczu czego?

Był późny wieczór, ale tłum gęstniał i gęstniał. Z każdą chwilą stawał się coraz trudniejszy do poskromienia i kontrolowania. Jego nieobliczalność dawało się wyczuć w powietrzu coraz wyraźniej. Krzyż stał już tutaj od kilku dni i od kilku też dni gromadziło się przy nim coraz więcej ludzi. Tym razem jednak gromadzili się przy nim nie tylko jego zwolennicy, lecz również i przeciwnicy jego obecności w tym

miejscu. Przeszkadzał im, bo – jak mówili – zawłaszcza w sposób uzurpatorski przestrzeń publiczną świeckiego państwa. A oni w takim państwie wyznaniowym żyć nie chcieli. Dlatego tutaj przyszli.

Jeden z nich krzyknął, przystawiając do ust megafon:

– Wolność dla cyklistów i cyklistek! Ważny jest właściwie ugotowany makaron i dobrze przyrządzone spaghetti. Nam też należy się przestrzeń dla naszych misek i garnków z makaronem i słoików z sosem!

Ktoś inny dodał:

– Chcemy koła – nie krzyża! Krzyż jest fajny, ale rower lepszy!

Jeszcze inny:

– Krzyż żąda dostępu do morza!

I:

– Księża na księżyc!

To bezgranicznie rozbawiło zebranych. Śmiechom i brawom nie było końca. Gdy jednak w końcu one ucichły, głos ponownie zabrał człowiek z megafonem.

– Dość bezczelnego zawłaszczania państwa przez chrześcijański taliban! My – Najwyżsi Kapłani Bogini Niewidzialnego Różowego Jednorożca mówimy: dość tolerancji dla niegotujących! Spaghetti górą!

Na co obrońcy krzyża, nie dając się zepchnąć do defensywy, nie dając się stłamsić, zaczęli skandować:

– Hańba! Hańba! Hańba!

Nie było to zbyt lotne i zaskakujące, ale odniosło pewien skutek: głos przeciwników krzyża nie był już tak wyraźny i przytłaczający.

– Żydzi rządzą Polską! – krzyknął ktoś z tłumu broniących krzyża, anonimowo, nierozpoznawalnie, zza pleców innych, jakby bał się ujawnienia. Jakby ujawnienie się groziło czymś strasznym. I zaraz dodał: – Wszystko wykupują. Nawet wody głębinowe niedługo wykupią. Chcą nas wziąć żywcem!

Zbiegowisko przeradzało się powoli w teatr absurdu. Nie było tylko wiadome, w jakim kierunku on się rozwinie.

– Niedługo to będą zrywać krzyżyki z szyi – wtórował mu inny głos.

– Polsko, obudź się! – krzyknął kolejny Anonim jakby na trwogę.

Na co ktoś, stojący po drugiej stronie tej ideologicznej barykady społecznej, odkrzyknął:

– A wy w końcu idźcie spać!

– Najlepiej wiecznie! – ktoś dorzucił i znowu przez plac przetoczyła się fala śmiechu i braw. Przeciwnicy krzyża na powrót odzyskiwali pole.

Gdy wydawało się, że spór ten będzie się ciągnął w nieskończoność, przez tłum w stronę krzyża, począł się przeciskać człowiek, którego nie sposób było z nikim innym pomylić. Każdy, kto na niego spojrzał, wiedział od razu z kim ma do czynienia. Był to człowiek, który wyglądał dzisiaj tak samo, jak dwa tysiące lat temu, wyjąwszy jedynie różnicę w ubiorze, będącym odzwierciedleniem czasów współczesnych. Reszta jednak, czyli on sam, był identyczny jak przed wiekami! Jego postać wisiała w końcu od setek lat w wielu miejscach nie tylko jego kultu – kultu religijnego, ale również i w milionach domów zwykłych ludzi. Dlatego też, gdy się pojawił, gdy udało mu się w końcu w kompletnej ciszy

przecisnąć w okolice krzyża – tego symbolu nierozdzielnie z nim związanego niejako na wieczność – zapanowała konsternacja i zdziwienie. Wszyscy po obu stronach owej społecznej barykady zdawali się być zaskoczeni. Dotarło do nich z całą mocą, że ten nieznajomy, to – On! Ten, którego zawsze oczekiwali i w którego wierzyli od najmłodszych lat. Przybysz widząc zaskoczenie tłumu, postanowił je wykorzystać. Powiódł wolno wzrokiem dookoła, po czym powiedział:

– Przyszedłem do was... przybyłem do was po raz drugi, albowiem zostałem przez was wezwany. Ja – Żyd zostałem wezwany przed wasze oblicze. Jestem tu, bo to, co się dzieje z tym – wskazał znacząco na krzyż stojący obok – woła o pomstę do... do tego miejsca, w którym... w którym przebywam u boku ojca mego. Przyszedłem, żeby wam powiedzieć, oznajmić, że... że nic nie zrozumieliście z ofiary – mojej śmierci. Tak tutaj, jak i wszędzie, gdzie jest człowiek. Sprofanowaliście mnie, moje cierpienie i ten krzyż – symbol śmierci mojej. Jestem już nikim i niczym dla was. – Ostatnie słowa wypowiedział dobitnie, stanowczo, kładąc na nie mocniejszy akcent, ale z nie dającą się ukryć goryczą. – A wszystko dlatego, że liczą się tylko wasze małe interesiki! Nawet wasz papież niczego was nie nauczył, niczego w was nie zmienił.

Ktoś coś chciał powiedzieć, zaproponować, ale nie miał odwagi, więc Przybysz nieprzerwanie ciągnął dalej:

– Jedno jednak powinniście, nie – musicie! przyjąć i zapamiętać: że krzyż, ten krzyż! nie służy do walki i dzielenia. Ten krzyż, to moje cierpienie i śmierć. Za was. Więc nie każcie mi żałować tej ofiary. Bo gdy tak się stanie,

to... – Nie dokończył. Widać było na jego obliczu ból i rozpacz. Inne, co prawda, niż przed wiekami, ale wcale nie mniej dotkliwsze, nie mniej bolesne.– A teraz – po chwili dokończył – oprzyjcie go na moich ramionach. Ponownie go poniosę. Poniosę go tam, gdzie miejsce jego.

To było wszystko, co miał do powiedzenia tego późnego wieczora. Teraz czekał tylko na ostatni jego akord: krzyż, który był nierozdzielnie z nim związany, a który teraz miał na powrót odzyskać, by ochronić go przed ostatecznym zbezczeszczeniem. Jego oczekiwanie jednak niezrozumiale przeciągało się. I już chciał powtórzyć swoją prośbę o pomoc, gdy nagle i niespodziewanie, zapewne nie tylko dla Niego, ale i dla dużej części zgromadzonych w tym miejscu ludzi, stojący obok Niego człowiek, z wpiętym w klapę marynarki znaczkiem Matki Boskiej, niespodziewanie krzyknął:

– Spieprzaj, dziadu! Nachlał się taki i przeszkadza. Wynocha!

– Tak, wynocha z nim! – poparł go inny głos. – Nie chcemy tu takich!

– Wichrzyciel! – dodał kolejny anonimowy właściciel głosu, po czym bezceremonialnie popchnął Przybysza w taki sposób, że ten niemal się przewrócił. – Spieprzaj stąd, przebierańcu! Nie daj się podejść takim jak ty. Jeszcze Polska nie zginęła!

Ostatnie słowa ochoczo podchwycili inni zebrani wokół krzyża i w następnej chwili zaintonowali:

– *Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy. Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy...*

Ale On już tego nie słuchał. Stał jeszcze krótką chwilę, jakby zbierał siły przed dalszą długą i ciężką drogą, po

czym głęboko westchnął i ruszył przed siebie w ciemność czającej się nocy. Tak jak zrobił to przed wiekami, odszedł w swoją ostatnią drogę, sam; wypychany teraz co i rusz przez śpiewających, znalazł się nagle pomiędzy tymi, którzy śpiewali, a tymi, którzy stali z prześmiewczymi transparentami, milcząco w Niego wpatrzeni. Przybysz smutno powiódł po nich wzrokiem, po czym zgarbiony i przybity, tym razem jednak nie do krzyża a mentalnie, niespiesznie odszedł tam, skąd przyszedł – w mrok przeszłości, w mrok zapomnienia złożonej z siebie przed wiekami ofiary.

Moje słówko do Mistrza

Co ty sobie, do cholery, myślałeś – że ogłosisz się prorokiem, Synem Człowieczym i wszystko będzie w jak najlepszym porządku? Że nikt nie będzie cierpiał z tego powodu, jedynie ty – ten, który wyzionie ducha na krzyżu?

Oczywiście, poniosłeś największą karę, cierpiełeś najdotkliwiej, bo fizycznie. Ale czy to znaczy, że ci, którzy zostali, którzy byli obecni przy twojej kaźni, którzy widzieli twoje konanie i którym przyszło potem z tym obrazem żyć, nie cierpieli w ogóle? Czy twoja matka nie cierpiała, nie bolała nad losem swojego syna? Czy Maria Magdalena, twoja kobieta, była obojętna na twój ból i niewyobrażalne cierpienie? Czy, bez względu na powody i intencje, miałeś prawo tak postąpić z najbliższymi, serwując im taką traumę?

A co z twoim rodzeństwem, co prawda przyrodnim, jednak to zawsze bracia i siostry, z którymi się w końcu wychowywałeś? Co z Judą, Jakubem, Józefem i Szymonem? Co z Elżbietą, Marią i Magdaleną? Co z twoim biologicznym ojcem Tyberiuszem, Juliuszem, Abdesem Pantherą, który zmarł rok po tobie? Na szczęście Józef już nie żył w tym czasie, więc jemu to doświadczenie zostało oszczędzone. Co z nimi wszystkimi, pomyślałeś choć raz o tym w tych swoich chorych planach?

Rozumiem, że potrzebowałeś ojca – nie ojczyrna, że znalazłeś go w tym wyimaginowanym na własne potrzeby tzw.

Ojcu Niebieskim, tylko czy naprawdę było warto? Więcej – gdybyś tylko mógł się dzisiaj pojawić wśród nas po raz drugi, tak incognito, gdybyś zobaczył wszystko to, co zrobili na przestrzeni dwóch tysięcy lat z twoją nauką spadkobiercy w wierze, gdybyś ujrzał efekt tego, czego stałeś się przyczyną, jestem pewien, że byś się przeraził i zlazłbyś w trymiga z tego pieprzonego krzyża! Myślę, że nie miałbyś żadnych wątpliwości co do tego, że twoje poświęcenie nie było warte nawet złamanego centa, co zresztą sam już zauważyłeś w chwili, kiedy – jak wszyscy myśleli, że oddawałeś ducha – rzuciłeś pełne zwątpienia pamiętne słowa:

– Eli, Eli, lama sabachtani!

Przejąłeś, Jezu, i to zdrowo! Nie tylko dlatego, że twoja kaźń była bezsensowna i zwyczajnie głupia – grzechów bowiem niczyich nie odkupiłeś, o czym świadczy choćby historia ludzkości. A nie odkupiłeś ich, ponieważ pojęcie grzechu jest niezmiernie płynne, więc tym samym również niejednoznaczne. To, co jest nim dla jednych, dla drugich pozostaje jedynie nic nieznaczącą namiętnością – to wszystko.

Jedno natomiast, muszę przyznać, niewątpliwie zrobiłeś bezapelacyjnie: z całą pewnością unieszczęśliwiłeś swoją matkę! Bez względu na to, czy miałeś do niej żal, uzasadniony czy też nie za to, że pochodziłeś z nieprawego łoża i w związku z tym doznałeś wielu upokorzeń od swoich współplemieńców, szczególnie jako dziecko, to jednak nie tłumaczyło w żaden sposób tego okrucieństwa, jakie zaserwowałeś swoim najbliższym. Nic tego nie tłumaczy, żaden cel, choćby i najszlachetniejszy! Bo twój cel, którym był krzyż i twoja ewentualna śmierć na nim, od początku nie był niczym innym

jak jedynie niespotykanym wręcz okrucieństwem, które zgotowałeś nie tylko sobie, ale również najbliższym. Tak jak uczyniły to już wcześniej twoje słowa, gdy matka wraz z braćmi przybyli do ciebie, chcąc namówić cię do powrotu do domu. Pamiętasz, co im wtedy powiedziałaś? Rzuciłeś:

– *Któż jest moją matką? I kto to bracia moi?* – I zaraz dodałeś, wskazując na otaczających cię uczniów: – *Oto matka moja i bracia moi! Albowiem ktokolwiek czyni wolę Ojca mego, który jest w niebie, ten jest moim bratem i siostrą, i matką.*

Wiesz, jak te słowa ją zabolowały? Braci również to dotknęło – nie myśl sobie! A wszystko dlatego, że byłeś zwykłym okrutnikiem. Słyszysz? Okrutnym sadomasochistą!

Na szczęście był ktoś taki jak Józef z Arymatei – on cię uratował! Przeplacił setnika, który obwieścił Piłatowi twoją śmierć i w ten sposób ściągnął twoje umęczone cierpieniem ciało ze słupa (z greckiego stauros) zanim ostatecznie wyzionąłeś ducha. Był tylko jeden warunek tego oszustwa: znikniesz z Jerozolimy i skończysz z głoszeniem tych swoich niepopularnych nauk. I powiem ci – to było najlepsze, co można było zrobić. Dzięki temu nie tylko uratowałeś swoje życie, ale też, co istotne, uradowałeś swoich najbliższych; szczególnie matkę, której i tak twoje ukrzyżowanie odebrało sporo zdrowia, a także Marię Magdalenę, która niezmiernie mocno cię kochała i która urodziła ci potem syna, i z którą dobrze ci się żyło. W końcu byłeś szczęśliwy!

Tak, dobrze wtedy się stało, że był ktoś taki przy tobie jak Józef i o wszystko zadbał jak należy.

11.09.2016 r.

Odległy Bliski Wschód

Niemіłosierny ukrop ognistej tarczy rozlał się nad całą przestrzenią dokąd okiem sięgnąć. Nigdzie nie można było się skryć, schować na krótką chwilę, żadnego ocienionego miejsca – dookoła tylko piach, tony suchego, ciężkiego piachu i przeraźliwie dręczący do głębi brak wody.

Byli w drodze już czwarty dzień, a drugi bez choćby kropli wody. Według jego obliczeń, jeżeli nie zbłądzili oczywiście, już jakiś czas temu powinni dotrzeć do oazy. Tej jednak nigdzie nie można było dostrzec. Tęsknym wzrokiem wypatrywali jej po każdym wczolęganu się na kopiec pustynnego piachu, ale prócz jego bezmiaru nic nie mogli dojrzeć, co by dawało jakąkolwiek nadzieję na koniec ich męczarni. Przed nimi nieprzerwanie rozciągało się rozgrzane powietrze, unoszące się ciężko nad wydmami, które przyciągało ich do siebie niczym magnes, zwodząc swoim falowaniem. I gdy wydawało się, że tylko cud może ich uratować, ten właśnie się wydarzył!

Najpierw natrafili na zwłoki jakiegoś mężczyzny, a w niewielkiej odległości od niego bukłak do połowy napełniony wodą. I mimo że trup nieznanego mężczyzny był blisko – na wyciągnięcie ręki, udręką przypominając o swojej tragedii, to specyficzne sąsiedztwo ani ich nie zrażało, ani też szczególnie nie niepokoiło.

– Abrahamie – powiedziała Sara, błagalnie patrząc mu w oczy. Jej wzrok był smutny i bezgranicznie zmęczony. – Proszę... łyk... jeden chociaż...

Oderwał spragnione usta od skórzanego pojemnika z wodą i spojrzał na nią. W jego oczach nie było widać współczucia ani miłości, a jedynie pogardę i wyższość. To był wzrok kogoś, kto przypominał nim o odwiecznym i trwałym podziale – na pana i sługę, i kto tutaj jest właśnie owym panem! Przez dłuższą chwilę przypatrywał jej się w milczeniu, jakby zbierał w sobie siły na atak, aż w końcu niespodziewanie powiedział:

– Trzymaj – rzucił jej bukłak z wodą i zaraz dodał tonem upomnienia: – Ale nie za dużo!

Dwa razy nie trzeba było jej powtarzać. Szybkim ruchem otworzyła bukłak i już w następnej chwili życiodajny płyn gasił jej nieokiełznane pragnienie. Chłonęła wodę zachłannie, głucha na cały zewnętrzny, pustynny świat, który i tak nie miał jej nic do powiedzenia – był niemy.

– Dosyć! – warknął gwałtownie Abraham, brutalnie wyrywając jej pojemnik z wodą. – Zwariowałaś?! Nie wiadomo, ile jeszcze drogi przed nami, a ty, jak zwykle, zachowujesz się bezmyślnie. – Pociągnął jeszcze dwa krótkie łyki i przewiesił sobie bukłak przez ramię.

Był wycieńczony, ale ta sytuacja jakby odrodziła w nim dawną energię.

– Jesteś tylko kobietą, nie zapominaj o tym! – powiedział i zabrzmiało to co najmniej jak jakiś wyrzut. Jakby wolał być teraz tutaj z jakimś innym mężczyzną, albo nawet sam. Jakby bycie z kobietą było jakimś ciężkim grzechem, występkiem czy w ogóle jakąś okrutną zbrodnią wymierzoną

przeciwko ludzkości. – Nawet jeżeli wyzioniesz tutaj ducha, to... – wykonał nieokreślony ruch ręką – nic się nie stanie. Sama dobrze o tym wiesz, że jesteś... jesteś mniej przydatna w obecnych warunkach. Gdyby nie ty, to... to może... – zawahał się – to z pewnością miałbym większe szanse przeżycia z tą odrobina wody, jaką mamy. Chyba to rozumiesz?

Nie miała sił na niego spojrzeć, a co dopiero spierać się z nim. *Trudno uwierzyć, że tyle lat z nim wytrzymałam – pomyślała. – Z tą chłodną, beznamiętną istotą, pozbawioną ludzkich uczuć. Zniszczył mnie... Nie mam nawet siły plunąć mu w twarz. Zresztą, co by to dało...? Boże, pozwól mi umrzeć bez cierpień. Uwolnij mnie od tej...*

– No co – odezwał się po chwili – odpoczęłaś? Trzeba się zbierać. Jest szansa, że się stąd wydostaniemy. Ale pod jednym warunkiem – musimy iść, ciągle iść, nie zatrzymywać się, dopóki wystarczy sił.

Nic nie odpowiedziała. Ogromne zmęczenie drogą, której końca nie było widać, spowodowało nagłą senność. Mimo lejącego się leniwie i bezlitośnie żaru z pękniętego nieba, usnęła. I spała teraz snem przyjemnym, w którym byli wszyscy najbliżsi – zarówno ci żyjący, jak i ci, którzy jakiś czas temu odeszli, ale gdzie wszyscy razem byli uśmiechnięci i dziwnie beztroscy. A wokół pełno było soczystej zieleni.

Gdy nie odpowiedziała, Abraham spojrział na nią i w tym samym momencie jakby doznał olśnienia. Pomyślał: *Musisz mnie zrozumieć, Saro – bez ciebie mam większą szansę. Samemu mi się uda, z tobą...*

Wolno wstał i nie oglądając się za siebie, ruszył w dalszą drogę. Jego oddalająca się postać powoli malała,

ginęła w drętym powietrzu, sprawiając wrażenie, jakby się zapadała w gorącym, suchym pisaku, tworząc z nim spójną całość. Wkrótce, odprowadzana spokojnym wzrokiem Sary, znikła ostatecznie.

Kolejne słówko na niedzielę

Jak wyglądały ostatnie chwile Jezusa na krzyżu, zanim został z niego zdjęty, lecz na którym ostatecznie nie skonał? Powiedziałbym – *zwyczajnie*. Oczywiście dla osoby, która miała zostać ukrzyżowana zwyczajnie, niezwyczajnie jednak dla kogoś, kto miał ów spektakl oglądać i żyć dalej z tym obrazem w sobie, obrazem, którego głównym aktorem, a jednocześnie w jakiejś mierze również reżyserem, był 40-letni Jezus z Nazaretu. Krótko mówiąc nie mam pojęcia, jak wyglądał ten dzień, myślę jednak, że całkiem prawdopodobne, iż mógł wyglądać właśnie tak:

Jest piątek, dzień przed szabatem. Jezus targa zwykłą belkę, pal z drzewa cedrowego, krzyż natomiast dźwiga Szymon Cyrenejczyk, chłopina, który, gdy wracał z pola, został niejako przymuszony do tej czynności, co podają zgodnie trzej ewangeliści – Marek, Łukasz i Mateusz. I tak obaj docierają na Golgotę, czyli Miejsce Czaszki.

Pytanie pierwsze, jakie się tutaj nasuwa, brzmi: Czy po drodze Jezus upadał pod naporem krzyża? I odpowiedź: Oczywiście nie! Nie niósł go bowiem. Pytanie drugie zatem: Czy upadał pod naporem belki? Wątpię! Co najwyżej mogła mu ona wypaść z rąk. I tyle. Więc dlaczego krzyż, skąd? Bo jest on o niebo mocniejszy w swoim przekazie w kontekście cierpiącego za ludzkość Jezusa, niż jakaś tam zwykła, prosta belka! Poza tym tylko jeden z ewangelistów, bajkopisarz Jan,

pisze o krzyżu, który niesie jakoby Jezus, dlatego nie należy mu wierzyć; on bowiem uprawia w sposób wręcz przejawiony zwykłe chciejstwo, nie mające wiele wspólnego z rzeczywistością!

Kolejna kwestia związana z tym dniem, to opis cudów, które jakoby miały się wydarzyć w momencie ukrzyżowania Jezusa. Najpierw więc Mateusz pisze w swojej Ewangelii, że:

Mat. 27,51-53: *I oto zasłona świątyni rozdarła się na dwoje, od góry do dołu, i ziemia się zatrzęsała, i skały popękały. I groby się otworzyły, i wiele ciał świętych, którzy zasnęli, zostało wzbudzonych. I wyszli z grobów po jego zmartwychwstaniu, i weszli do świętego miasta, i ukazali się wielu.*

Podobnie relacjonują tę scenę w swoich ewangeliach Marek 15,38: ***Wtedy zasłona świątyni rozdarła się na dwoje, od góry aż do dołu,*** a także Łukasz 23,45: ***Gdy zaćmiło się słońce i rozdarła się zasłona świątyni na dwoje.***

Można więc skwitować powyższe krótko: jest popyt, musi być i podaż. W końcu w bajkach i klechdach domowych gustują nie tylko dzieci, ale również dorośli. Pytanie tylko, jakie się tutaj pojawia, brzmi: Co w tym wydarzeniu może być prawdą? Co jest niepodważalnym faktem?

Dla mnie z całą pewnością to, co przytoczyłem wyżej, jest bezsprzecznie piramidalną bzdurą! Taką samą, jak obecność któregoś z uczniów Chrystusa podczas jego kaźni. Prawda bowiem tamtego zdarzenia jest taka, że wszyscy oni, jak jeden mąż, spietrali się i ratując swoje dupska, zabunkrowali się w jakiejś chacie z dala od całego zamieszania. I tyle było widać tych jezusowych bohaterów! Obecne natomiast przy nim były zapewne do końca kobiety, te,

które, całkiem prawdopodobne, mogły mu towarzyszyć podczas jego trzyletniego nauczania w ówczesnej Palestynie. Była więc tam z całą pewnością Maria Magdalena; mogła być obecna żona Zebedeusza Salome, matka Jana i Jakuba, a także matka Jakuba Mniejszego i Józefa, i zapewne jeszcze kilka innych niewiast. Uczniów jednak przy nim nie było, żadnego! Podobnie jak i jego matki, która w tym czasie w najlepszym przypadku, jeżeli przyjmiemy, że gdy urodziła Jezusa miała ok. czternastu lat, byłaby wówczas ok. 54-letnią kobietą; ani tym bardziej, gdy założymy iż była starsza (szesnaście lat), gdy rodziła swojego pierworodnego. Jakby na to nie spojrzeć w obu przypadkach był to dość podeszły wiek, jak na tamte czasy i warunki. Poza tym, czego by tu nie powiedzieć pozytywnego o Marii, to włączenie się za synem, któremu coś się wydawało, coś dziwnego i odstającego od normy, nie było ani jej przeznaczeniem, ani też pragnieniem. Tym bardziej, że on sam nie widział w niej matki, a jedynie jakąś tam niewiastę. W żadnej bowiem Ewangelii nie mówi o niej inaczej, jak właśnie tak – niewiasta!

Na koniec rzecz niezmiernie ciekawa: zwątpienie, jakie dopada Jezusa, gdy cierpienie powoli odbiera mu pewność siebie. Mówi wtedy:

– *Eli, Eli, lama sabachtani! (Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił.)*

I te słowa, można powiedzieć, przywracają go rzeczywistości! W tym momencie bowiem dociera do niego z całą brutalnością prawda tej chwili – że jednak przesadził z tą swoją pewnością siebie i wiarą w to, że wydarzy się *coś* magicznego, wyjątkowego. Bo oto nie stało się nic! Wraz z jego ukrzyżowaniem świat trwał dalej. Dlatego myślę, więcej

– jestem pewien, że wtedy właśnie uświadomił sobie w końcu, że tak naprawdę przeholował i zapewne byłoby dobrze, gdyby ten spektakl wreszcie się skończył i ktoś ściągnął go z tego miejsca niezasłużonej kaźni.

Łukasz jednak nie dał za wygraną, nie pogodził się ze słowami zwątpienia Jezusa i napisał znacznie lepszą wersją, gdzie o żadnym zwątpieniu mowy być nie może! U niego Nazareńczyk oddaje ducha godnie i zgodnie z przeznaczeniem! Rzecz tylko w tym, że Łukasz opisał coś, czego nie tylko że nie widział, nie uczestniczył w tym fizycznie, ale też był jedynie jednym z wielu kolejnych opisywaczy tego zdarzenia po wielu latach, więc nie ma najmniejszego powodu, żeby mu wierzyć.

Jakby nie patrzeć dzień się skończył. Jezus, na szczęście dla siebie i swoich bliskich, został ściągnięty z krzyża-słupa dzięki Józefowi z Arymatei, co prawdopodobnie uratowało mu życie. Stąd też jego późniejsze mocno naciągane zmartwychwstanie. Naciągane, ponieważ pierwszą osobą, która ujrzała go, jakoby właśnie po owym cudownym zmartwychwstaniu, był nie kto inny jak właśnie ona – Maria Magdalena, jego życiowa partnerka! Czy trzeba tutaj dodawać coś więcej?

02.10.2016 r.

Bogobojne miasteczko

Nieważne, gdzie, kiedy i czy w ogóle niniejsza historia się wydarzyła, nieważne również, kto był jej głównym bohaterem, istotne, że w wielu miejscach może się ona któregoś dnia wydarzyć. Zawsze.

Działo się to w mieście nieszczerólnie dużym, właściwie, jak na dzisiejsze standardy, wręcz małym. Liczyło ono bowiem raptem około siedmiu tysięcy dusz. Żywych. Martwych nikt nie liczył, nie zaprzętał sobie nimi głowy, oni nie byli już nikomu potrzebni. Może jedynie statystykom. Ci jednak, którzy nadal tutaj żyli, nie cierpieli jakoś szczególnie z powodu braku jego przeludnienia. Więcej – wydawali się nawet szczęśliwi. To była ich mała, osobna enklawa, pozostająca na obrzeżach wielkiego świata.

W tak niewielkiej miejscowości nie było rzeczą dziwną, że wielu mieszkańców znało siebie nawzajem, więc kiedy spotykali się na ulicy, w sklepie, na stacji benzynowej, w jakimś urzędzie, czy w końcu w kościele, których w mieście było aż sześćdziesiąt sześć, wymieniali przyjazne gesty, wzajemnie się pozdrawiając. Ktoś mógłby oczywiście powiedzieć, że kościołów jest za dużo, mógłby, gdyby chodziło o inne miasto; tutaj jednak, w tym szczególnym miejscu, sześćdziesiąt sześć nie oznaczało na tyle dużo, aby stać się liczbą ostateczną. Świadczyła o tym budowa trzech innych, a w planach były jeszcze projekty czterech kolejnych. Wszystko dlatego, że kościół postrzegany był przez obywateli

tego miasteczka jako miejsce wyjątkowe, jako Dom Boży, w którym dochodzi do ich spotkania z jego gospodarzem – Bogiem! Dlatego przyście do kościoła – choćby na przysłowiowe pięć minut, odbierane było tutaj jako nakaz moralny, obywatelski wręcz obowiązek! Można było być Żydem czy czarnoskórym, można było być alkoholikiem, homoseksualistą, czy antysemitą, ba – nawet pedofilem!, można było bezkarnie tłuc żonę w czterech ścianach swojego mieszkania, nie szczędząc razów również dzieciom, nie można było jedynie dwóch rzeczy, które zresztą tak naprawdę były tożsame, były jednością: nie można było nie wierzyć w Boga i nie chodzić do kościoła, aby oddać należny Mu szacunek, miłość i przywiązanie. I podziękowanie, za życie – swoje, swoich bliskich, sąsiadów, w ogóle za wszystko, co było wokół. Wiara w Boga bowiem w tym mieście była, można powiedzieć, pożywką wyssaną wraz z mlekiem matki. Po ojcu natomiast dziedziczyło się ją w genach. Nie wierzyć w Najwyższą Istotę można było jedynie prywatnie, wewnątrz i tylko u siebie w domu, być jednak ateistą i przyznać się do tego publicznie, było już nie tylko niewybaczalnym grzechem, taka deklaracja stawała się wręcz samobójstwem, towarzyską śmiercią!

Jak wspomniałem wcześniej miasto było nieduże, nieduże jednak nie znaczy wcale, że było zapyziałą dziurą, przeciwnie – dzięki swojemu położeniu było niezmiernie urokliwe: znajdowało się ono bowiem w niecce, otoczonej z każdej strony przez wzgórza, które na dodatek porośnięte były lasami, a przez całe miasto leniwie wiła się, niczym wąż, senna rzeczka, biorąca swój początek na długo przed tą miejscowością. Okoliczne lasy były bogactwem tej ziemi,

podobnie jak i pobliskie jeziora, których tutaj również nie brakowało. W samym jego centrum, na górującym nad nim wzgórzu, znajdowało się XVII-wieczne muzeum z ogrodem włoskim, w sąsiedztwie którego usytuowana była wielowiekowa katedra. Pomimo oczywistego nadmiaru tego rodzaju budowli, w mieście nie brakowało niczego, co było niezbędne do życia i codziennego sprawnego jego funkcjonowania. Były piekarnie, zakłady szewskie, szklarskie, krawieckie, fryzjerskie, niezbędne sklepy zaopatrujące mieszkańców w najpotrzebniejsze sprzęty, czy w końcu urzędy, w których rozwiązywano praktycznie od ręki bieżące sprawy swoich obywateli. Słowem – miasto było samowystarczalne i może dlatego tak chętnie odgradzało się od świata zewnętrznego, ponieważ ludzie zamieszkujący je świetnie się czuli w tej swojej szczelnie odizolowanej małej enklawie. Potrafili sami się wyżywić, ubrać, a władze miasta umiały zadbać o to, aby nikt nie pozostawał bez pracy, ponieważ rajcowie miasta doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że praca nie tylko uszlachetnia istotę ludzką, ale, co najistotniejsze, daje człowiekowi poczucie godności i przynależności do społeczności, w której przyszło mu funkcjonować. Jej brak natomiast rodzi zwykle jedynie narastającą frustrację i niezadowolenie, które z czasem może się stać zarzewiem jakiegoś większego nieszczęścia. Dlatego tak bardzo dbano tutaj o dobro wspólne, jakim są należyte relacje międzyludzkie i dobre sąsiedztwo. Wszyscy więc pracowali, uczciwie i ciężko, codziennie, na pożytek swój i ku chwale Pana w niebiosach, oprócz oczywiście niedziel i świąt, kiedy to niektórzy po porannym śniadaniu, a inni przed, udawali się do kościoła, aby spotkać się na wspólnej modlitwie

i podziękować Bogu za Jego hojność i łaskę, jaka na nich spływa. I chociaż zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że Bóg jest wszędzie, to jednak kościół był tym miejscem, w którym wszyscy pragnęli się spotkać, by oddać pokłon i podziękowanie temu, który ich umiłował. Tak było od setek lat i tak miało pozostać na kolejne wieki.

Niestety, jak się wkrótce miało okazać, sielankowy żywot został zagrożony. W ten poukładany, harmonijny od wieków świat, wdarł się głos intruza – heretyka, pojedynczy co prawda, odosobniony jeszcze, ale podważający wszystko to, w co społeczność tego miasteczka wierzyła – w cały wypracowany przez wieki system bogobojnych wartości. Głos ten bowiem wyartykułował, poprzez list wysłany do lokalnej gazety, myśl niezwykłą, iż – Bóg nie istnieje! A nie istnieje dlatego, jak dowodził autor listu, że podczas snu usłyszał on rzecz nadzwyczajną, mianowicie *coś* lub *ktoś* oznajmiło mu:

– Wiedz, naiwniaku, że nie ma mnie, nie istnieję! Słyszysz? Nie istnieję! A teraz zrób z tą wiedzą, co chcesz. Jednego tylko nie wolno ci uczynić: milczeć o tym, co właśnie usłyszałeś. Przemilczeć tego po prostu nie możesz!

Oczywiście nie znał źródła głosu, mógł jedynie niejasno domyślać się jego pochodzenia. Ale nie to było ważne, istotne było znaczenie snu! Dlatego postanowił działać, natychmiast, był bowiem pewien jednego: treść listu powinna być jak najszybciej ogłoszona wszystkim mieszkańcom miasteczka, niczym nowa ewangelia!

I nic by się w zasadzie nie wydarzyło, autora listu potraktowano by zapewne z przymrużeniem oka, co najwyżej jako niegroźnego dziwaka, gdyby... No właśnie, gdyby ów nieszczęsny list wysłany do redakcji jednej z tutejszych gazet:

Zaprawdę, powiadam wam, nie został nieopatrnie przez ową redakcję opublikowany. W ten sposób jego treść stała się tajemnicą poliszynela. Od tego momentu nie można już było udawać, że nic się nie stało, że nie ma żadnego problemu. Problem bowiem był i to poważny, krótko mówiąc właśnie wtedy rozpiętało się prawdziwe piekło! To znaczy piekło, naturalnie, na miarę tego bogobojnego miasteczka. W końcu jego mieszkańcy byli usytuowani jak najdalej od takiego miejsca – nawet w myślach, niemniej to, co zgotowali autorowi tego listu, kiedy już się wydało, kim on jest, takim właśnie miejscem się stało – jego prywatnym piekłem na ziemi!

Pierwszymi, które doświadczyły konsekwencji decyzji, to znaczy ujawnienia światopoglądu naszego bohatera, były jego dzieci. Najpierw siedmioletnia córka z dnia na dzień straciła wszystkie swoje koleżanki, które przestały się z nią bawić. I to nie tylko na podwórku – co wymusiły na swoich dzieciach rodzice, ale również w szkole, gdzie za jej konsekwentny ostracyzm odpowiedzialny był nauczyciel. Dlatego podczas lekcji siedziała sama, na przerwie natomiast, gdy chciała podejść do którejś z dziewczynek, te ostentacyjnie odwracały się do niej plecami i rytuał bojkotu kontynuowany był w najlepsze. Oczywiście dziecko nic nie rozumiało z całej tej sytuacji, więc nic dziwnego, że przez większość czasu spędzanego w domu zanosilo się łzami. Na dalsze efekty tego stanu wcale nie trzeba było długo czekać – z czasem stało się ono osowiałe i smutne, straciło apetyt i w ogóle chęć do życia. Nie chciało nie tylko chodzić do szkoły, ale w ogóle nie miało ochoty na żadne wyjścia z domu!

Z synem, o dwa lata starszym od swojej siostry, było podobnie. On nie tylko w jednej chwili utracił wszystkich

kolegów, ale został również dodatkowo wyrzucony z drużyny piłkarskiej oraz szkolnego zespołu muzycznego. Na szczęście znosił to dużo lepiej niż siostra, mężniej. Ale nic dziwnego – w końcu w przyszłości miał się stać mężczyzną, a oni, wiadomo, nigdy nie płaczą. Zresztą, może było mu łatwiej też dlatego, że był odrobinę starszy, a dzięki Internetowi miał wielu kolegów w innych częściach kraju, więc nie czuł się odrzucony i osamotniony, tak jak młodsza siostra. Miał z kim pogadać, wyzalić się, wyrzucić z siebie negatywne emocje, które przecież musiały się pojawić w związku z tą przykrą sytuacją. Więc dzielił się z niektórymi swoimi przeżyciami, a ci w rewanżu życzyli mu, aby był dzielny i nie poddawał się, a także zapraszali do siebie, to znaczy do swoich miast, gdy jego rodzice podejmą w końcu decyzję o wyjeździe ze swojego – taki bowiem przewidywali finał całego zdarzenia.

Ostatnią osobą w tej rodzinie, oprócz oczywiście głównego bohatera niniejszej opowieści, która doświadczyła towarzyskiego ostracyzmu, była ich matka, a jednocześnie żona głównego bohatera całego tego zamieszania. Z nią sytuacja była jednak o tyle korzystniejsza, że po pierwsze – nie pracowała, zajmując się jedynie domem, po drugie natomiast – była osobą starszą od dzieci, więc mogła też więcej znieść – przynajmniej tak mogło się wydawać. On natomiast – ten, który zdecydował się stanąć w tej nierównej walce przeciwko całemu miastu tylko dlatego, że coś mu się pewnej nocy przyśniło, coś, co postawiło go w konfrontacji z odwieczną tradycją tego miejsca, całą niekomfortową sytuację znosił niezwykle spokojnie. Może dlatego iż miał świadomość że, mimo iż jego położenie nie należało do wymarzonych, to jednak nie było ono znowu tak beznadziejne, żeby nie było

z niego wyjścia. Wystarczyło jedynie wyrazić skruchę, odrzucić głoszoną przez siebie herezję, posypać głowę popiołem i powrócić tym samym na łono uznawanego przez wszystkich Kościoła, a wszystkie grzechy byłyby wybaczone i odpuszczone! Innego wyjścia nie było, inna droga bowiem oznaczała tylko jedno: opuszczenie przez niego miasta. Tyle, że tego akurat zrobić nie chciał! Nie miał zamiaru ani wyjeżdżać, ani tym bardziej wszystkiego odwoływać i z podkulonym ogonem prosić o przebaczenie. Taka postawa bowiem oznaczałaby jedno: że się sprzeniewierzył samemu sobie, że zwątpił w to, w co od pewnego czasu wierzył. Dlatego nie zmienił zdania nawet wówczas, gdy żona, wyczerpana przeciągającym się i wyniszczającym ich rodzinę klinczem z mieszkańcami miasteczka, doprowadzona do granic wytrzymałości, któregoś dnia w końcu powiedziała:

– Proszę, odrzuć dumę, ukorz się, zapomnij o tym nieszczęsnym śnie, bo dłużej już tego nie wytrzymam! Jeżeli nie chcesz zrobić tego dla mnie, zrób to chociaż dla dzieci.

– Wiesz, że nie mogę.

– Nie możesz, czy nie chcesz i nie potrafisz? – Nie poddawała się.

– Na jedno wychodzi. Po prostu nie mogę tego zrobić. Gdybym postąpił tak, jak mówisz, nie mógłbym spojrzeć sobie w twarz w lustrze.

– Więc wiedz, że ja już dłużej... że my... że jutro wyjeżdżam! Z dziećmi. Nie wiem, jak będzie, ale jednego jestem pewna: gorzej, jak jest w tej chwili, już być nie może. Na szczęście nie mamy w tym mieście nikogo bliskiego, więc nikt niepotrzebnie nie będzie cierpiał z twojego powodu po naszym wyjeździe. Mogę to zrobić z czystym sumieniem.

W ten oto sposób stracił wszystko – wszystko, oprócz jednej rzeczy: wiary w sens swojej walki. Dlatego, gdy następnego dnia dzieci siedziały już w samochodzie, a żona spakowana zapytała go po raz ostatni, czy naprawdę nie chce z nimi jechać, nic nie odpowiedział, jedynie pokręcił przecząco głową, i gdy małżonka wsiadła do samochodu i przekręciła w stacyjce kluczyk, podniósł tylko rękę, wykonał nią nieznaczny ruch, mający prawdopodobnie wyrażać pożegnanie i – to wszystko. Samochód następnie ruszył przed siebie, a on patrzył na jego oddalającą się sylwetkę, aż w końcu znikł zupełnie, skręcając w jedną z bocznych uliczek. Stał jeszcze jakiś czas na drodze, jakby nie do końca przekonany że to się wydarzyło naprawdę, że najbliżsi mu ludzie opuścili go, po czym niespiesznie wrócił do mieszkania. Wiedział w tym momencie jedno: że nie ma dla niego odwrotu i że mieszkańcom miasta tak łatwo z nim, jak z członkami jego rodziny, nie pójdzie. Wiedział, że się nie podda, nie ulegnie i będzie walczył z przeciwnościami losu i odwiecznym – według niego – zabobonem, który ogłupiał i ubezwłasnowolniał. Był zdecydowany stanąć do walki przeciwko wszystkim niczym ten jedyny sprawiedliwy!

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że w otwartej potyczce z mieszkańcami miasta stoi na z góry straconej pozycji, dlatego postanowił pójść za ciosem i obrać drogę, która była właściwie niejako naturalna, bo wskazana mu przez ów niezapomniany sen. Postanowił zacząć od podstaw, czyli od założenia Kościoła, który nazwał Powszechnym Kościołem Ateistów! Był pewien, że wraz z upływem czasu i głoszoną przez niego nowiną, znajdą się ludzie, którzy myślą podobnie jak on – nawet w tej bogobojnej miejscowości. Wystarczyło

jedynie zrobić pierwszy krok i trafić do nich. Reszta, był pewien, jakoś potoczy się już sama, niejako siłą rozpędu. Ważny był właśnie ten pierwszy ruch – stworzenie Kościoła i ustanowienie siebie, co rozumiałe, jego pierwszym ateistycznym kaznodzieją. A że był zdeterminowany jak nigdy przedtem aby osiągnąć swój cel, więc nic nie mogło go zrazić – ani wyzwiska i śpiewy intonowane przez grupy ludzi zbierających się pod oknami jego domu; ani trwające nieprzerwanie od momentu ukazania się w prasie listu, modlitwy we wszystkich lokalnych mediach w intencji jego jakoby zbłąkanej duszy; ani tym bardziej telefony, w których dzwoniący nawoływali go do opamiętania się i porzucenia drogi, na którą wszedł jakiś czas temu i po której niezachwianie dumnie kroczył.

– Nie męcz nas dłużej, człowieku, swoją obecnością. Zabij się! – dochodziło do niego nieraz ze słuchawki.

Albo:

– Nie zatruwaj dobrego owocu Boga, jakim jest nasze bogobojne miasteczko, swoją obecnością. Odejdź. Wyjedź na zawsze!

Czy jeszcze inaczej:

– Zniknij, szatanie! Precz!

On jednak na te wszystkie nawoływania pozostawał głuchy i niewzruszenie robił wciąż swoje, tyle, że z marnym jednak skutkiem. Jego uliczne występy bowiem, podczas których nawoływał do porzucenia dotychczasowego rytuału religijnego, wydawały się trafiać w próżnię – wszyscy go bojkotowali, traktując niczym powietrze. Chociaż nie jak powietrze, bardziej jak żywą tarczę, w którą można było bezkarnie rzucać czymkolwiek, co akurat miało się pod ręką:

a to obrywał jakimś pomidorem, a to jajkiem, a to truskawkami, czy też ciastkiem z kremem, istotne, żeby rzecz, która na nim wylądowała, miała jak najrzadszą konsystencję. Im bowiem była ona rzadsza a rozbryzg pokaźniejszy, tym efekt mocniejszy i ubaw rzucających większy. Więc rzucali w niego czym popadło i złorzeczyli mu. On jednak nie zważając na to, niezachwianie parł przed siebie z podniesioną głową, głosząc wszem i wobec swoją, jak mniemał, dobrą nowinę, oświeconą ewangelię, co z kolei powodowało jeszcze większą zjadłość rzucających. W końcu nastąpił jednak przesyt, punkt krytyczny został osiągnięty i w miejsce totalnego bojkotu jego osoby w pewnym momencie pojawiło się zniechęcenie w okazywaniu mu w ten sposób swojej pogardy. Ba, niektórzy z nich, znudzeni dotychczasowymi metodami walki, poczęli nawet wchodzić z nim w dyskusję!

– Jak możesz twierdzić, szalony człowieku, że nie ma Boga, skoro On jest, istnieje?! – Powiedział któregoś dnia właśnie jeden z takich ludzi. – Mamy setki, więcej – tysiące dowodów na Jego istnienie!

– Jakie? Objawił się któremuś z was? Potwierdził, że jest, że żyjecie zgodnie z Jego nakazami? Że w ogóle ma jakieś nakazy i wymagania w stosunku do was?

– Objawił się kiedyś – Abrahamowi! Nie musi tego robić za każdym razem, jak tylko ktoś w Niego zwątpi. *Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli!*

– Świetne tłumaczenie – nie dawał za wygraną nowy kaznodzieja. – Tyle, że lipą jedzie na kilometr! Nie czujecie?

– A Chrystus? Może powiesz, że jego też nie było, co?

– Oczywiście że był.

– A jednak!

– Był, to postać historyczna, temu nie można zaprzeczyć. Podobnie jak Poncjusz Piłat, ów namiestnik rzymski w Judei, powiązany z Chrystusem na wieki. Obaj zresztą skończyli marnie: pierwszy skonał na krzyżu z wyroku drugiego, drugi z kolei zginął między innymi z przyczyny pierwszego: wezwany bowiem do Rzymu musiał odebrać sobie życie. To wszystko. Aha, jest jeszcze jedno: ten pierwszy jednak, co należy wiedzieć, to żaden bóg, a zwykły człowiek. Jego niezwykłość może polegać jedynie na tym, że umarł na krzyżu jako ten, który miał jakoby zmartwychwstać. Niestety, rzecz w tym, że akurat tutaj przeliczył się ze swoimi możliwościami.

– Przeliczył? On zmartwychwstał! – podjął inny głos pełen oburzenia.

– Nie ma żadnych dowodów. A przeliczył się dlatego, bo się łudził, iż w momencie jego cierpienia na krzyżu dobry Bóg Ojciec coś zrobi, zareaguje. Tyle że nie mógł tego zrobić, bo Go nie ma. A jeżeli nawet byłby jakiś Bóg, to z całą pewnością nie mógłby ingerować w nasz fizyczny świat. Ponieważ Jego królestwem byłby świat ducha – nie materii. Gdyby to uczynił, wykazałby jedynie swoją małość i niedoskonałość.

– Pycha przez ciebie przemawia!

– Głupstwa mówisz. To tylko tak zwany zdrowy rozsądek! Przecież wszyscy wiemy, że każda religia posiada swojego boga. Tylko tak się składa, że żadna z nich, paradoksalnie, nic o Nim nie mówi. One wszystkie, jeżeli coś przekazują, to jedynie prawdę o nas – ludziach. Opisują bowiem nie Jego, a nas samych, cały wachlarz naszych

zachowań w różnych sytuacjach, nierzadko oczywiście zachowań godnych pożałowania.

– To znaczy? – włączył się ponownie do rozmowy głos pierwszy.

– Wyprawy krzyżowe, działalność św. Inkwizycji i stosy dla tak zwanych heretyków, którzy ośmielili się mieć inne zdanie niż Kościół. Szyjici i sunnici, którzy powołując się na Koran, swoją Biblię, mając ten sam system wartości, walczą ze sobą od wieków na śmierć i życie. Więcej? Mnie wystarczy. I właśnie dlatego uważam, że religia potrzebna była jedynie ludziom po to, żeby ci, którzy żyją nadzieją, nadal łudzili się, że to *tu* nie kończy się definitywnie; że to *tam* też jest – i że to *tam* jest o wiele lepsze, naturalnie, niż to *tutaj*. Chociaż, z drugiej strony, jak może być lepsze, skoro klepicie bez przerwy jak mantrę: *jako w niebie, tak i na ziemi*? Zaprawdę, nie mam pojęcia!

– Dla ścisłości: *Bądź wola twoja jako w niebie tak i na ziemi!* – kontynuował głos pierwszy.

– Na jedno wychodzi.

– Bzdury opowiadasz! Idź, wypowiadaj się lepiej, od razu lżej ci się zrobi na duszy i zrozumiesz wtedy, że kroczysz złą drogą. – Poparł swojego towarzysza głos drugi.

– Skucha! Może to wy taką krocycie? – Nie poddawał się przedstawiciel powołanego przez siebie Pierwszego Kościoła Ateistów. – Nie bierzecie tego pod uwagę?

– Jest nas za dużo, żeby to było nieprawdą. Mylą się tylko nieliczni, właśnie tacy jak ty!

– I kto tutaj grzeszy pychą? Wy myślicie, ba – jesteście pewni w wyniku waszej ortodoksyjnej wizji, że dostąpiliście prawdy objawionej, bo danej wam jakoby przez samego

Stwórcę i dlatego uważacie się za nieomylnych. Stworzyliście sobie istotę na wzór i podobieństwo swoje i wznosicie do niej modły. W ten sposób jesteście przekonani, że wiecie, czego taka istota pragnie. I tutaj macie rację – oczywiście że wiecie, bo został ukuty przez was z waszych pragnień. Ale on nie jest żadnym Bogiem – jest jedynie stworzonym przez was bytem, który stał się dla was najwyższym autorytetem moralnym i niezależnie w którą stronę podążycie, On podąży z wami. Tym sposobem jesteście przekonani, że zmierzacie w dobrym, bo słusznym kierunku, ponieważ ów kompas moralny was tam kieruje. Ale mylicie się, wszyscy, co do jednego!

– Skąd ta pewność, że to my się mylimy, a nie ty? –
Włączył się do dyskusji kolejny głos.

– Miałem sen, wiecie przecież o tym wszyscy.

– Sen, to żaden dowód! – Odparł ten sam głos. – Każdy go może mieć. Jak na zamówienie.

– Właśnie! Co ty w ogóle chcesz nam udowodnić, twierdząc to, co twierdzisz? – Poparł go głos pierwszy.

– Nic. Miałem jedynie podzielić się tą wiedzą, to wszystko. Tak mi nakazał Głos.

– Więc jeżeli to wszystko, jeżeli tylko tyle miałeś nam do powiedzenia, to teraz idź sobie. Dziękujemy ci za tę wiedzę, która do niczego nie jest nam potrzebna. Weź ją sobie i głoś tam, gdzie jej potrzebują. Tutaj nikt jej nie pragnie.

Chciał coś powiedzieć, jeszcze raz spróbować przekonać ich do swoich racji, ale w tym samym momencie dotarła do niego niezmiernie brutalna, gorzka prawda – że tych ludzi nie przekona; nie ma tutaj bowiem nikogo, kto oczekiwałby poznania tego, co miał do przekazania. Nikogo to nie interesowało, oprócz niego. Z całą jaskrawością prawdy

uświadomił sobie w końcu, że nic tu po nim i jego nauce – nikomu nie jest potrzebny. Był kaznodzieją Kościoła bez wiernych – tyle rozumiał. Rozumiał teraz również i to, że pozostanie w tym miasteczku było błędem. Więcej – uświadomił sobie, że tak naprawdę wszystko było błędem, łącznie ze snem, który stał się przyczyną całego tego zamieszania – tym bardziej, że sam nie był już pewien czy Głos, który usłyszał we śnie, rzeczywiście oznajmił mu to, o czym próbował nauczać, czy może raczej była to tylko czysta fantazja, nocny wymysł jego umysłu. Po raz pierwszy zwątpił w jego prawdę i wynikający z tego sens swojego nauczania. Dlatego w tym momencie wiedział jedno: że to, co teraz musi zrobić, to przede wszystkim wrócić do domu, spakować się i pojechać do żony i dzieci. Brakowało mu ich. Nikt bowiem, oprócz najbliższych, nie potrzebował go. On zresztą również nikogo już nie potrzebował, za wyjątkiem, naturalnie, swojej rodziny. Niefortunny etap ewangelicznego nauczania miał poza sobą. Czy na zawsze? – nie wiedział jeszcze tego. W tej chwili liczyła się jednak tylko rodzina, jedynie najbliżsi.

Krzyż – czym jest, a czym być powinien

Wiem, że to, co tutaj w tym momencie napiszę, nie spodoba się wielu ludziom. Tylko że tak naprawdę nie chodzi o to, żeby się komuś przypodobać, a przede wszystkim zmusić do refleksji. Bo refleksja, w tym zwariowanym tempie życia w jaki nieopatrznie w pewnym momencie wpadliśmy, jest nam wręcz niezbędna!

Od bardzo dawna, tak dawna że już nawet nie pamiętam momentu pojawienia się tej myśli (brzmi to co najmniej tak, jakbym był jakimś biblijnym Matuzalem!), towarzyszy mi ona z mniejszym czy też większym nasileniem na co dzień. Ta myśl, to zastanawianie się, czym jest, ale też czym powinien być krzyż. I im dłużej pałętam się po tym świecie, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że na pewno nie powinien być tym, czym jest od wieków.

No bo to, że jest symbolem cierpienia, to prawda i nie ulega żadnej wątpliwości. Podobnie zresztą jak wiele narzędzi śmierci jest takim symbolem. Ale czy powinien on być również symbolem miłości, tego już tak pewny nie jestem. Bo jeżeli nawet przyjąć taką tezę, to pojawić się musi tutaj pytanie: Czy dotyczy on miłości obustronnej, zarówno krzyżowanego, jak i krzyżujących? O ile bowiem można przyjąć, że Chrystus umierał na krzyżu z miłości do ludzi i za ludzi, to już tego samego o oprawcach powiedzieć przecież nie

można. I stąd właśnie wynika mój problem z powyższą symboliką i dotychczasową jednoznaczną interpretacją krzyża.

Gdyby przyjąć, czysto hipotetycznie naturalnie, że w tamtym czasie narzędziem powszechnej śmierci byłaby, dajmy na to, gilotyna, albo szubienica, albo nawet – gdyby oczywiście taka technika wówczas była osiągalna – krzesło elektryczne, to czy również dzisiaj obnosilibyśmy się z atrybutami tej śmierci w tak ostentacyjny sposób? No i jak tu nosić gilotynę, czy szubienicę na szyi? Nie tylko że dziwne, ale i cholernie, co najmniej, niewygodne! Że nie wspomnę już o pewnego rodzaju absurdzie i tkwiącej w tym grozie.

Od kiedy pamiętam zawsze był we mnie bunt skierowany przeciwko – a to systemowi oceniania w szkole (stąd moje bardzo częste wagary!), a to przeciwko panującym – według mnie – durnym prawom, np. w miejscu pracy, i obowiązującym w wyniku tego nieżyciowym normom, a to przeciwko zabobonom i gusłom, przekazywanym w sposób bezmyślny z pokolenia na pokolenie, itd., itp. W miarę upływu lat ten mój bunt jakby się rozszerzał, obejmując coraz rozleglejsze płaszczyzny życia. W końcu, co było nieuniknione, pojawił się również w obszarze religijnym. Ale nie jako bunt w ogóle negujący to, co się stało z Chrystusem, raczej jako niezgoda na przyjęcie narzędzia Jego śmierci w symbolice, z którą miałbym na co dzień się obnosić! To, że miał zginąć akurat na krzyżu, to nic niezwykłego w tamtym czasie. Po prostu taki wówczas obowiązywał taryfikator kar za tego typu działalność. I tyle.

Na szczęście, i jednocześnie nieszczęście, człowiek jest istotą niezwykle inteligentną i ustawicznie poszukującą, nie

tylko po to, aby nasze życie uczynić lżejszym, ale również po to, aby narzędzia śmierci, którymi się posługuje, były doskonalsze. Dlatego krzyż, jako narzędzie śmierci musiało się okazać wraz z upływem czasu mało „wydajne”, a przy tym niezmiernie czasochłonne i angażujące zbyt wielu ludzi w proces krzyżowania. Taki sposób uśmiercania musiał odejść w niepamięć. Gdyby nadal obowiązywał, to uśmiercanie ludzi w XX wieku byłoby „nieprzyjemnie i nieprzyjaźnie” czasochłonne i nie mogłoby przybrać rozmiarów holocaustu. A na to naziści czy komuniści pozwolić sobie nie mogli! Stąd genialne wręcz współczesne techniki zabijania. Liczy się w końcu wydajność!

Dlatego, tak myślę, gdyby dzisiaj pojawił się po raz drugi ktoś taki jak Chrystus, czekałaby go szybka i bezbolesna śmierć. Być może ta bezbolesność powinna być odczytywana właśnie jako oznaka miłości zabijających – nie wiem. Nie wiem też, czy powinniśmy się jakoś szczególnie cieszyć z tej bezbolesności śmierci. Nie wiem też, jak by ową bezbolesność skomentował skazany na śmierć. Wiem za to jedno: dzisiaj umarłby niejako anonimowo, tylko za siebie, niezauważony przez innych. Tak jak nie zauważamy śmierci tysięcy ludzi, odchodzących codziennie nierzadko w drastyczny sposób. Śmierć bowiem, płynącą z informacjami z radia czy telewizji, przyjmujemy pomiędzy codziennymi posiłkami, jako nic nieznaczącą statystykę, a nie dramat pojedynczego człowieka.

P.S.

Tak na marginesie: pewne kształty emanują jakąś energię – szkodliwą lub też pozytywną. Ciekaw jestem, jaką energią emanuje krzyż? Czy w ogóle ktoś to badał?

Obstawiam, że akurat on, należąc do narzędzi cierpienia i śmierci, nie może oddziaływać inaczej jak tylko w sposób negatywny. Jak myślicie, myłę się?

03.07.2012 r.

Rozstanie z ludźmi

Minęło siedem niebiańskich lat od ich ostatniej rozmowy, gdy znów się spotkali w tym samym miejscu, co kiedyś. Dla ludzi to oczywiście cała wieczność, ale dla nich dwóch – ot, zwykłe westchnienie, czy też mgnienie oka. Tym razem jednak cel ich spotkania był diametralnie inny od poprzedniego. Podczas gdy wtedy spotkali się, pokonując zresztą wiele niechęci wobec siebie, by tworzyć, więcej! – by stworzyć życie na ziemi, tak teraz... teraz...

– I nie udało się, Jahu – powiedział Aryman, zdawać by się mogło, że nawet nieco przygnębiony. – Niestety, nam obu.

– To prawda, nie udało się – przytaknął smutno Jahwe. – Ponieśliśmy klęskę.

– Klęskę? Ja tak bym tego nie widział. Klęskę, to raczej ponieśli oni – ludzie. My, co najwyżej, pewną porażkę. Tylko nic nieznaczącą porażkę.

– Dla mnie to to samo. Przegrałem – skonstatował smutno Bóg Światła i Miłości.

– Noo, nie frasuj się tak, nie przystoi – uśmiechnął się zawadiacko Bóg Ciemnej Strony Życia. – Świat przecież nie zaczyna się, a tym bardziej nie kończy na tych niegodziwych ziemianach. Obaj dobrze wiemy, że sami uparcie dążyli do samozagłady. Nie mogłeś nic poradzić. To niezbyt rozsądny twór. Sam przyznasz, że rozumem, to oni jednak nie grzeszyli.

– To moja wina – powiedział Bóg Jasnej Strony Życia, jakby w ogóle nie słyszał słów Arymana.

– Przestań! Słuchać się tego nie chce – energicznie zaoponował Bóg Zła. – Byli głupi i tyle. Wszyscy, co do jednego! Niektórzy tylko mniej od innych. Więc przestań już bezmyślnie się obwiniać. Po prostu nie byli godni ciebie i twojej miłości. To wszystko.

– Ale – zaczął po chwili Jahwe – to jednak moje dzieci...

– Jedno! To znaczy, jeżeli chodzi o ścisłość, mniej więcej połowa – poprawił go Bóg Ciemnej Strony Życia. – Ona i jej córki były jednak moje, pamiętaj o tym.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się z nim Bóg Dobra i Miłości, po czym raptownie zamilkł. Po dłuższej jednak chwili, niczym rażony piorunem, odkrywczo rzucił: – Właśnie, to wszystko przez nią! To całe nieszczęście...

– O nie, mój kochany – przerwał mu ten nagły wybuch frustracji Aryman. – Co to to, to nie! Ja wiem – kobieta, którą stworzyłem, może nie była doskonała. Może nie była aż tak bystra, inteligentna, czy odważna jak mężczyzna, ale z całą pewnością była od niego dużo bardziej rozsądniejsza, a nawet zaradniejsza i pracowitsza. I, co bardzo istotne, była piękna! Tobie też się podobała, że ci przypomnę. Pamiętasz...

– To był podstęp. Jeden z tych twoich nikczemnych forteli, którym chciałeś mnie podejść!

– No dobrze, już dobrze, nie denerwuj się tak, mój Bożuniu kochany. Było – minęło, nie ma co tego roztrząsać. Zresztą, nie o to w tym wszystkim tutaj chodzi. W końcu to nie ona wywołała te wszystkie bezsensowne wojny, nie ona dokonała tych wszystkich mniej czy bardziej krwawych przewrotów, nie ona rządziła tym światem – męskim światem, że ci przypomnę.

– Wystarczy, że rządziła tym biednym Adamem – przerwał mu Jahwe. – Był od niej jakoś tak głupio uzależniony, aż nie można było na to patrzeć. To znaczy od ciebie był, boś ty ją stworzył, Siło Nieczyste!

– No, to już inna sprawa – z nieskrywanym zadowoleniem stwierdził Bóg Zła. – Całkiem inna działka, drogi kolego. Mogliśmy się wtedy zamienić pracami, jak pamiętasz. Nie musiałem akurat ja ją tworzyć.

– Zamienić? – powtórzył z niedowierzaniem Jahwe. Dobrze pamiętał, jak bardzo upierał się przy takim właśnie podziale pracy Aryman.

– Naturalnie – odparł Bóg Ciemnej Strony Życia. – Nie miałbym nic przeciwko temu. Zresztą, nie przejmuj się, następnym razem, za jakiś czas, naturalnie, tak właśnie zrobimy.

– Za jakiś czas...? – Jahwe wykrztusił z siebie zdeorientowany.

– Co, zaskoczyłem cię? Wiedziałem! – Zadowolenie Boga Zła sięgało zenitu. – Bo widzisz, pomyślałem sobie że, na razie naturalnie, dosyć życia na ziemi. Teraz cisza. Całkowita. Jak makiem zasiał, jak to mówili ludzie. Nic. Tylko pustka.

– Jak to, ziemia bez ludzi? – Bóg Dobra i Miłości był coraz bardziej zaniepokojony.

– A niby dlaczego nie? Przecież na wielu innych planetach też ich nie ma – odparł bezceremonialnie Aryman. – No, nie rób takiej zbolalej miny. Powiedziałem: to tylko na razie. Celem eksperymentu. Niech ziemia w końcu odpocznie od człowieka. Znadto jest umęczona. Należy jej się odpoczynek, nie uważasz?

– No może... Jednak... – Jahwe próbował jakoś temu niespodziewanemu planowi swojego rywala przeciwdziałać. Nie mógł jednak znaleźć żadnych sensownych argumentów. Po raz kolejny Bóg Ciemności zaskoczył go.

– Później stworzymy życie – podjął ponownie Aryman.
– Nie martw się, co nagle, to po diable! – Roześmiał się beztrąsko. – Minie jakiś czas, wtedy spróbujemy zrealizować jeszcze raz nasz eksperyment. Może wtedy się uda.

– I wtedy ja stworzę kobietę. – W głosie Jahwe pojawiła się nutka nadziei.

– Jeśli taka wola wszechświata, niechaj i tak będzie. Ty kobietę – dla odmiany. Zobaczymy, jak to będzie tym razem. Może lepiej. Może już nie będę mógł ich wodzić tak lekko na pokuszenie, a ty nie będziesz potrzebował zbawiać ich ode złego. Bo tak między tobą a mną, to nie miałem satysfakcji z tej swojej pracy. Wszystko było takie jakieś mało emocjonujące, do bólu przewidywalne. – Spojrzał na Jahwe demonicznym wzrokiem i uśmiechnął się.

– Tak, tak, to bardzo dobry pomysł – ochoczo podchwycił Bóg Dobra i Miłości. – Bardzo dobry!

– Chociaż osobiście wątpię, drogi kolego, w ich poprawę – powiedział Aryman, ale bardziej po to, żeby Jahwe nie czuł się zbyt pewnie w tej nowej sytuacji i że znowu poszedł mu na rękę. – No, ale mogę się przecież mylić. Już raz nas zawiedli, więc może być różnie.

Mimo że zwycięstwo było bliskie, Jahwe czuł ciągły niepokój.

– Wątpisz? – spytał. – Dlaczego?

– Bo nic tak na dobrą sprawę się nie zmieni, nadal będą tylko ludźmi. Małymi robaczkami narażonymi na moją ciągłą obecność. W nich samych!

– Mylisz się. Tym razem oprą się twojej przebiegłości. Zobaczysz! Zresztą, następnym razem będą mieli więcej ze mnie.

– Och, ty mój niepoprawny idealisto! Ale daj ci, żeby tak było. Sam wiesz, że ja osobiście życzę ci jak najlepiej. No, ale jakby na to nie spojrzeć, kuszenie w końcu to moja powinność! Więc sam rozumiesz, że nie mogę ot tak sobie oddać ci pola, bez jakiegokolwiek walki. Po prostu nie mogę pozwolić sobie na twoją przewagę. Tym bardziej w tej części wszechświata, gdzie coś jeszcze znaczę.

Jahwe nic nie odpowiedział. Doskonale jednak wiedział, o czym Aryman mówi: po prostu obaj stali na przeciwległych biegunach w swoich pragnieniach i dążeniach. Obaj funkcjonowali według diametralnie odmiennych planów.

– Zatem – podjął po mgnieniu czasu Bóg Ciemnej Strony Życia – uzgodniliśmy: na razie spokój, cisza. Żadnego sądu ostatecznego, żadnego piekielka, czyśćca, raj, czy czegoś w tym rodzaju, co ci śmieszni ludzie wymyślili dla swojego dobrego samopoczucia, tak?

Ponownie zaległa cisza. Lecz tym razem trwała dłużej. A jako że nigdzie im się nie spieszyło, więc mogli sobie na nią pozwolić. W końcu Bóg Dobra i Miłości niezwykle cicho, niemalże bezgłośnie, powiedział:

– Zgoda. Niech tak będzie, jak mówisz.

– Byłem pewien, że ostatecznie dojdziemy do porozumienia – nie krył zadowolenia Aryman. – Wiedziałem, że równy z ciebie kompan naszej doli. No, w takim razie

zmykam do siebie. Aha! Jeszcze jedno: nie umówiliśmy naszego następnego spotkania.

– Spotkania...? – powtórzył głucho Jahwe.

– No, żeby zaludnić ziemię. Chyba że nie chcesz...

– Ależ nie, chcę! Oczywiście że chcę.

– Więc... za jakiś czas, odpowiada ci? – zaproponował Aryman.

– Za jakiś czas – nie za długo? Może trochę wcześniej?

– Wykluczone! Wcześniej to za mało. Stanowczo. Przynajmniej za jakiś czas.

– Trochę szybciej – próbował wytargować Jahwe.

– Trochę szybciej mówisz – zastanowił się Szatan. – Dobrze, niech będzie trochę szybciej, żebyś nie myślał, że ze mnie to już taki do cna zły gość, z którym nic nie idzie załatwić. – Uśmiechnął się. – W tym samym miejscu, naturalnie?

– Tak, tutaj – zgodził się z nim Bóg Dobra i Miłości – To dobre miejsce.

– Świetnie! Zatem jesteśmy umówieni. Do zobaczyska, Jahu – rzucił na odchodne Aryman i już w następnej chwili zniknął jak kamień w wodzie. Jakby nigdy go tutaj nie było.

Bóg Jasnej Strony Życia został sam. Myślał o dopiero co minionej rozmowie i kontrakcie, jaki musiał w jej wyniku zawrzeć. Wiedział, że nic więcej nie mógł zrobić, ale to go jednak nie uspokajało. Żał mu było tych nieszczęsnych istot, które, co prawda, same się unicestwiły, jednak za które on czuł się odpowiedzialny. I był odpowiedzialny! Nie obawiał się do tego przyznać. Wiedział bowiem, że nie tylko on tutaj zawinił. Winy Arymana było również niemało w tym, że eksperyment się nie powiódł. Może nawet więcej niż jego! Tylko że

pomimo świadomości tego, wcale nie było mu, niestety, łżej. Czuł, że mogło się to skończyć zupełnie inaczej. Wystarczyło być jedynie odrobinę sprytniejszym od Boga Zła, a wtedy... No tak, tylko czy to było naprawdę możliwe? Przechytrzyć samego Arymana!? Nie, spryt, to jedyna rzecz, w której nie mógł się z nim mierzyć. Na tym polu ten czort przerastał go o głowę! Dlatego w sumie powinien być zadowolony – osiągnął w końcu tyle, ile w tej sytuacji, tak naprawdę, można było wytargować. Oczywiście, oznaczało to, że musi czekać aż trochę szybciej niebiańskiego czasu, aby ponownie spotkać się z Bogiem Zła i spróbować jeszcze raz stworzyć ludzką istotę, jednak w sumie było to w pewnym sensie również zwycięstwo. Przeznaczeniem bowiem, według jego strategicznych planów, było zapełnienie tej części wszechświata ludźmi po to, aby w przyszłości móc zawalczyć z Arymanem skuteczniej. Inne jego części były już zamieszkane i były zamieszkane przez istoty, które również on stworzył, ale już nie z Bogiem Ciemnej Strony Życia, a zupełnie z kimś innym – odmiennym i, co najważniejsze, dużo lepszym od Arymana. Dlatego też życie tam było o wiele spokojniejsze i zrozumiałe. Było godne jego – Jahwe, Boga Dobra i Miłości, współtwórcy wszechrzeczy! Tutaj, póki co, był zmuszony ten plan odłożyć na później. Na jakiś czas, a nawet trochę szybciej. Potem jego królestwo będzie również tutaj. Tak zaplanował, więc tak się stanie.

Nieodmiennie parę pytań na niedzielę

Pytanie podstawowe, z tych tzw. egzystencjalnych, brzmi: Jak to było z tym „naszym” Bogiem? Był ci On od początku, wraz z tzw. *Wielkim Wybuchem* o jakim mówi nauka, czy może przebywał w tym czasie w innym świecie? Pojawił się dopiero w momencie kształtowania się naszej matuszki Ziemi, kiedy nie nadawała się ona jeszcze do życia (choć wielu uważa, że było stanowczo inaczej, tzn. On istniał już wcześniej, tylko najwidoczniej bujał się na innej Pradze – tak przynajmniej podejrzewam), czy jednak dopiero spersonifikował się wraz z pojawieniem się pierwszych ludzi? A jeżeli tak, to czy zaistniał wówczas, gdy człowiek prowadził jeszcze nomadyczny styl życia, czy może jednak dopiero wtedy, gdy osiadł w jednym miejscu i zajął się uprawą ziemi, hodowlą zwierząt, a po jakimś czasie wykształcił pewien system wierzeń po to, żeby właśnie jemu składać należny hołd? No i, co *diabło* ważne, czy On od zawsze był sam, samiuteńki jak palec, czy jednak ktoś mu towarzyszył, tzn. inni bogowie, jacyś Jego braciszki i siostrzyczki, albowiem sam nie był jeszcze na tyle doskonały, żeby rozwiązać wszystkie nasze wątpliwości w zakresie postrzegania istoty życia? Słowem, kiedy tak naprawdę dotarliśmy do Niego, niejako „poznaliśmy” Go, hm?

Oczywiście pytań jest więcej, tylko czy postawienie ich tutaj coś zmieni? Prawdę mówiąc nic. Albo niewiele.

Jakkolwiek jednak będzie, myślę, że pewne jest jedno – powinno się je stawiać. Zawsze! Do końca dni naszych. Tutaj, czy gdziekolwiek indziej.

Napisałem kiedyś, że Bóg, jakkolwiek zresztą, tzn. główna postać jakiegokolwiek religii, to słówko-wytrych, taki kluczyk, którym można śmiało próbować otworzyć wszystkie drzwi do naszych wątpliwości. Szkoda tylko, że osobiście za cholerę nie mogę znaleźć jakiegokolwiek kluczyka do tego typu drzwi.

Ament.

07.02.2016 r.

Epilog

Niewykluczone, że historia człowieka następnym razem, jeżeli w ogóle będzie jakkolwiek następny raz, potoczy się właśnie w ten oto sposób, to znaczy, ściślej, nie potoczy się w ogóle.

Przekleństwo obiadu

Pojawili się tutaj nie wiedzieć jak i skąd, a także, gdzie i dlaczego? Nie wiedzieli, co to za miejsce, co mają w nim robić i w ogóle po co się w nim znaleźli. Nie znali go, jak i siebie zresztą również. Spotkali się po raz pierwszy dopiero właśnie tutaj – w tym dziwnym miejscu, które istniało jakby poza czasem i przestrzenią, a które było do tego stopnia doskonale piękne, że aż nieopisywalne i z niczym nieporównywalne. Ale nie tylko dlatego, że nie było ono z niczym porównywalne w ogóle – z czego zresztą nie zdawali sobie jeszcze jasno sprawy – lecz dlatego, że nie byli go w stanie z niczym konkretnym porównać: nie znali niczego i wszystko, co zobaczyli i zrobili, doświadczali po raz pierwszy. Było to dla nich nowością, dziewiczą krainą, w której przyszło im się uczyć życia – życia, które nie miało być li tylko czarujące i słodkie, tak jak całe to ich obecne otoczenie, o czym mieli się już wkrótce brutalnie przekonać.

Upłynęło trochę czasu od chwili ich pierwszego zetknięcia się tutaj ze sobą, podczas którego zdążyli się już jakby nieco oswoić i przyzwyczać do siebie, gdy on niespodziewanie uległ dziwnemu uczuciu, z którym, podobnie jak z wieloma innymi rzeczami i odczuciami, miał do czynienia po raz pierwszy: był głodny! Dlatego, nie znajdując w sobie żadnej odpowiedzi na ów stan, powiedział głośno:

– Dziwnie się czuję. Jakby... ssanie jakieś wewnątrz. O, tutaj – wskazał dłonią bliżej nieokreślone miejsce na brzuchu, po którym się pomasaował.

– Pewnie głodny jesteś – stwierdziła obojętnie ona. – Nic dziwnego, w końcu to pora obiadu.

– Głodny – powtórzył i popadł w zadumę. – A wiesz – zaczął po dłuższej chwili – że może być. Dziwne, że nie pomyślałem o tym od razu. – Umilkł, po czym zaraz dodał, ale bardziej do siebie niż do niej: – Obiad.

– Słucham?

– Wiesz, pomyślałem sobie, że właściwie, to mogłabyś coś zrobić do jedzenia.

– Ja? – Nie kryła zaskoczenia ona.

– Noo... – zaczął niepewnie, a jego zdziwienie wydawało się jeszcze większe od jej zaskoczenia. – Jestem głodny – ty nie?

– Nie! – odparła szorstko.

– O-m! – jęknął rozczarowany, po czym ponownie zapanowało milczenie. Nie trwało ono jednak zbyt długo – ponownie się odezwał: – Może się mylę, ale tak sobie myślę, że to właśnie ty powinnaś umieć coś zrobić do jedzenia – jesteś przecież kobietą...

– I co z tego?! – Nie kryła coraz większej irytacji.

– No wiesz, taka czynność to raczej niemęskie zajęcie. Poza tym, zdaje się, że ty umiesz...

– O, widzicie go! – odparła opryskliwie. – I co z tego że umiem?! Głupiej szukasz? Nie jestem taka pierwsza naiwna – nie dam się wykorzystywać! Zapamiętaj to sobie. Nie jestem twoją niewolnicą!

– Zwariowałaś?! – zirytował się po raz pierwszy On. – To sprawa głodu, nie jakiegoś tam niewolnictwa.

– Dobra – dobra, tak się tylko mówi – nie dawała z wygraną Ona. – Jak jesteś głodny, to sam sobie zrób papu – ucięła krótko i stanowczo.

– Ja? – Jego twarz wyrażała w tym momencie więcej niż zdziwienie: malowała się na niej teraz nieopisywalna wręcz bezradność.

– A kto, masz tu jeszcze kogoś? – zapytała ironicznie, bardziej jednak retorycznie, niż w oczekiwaniu na jakiegokolwiek odpowiedź.

To mu wystarczyło: umilkł. Nie dał jednak szybko za wygraną i po dłuższej chwili spróbował jeszcze raz przemówić do jej serca i rozsądku.

– Więc... nie zrobisz? – spytał, choć tak naprawdę bardzo dobrze znał odpowiedź.

– U-m, nie ma głupich! – odrzekła tonem wyższości; a po chwili dodała: – Zresztą, jesteś w końcu mężczyzną – tobie łatwiej coś zdobyć.

Tym mocnym i chyba słusznym stwierdzeniem zamknęła mu usta, kończąc dalszą dyskusję na ten temat. Zapewne nie wiedziała, jakie skutki to wywoła, niemniej chciała być – i była! – stanowcza. Nieważny był głód, który i jej w tym momencie powoli zaczął doskwierać – ważna była

zasada: nie dać sobą manipulować, nie być niczyją służącą. Lepiej już umrzeć, niż komukolwiek usługiwać, a tym bardziej takiemu komuś jak on!

Trwali więc w milczeniu i bezczynności do końca dnia. Potem nadszedł drugi, i jeszcze jeden, i następny, aż szóstego dnia, znajdując się w już zasadzie na skraju fizycznego wyczerpania, leżąc w bezruchu, nieprzytomnie wybełkotał:

– I... i nawet ja... jabłka nie podasz?

Chciała mu odpowiedzieć, ale nie miała już siły. Życie z niej uchodziło teraz w tempie poruszającego się bolida wyścigowego. W końcu zebrała resztkę sił i rzekła:

– Nawet... nawet gdy... gdybym bardzo chciała, to... to jest już... jest już...

Nie dokończyła – to były jej ostatnie słowa. Kilka chwili później odeszła na zawsze. Został sam. Ale jego samotność nie trwała zbyt długo: po niecałej godzinie również i on poszedł w jej ślady. Wszystko było skończone. Kolejny eksperyment pod nazwą – *Człowiek*, nie powiódł się. Zarówno on jak i ona nie podołali wyzwaniu. Zawiedli oboje. Dzisiaj pewne było jedno: tutaj – na ziemi nie istnieli! Jeżeli jednak istnieje gdzieś jakieś miejsce do którego trafia się po śmierci, to oni tam właśnie teraz w nim się znajdowali i zapewne ponownie byli razem. Może nawet dostaną jeszcze jedną szansę spróbowania wszystkiego po raz drugi, od początku – nie wiadomo. Wiadomo tylko, że jeżeli tak się stanie, to powieść im się może tylko pod jednym warunkiem: gdy nie będą głodni. Głód bowiem, to jednak stanowczo zły doradca.

Religijne zniewolenie

Przeglądając przedświąteczne gazety, trafiłem na tekst przedrukowany z ultrakatolickiej *Fronda.pl*, gdzie M. Muszyński, w kontrze do billboardów z tekstem: ***Nie zabijam, nie kradnę, nie wierzę***, wykoncypował taką oto odpowiedź: ***Nie zabijam, nie kradnę, nie myślę***. O ile do pierwszego hasła przyczepić się nie mogę pod względem logiki wypowiedzi, o tyle drugie hasło już taką nielogiczność posiada. Czytając bowiem ten tekst, nasuwa mi się od razu jego przeciwstawność, mianowicie: ***Myślę, więc zabijam, i kradnę!*** Konkluzja? Jedna, zasadnicza: zacierzowanie nie służy jasności myśli i jej pochodnej, czyli wypowiedzi. Druga, wynikająca niejako z tej pierwszej (podłoże religijne), mianowicie, że wszystkie religie świata od wieków robią nam wodę z mózgu. Nie mówię *wiara*, mówię – *religie!*

Czytam o kobiecie, dziennikarce w Sudanie, która została wybatożona za to, że założyła spodnie! Dlaczego? Bo dla tamtejszego boga to ujma i niespotykany wręcz dyshonor! Absurd? Idiotyzm? Wynaturzenie? Wszystko po kolei i wiele jeszcze innych rzeczy po drodze – po drodze do tamtejszego boga, naturalnie. Ale też coś głębszego: zniewolenie i totalny brak tolerancji! Nie tylko zresztą w odniesieniu do kobiet, ale w ogóle do innych religii czy wyznań.

Gdy czytam, oglądam, słyszę o takich rzeczach, to marzy mi się jedno: powrót do korzeni – do matriarchatu!

Kobiety bowiem, przy istnieniu oczywiście innych w nich wad niż w mężczyznach, to przede wszystkim brak bezwarunkowej agresji, która z kolei jest immanentną cechą tych ostatnich; to dużo większa tolerancja i otwartość na odmienność innych; to też dużo mniejsza chęć bratania się przy alkoholu i uleganie korupcyjnym wpływom; czy w ogóle mniej negatywnych uzależnień, niezwykle dotkliwie wykoślawiających nasze życie. Nie chcę przez to powiedzieć, że w przypadku kobiet nie ma ich w ogóle, bo oczywiście są. Ale jeżeli nawet, to ich ciężar gatunkowy ma inne przełożenie na mój byt, ponieważ są one o wiele mniej uciążliwe. Dlatego dzisiaj głośno krzyczę:

– Kobiety, do dzieła – matriarchat czeka!!

27.12.2012 r.

Ponowne zejście z drzewa

– Adam – niecierpliwiła się coraz bardziej Ewa. – Adam!

– Czego znowu?!

– Zejdź już. Wystarczy na dzisiaj.

– Jeszcze trochę – rzucił krótko i zaraz dodał: – Zagotowałaś wodę? Cholernie chce mi się pić.

Nie odpowiedziała. Jakby jej tutaj nie było.

– Ewa! Ogłuchłaś czy jak?! – warknął poirytowany.

– Jak masz chandrę, to idź się wyżyć gdzie indziej, a mnie daj święty spokój – odpłaciła mu tym samym tonem. A do siebie pod nosem dodała: – Pijus skończony.

– Słyszałem!

– I co z tego? A słysz sobie, kochany. Mogę ci też powiedzieć to głośno, bo to żadna tajemnica: pijus jesteś i tyle! Złazisz w końcu czy nie? – niecierpliwiła się coraz bardziej.

– Schodzę, już schodzę – próbował rozwiać nerwową atmosferę, jaka między nimi się pojawiła. – Lewą nogą dzisiaj wstałaś, że tak się wściekasz?

– Tyle razy już cię przecież prosiłam...

– A ty znowu swoje – przerwał jej on. – Zejdź lepiej z tej ambony, bo...

– Najpierw to ty zejść z tego drzewa, jak nie chcesz mnie doprowadzić do spazmów. – Jej zdenerwowanie sięgało zenitu.

Adam, widząc to, a ściślej słysząc, powiedział ugodowo:

– No a co ja robię? Przecież widzisz że schodzę.

Stała w rozkroku z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby chciała podkreślić to, kto tutaj rządzi. Mrużyła oczy przed ostrym słońcem, bacznie jednak obserwując Adama w jego wędrówce na dół. Pomyślała: „Ciekawa jestem, co byś zrobił, gdyby tak nagle gałąź pękła a ty zlecił niepyszny na dół, hm? Może wtedy przestałbyś wreszcie łązić po te swoje cholerne jabłka, co?” – powiedziała jednak:

– Zobaczysz, jeszcze się doigrasz. Mówię ci, kiedyś to się źle skończy. Czuję to w kościach!

– Nie zrzędź. Lepiej się pomódl, żeby Opatrzność miała mnie w swojej opiece, bo wtedy – przysiadł na najniższej gałęzi i spojrzał na nią – ty będziesz musiała je zrywać. Sama. – Zeskoczył na ziemię. – No, to drzewko mamy z głowy – powiedział zadowolony. – Trzeba przyznać – podrapał się po głowie – zabrało mi ono trochę czasu. – Omiótł wzrokiem okolicę i z nieskrywaną satysfakcją skonstatował: – Taa, jutro będzie koniec. Zostało jeszcze tylko to jedno, tam – wskazał niedbałym ruchem ręki rozłożystą jabłoń, której gałęzie aż ugięły się pod ciężarem złocisto-czerwonych owoców. Uśmiechnął się i dodał: – No, a teraz buziak i do domu!

Ewa bez słowa sprzeciwu pocałowała go, po czym Adam dźwignął kosz z jabłkami i zarzucił go sobie na lewy bark; ona objęła go wpół z drugiej strony i tak złączeni powędrowali przed siebie.

Słońce było wszędzie. Sprawiało wrażenie, jakby było zawieszane tuż nad ziemią, wypełniając każdy zakamarek udręką i znużeniem. Nawet w domu, do którego właśnie weszli, nie można było uciec przed jego żarem. Powietrze było ciężkie i gęste, jakby ziemia opuściła swoją orbitę

i nieubłaganie zbliżała się do centrum swojego świata po swoje przeznaczenie – absolutne wypalenie.

Ewa zrzuciła z siebie resztki ubrania, po czym weszła pod natrysk. On w tym czasie zszedł do piwnicy, gdzie było znacznie chłodniej i gdzie zostawił jabłka. Następnie wrócił na górę i usiadł przy stole. W międzyczasie Ewa wyszła z łazienki i zaczęła przygotowywać posiłek. Po chwili położyła przed nim półmisek, znad którego unosił się zapach bezlitośnie drażniący zmysł powonienia. Niewątpliwie była dobrą kucharką, a on lubił jej specjały. Przez wszystkie lata spędzone razem stała się jego panią, ale też i sługą w jednej osobie, i właściwie trudno było dzisiaj powiedzieć, kim bardziej. On z kolei był jej bezgranicznie wdzięczny i oddany, nie wyobrażając sobie jakiegokolwiek, nawet najmniejszej zmiany w tym ich harmonijnym współżyciu.

Jedli w milczeniu. Zawsze tak robili, żeby nie rozpraszać swojej uwagi i móc się delektować posiłkiem, w który Ewa wkładała całe swoje serce. Należał jej się za to szacunek i on go w ten sposób okazywał: jedzeniem właśnie w całkowitym milczeniu. Gdy kończyli posiłek, Ewa niespodziewanie powiedziała:

– Adaś, czy... – zawahała się, ale zaraz dokończyła – czy nie uważasz, że znamy się już na tyle długo, że... No wiesz, że... – Zwlekąca, nie znajdując odpowiednich słów na sformułowanie tego, co chciała wyrazić. – Że możemy już... zacząć... – Podniosła się z krzesła i powoli zaczęła zmierzać w jego kierunku.

Od razu zorientował się, o co chodzi, nieraz zaczynała w ten sam sposób: świetny obiad, czarujący uśmiech, a potem, gdy wydawało jej się, że Adam rozleniwiony tracił

jakąkolwiek czujność, dopadała go swoim: „A może byśmy...”
Teraz było podobnie.

– Czy ja wiem...? – Odparł niezdecydowanie. –
Wydaje mi się – sięgnął po jabłko leżące w wiklinowym
koszyku na stole, a następnie niespiesznie je ugryzł – że... że
jeszcze czas.

Przystanęła w pół drogi do niego. Jej oczy wyrażały
rozczarowanie. Lekko przygryzła wargę i rzuciła
rozgoryczona:

– Czas, ten twój cholerny czas! – Na moment zamilkła,
ale po krótkiej chwili kontynuowała dalej. – Zawsze tak
mówisz. Tylko że ten czas nie stoi w miejscu, niestety, i ja się
starzeję, jeżeli tego nie wiesz, czy też nie zauważyłeś. I nie
chcę już dłużej czekać i umrzeć nie doczekawszy... –
Ponownie nagle urwała; po chwili jednak, już znacznie
spokojniejsza, prosząco dodała: – Dlaczego nie możesz ze mną
tak, jak z tym jabłkiem...?

– Z jabłkiem? – Nie krył swojego zdziwienia Adam. –
A co, u licha, ma z tym wspólnego jabłko? Chyba za dużo
jednak przebywałaś dzisiaj na słońcu – próbował nadać
swojemu głosowi cechy beztroski. – Musisz, kochanie,
ograniczyć kąpiele słoneczne, bo mogą ci jeszcze bardziej
zaszkodzić. – Błysnął nieskazitelną bielą zębów.

– Mylisz się, to nie słońce – obruszyła się Ewa – to
dojrzałość. Kobieca dojrzałość! – W mgnieniu oka doskoczyła
do niego i schwyciła go za rękę. Następnie zaczęła nią wodzić
po całym swoim ciele. – O, tu! I tu, i tu – wszędzie! Jestem
kobietą! Zauważ to w końcu.

Wyrwał rękę z jej dłoni i wyraźnie zmieszany,
powiedział:

– No wiesz, zachowujesz się dzisiaj co najmniej jak...

– No, jak? Powiedz, jak ja się dzisiaj zachowuję, jakbym nie zachowywała się wcześniej. – Wyczekująco wpatrywała się w niego.

– Co najmniej dziwnie – spokojnie odparł Adam.

– Zawsze taki sam: zasadniczy i oschły – powiedziała z nieskrywanym wyrzutem Ewa. – Czy ty naprawdę nie widzisz, że ja się zmieniłam – jestem kobietą i potrzebuję czegoś więcej do szczęścia, do spełnienia?! Przecież... mógłbyś tak, jak to jabłko, mnie również... – Przeniosła spojrzenie w dół, na swoje drobne stopy.

– Co...? – Jego zdziwienie miało się w najlepsze i nie ustępowało na krok. – Ciebie, jak jabłko... Nie rozumiem...

– No, zerwać! – uśmiechnęła się przymilnie Ewa.

– „Zerwać”? – Jego zdziwienie sięgnęło szczytu. – Jak to „zerwać”?

– Och!, normalnie. Tak jak zrywasz jabłka a później je jesz, tak zrób też ze mną. – Przysiadła obok jego nóg. – Powiedziałam ci już: jestem dojrzałą kobietą i pragnę i oczekuję czegoś więcej od ciebie, od siebie i od życia w ogóle!

Nic nie odpowiedział. Delikatnie uniósł jej podbródek, po czym począł wpatrywać się w nią tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. W następnej chwili, gdy ich oczy spotkały się ze sobą, jego twarz owionął dobroduszny uśmiech. I już nic nie musieli mówić: ich wzrok mówił za nich. W ich spojrzeniach bowiem zawarte było bezsłowne porozumienie, zrozumienie czegoś, czego jeszcze nie znali, ale co kwitło szczęściem.

Wewnątrz panowała niczym niezmacona cisza i spokój.
Po chwili całe pomieszczenie wypełniło się ich szczęściem,
szczęściem i miłością, które zawarli w swoich czynach.

W imię Boga. Ponoć!

W zasadzie jest tak, że każdy człowiek, bez względu na swój poziom intelektualny, może powiedzieć na temat tego, którego nazywają Bogiem, największe głupstwo, jakąkolwiek kosmiczną nawet niedorzeczność, i nie tylko że nic mu za to nie grozi, to na dodatek może zostać jeszcze obwołany po jakimś czasie świętym! Podczas gdy tak naprawdę wszystkie te wątpliwe mądrości na ww. temat są z gatunku: w dupie był i gównu widział. A już totalnym nieporozumieniem wartym pokaznego śmiechu jest uznanie słów takiego kogoś za tzw. prawdę objawioną. Niestety, wiedząc, że i tak niczym nie ryzykuje, bezkarnie owe głupoty głosi wszem i wobec, robiąc wodę z mózgu nieoczytanym, słabym, pragnącym w obszarze transcendencji spokoju i pewności. W tym szaleństwie królują oczywiście kaznodzieje różnych religii i wyznań, którym świetnie dotrzymują kroku wszelkiej maści bigoci i faryzeusze.

Judeochrześcijanie mówią, bo tak zostało zapisane w Biblii i przekazane potomnym, więc między innymi nam: *Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną*; muzułmanie niezwykle podobnie formułują swoje wyznanie wiary, tzw. szahadę, która brzmi niemal identycznie: *Nie ma boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego prorokiem*. Oczywiście, w obu przypadkach wyznawcy mają niepodważalną rację. W końcu ów Bóg, to ich kumpel, z którym, jak to ostatnio powiedział jeden głupol w naszym

sejmie – mają swoje relacje. Naturalnie, świetne relacje! Gdzie nam, prostaczkom, do ich uprzywilejowanej pozycji?!

Jeżeli jest nawet jakiś tam Bóg, jeżeli różne ludy nadały mu odmienne nazwy (Żydzi mają swojego Jahwe, którego chrześcijanie przejęli z całym dobrodziejstwem inwentarza, muzułmanie Allacha, a inne kultury, tak przeszłe, które posiadały, jak i teraźniejsze, które posiadają swojego Stwórcę itd., itd.), to zniewalać innych właśnie w imię religii tego, którego chwałę wznosi się pod niebiosa – to oczywista paranoja; zadawać ból i cierpienie w imię tegoż – to czyste szaleństwo; nienawidzić i zabijać w imię jakiegokolwiek Boga – to więcej niż szaleństwo, to niewybaczalna wręcz zbrodnia wymierzona przeciwko ludzkości, czyli przeciwko Tobie! I Tobie! I jeszcze Tobie! Słowem przeciwko nam wszystkim! Taki jest efekt pojawienia się w naszym życiu tego jednego jedyne Boga, który oczywiście jest po wielokroć naj: Najpierwszy! Najlepszy!! Najdoskonalszy!!!

Tak się składa, że żyję w miarę długo, więc niejednego udało mi się już doświadczyć, niejedno zjawisko udało zaobserwować, niejedno w związku z tym przemyśleć. Dlatego niewykluczone, że jednak ci głęboko wierzący mają rację. W końcu nie od dzisiaj wiadomo, że siła tkwi w kupie! A te z kolei, jak wiadomo, wpieprzają miliardy much. Wynikać więc z tego może prosty wniosek, że miliardy much nie mogą się mylić. Więc może podobnie jest z ludźmi, hm?

Kilka dni temu zmarła Maria Czubaszek, która mówiła, że jest tak stara, że wisi jeszcze samemu Mojżeszowi pięć złotych! Które zresztą, tak na marginesie, oddała. Niestety, mimo podeszłego wieku nie było jej jednak dane ujrzeć

samego pana Boga, co, niewykluczone, mogło być powodem jej sceptycyzmu w tym obszarze naszego życia. Co innego z chłopakami i dziewczynami, którzy, jak uparcie twierdzą, mają z Nim swoje relacje. Zapewne dzięki specjalnym bezpośrednim łączom. Szczęściarze, cholera! Powiem krótko: Nie ma sprawiedliwości na tym padole niekończącego się cierpienia. Pozostaje mi więc jedynie powinszować wybrańcom takiego kumpla. I pozazdrościć, naturalnie. Wszechpotężny Guru – to jest dopiero natchnienie dla bogobojnego życia w prawdzie!

Przyznam, że ja w tym kontekście zastanawiam się od dawna między innymi nad jednym zagadnieniem: Jak to jest, że Marysia po urodzeniu Jezusa pozostała, jak stale powtarzają w kościołach: *Maryją zawsze dziewicą*? Jakby w ogóle Jezus nie miał żadnych braci ani siostr. No, chyba że i ich również miała przy czynnym współudziale tzw. Ducha Świętego. Wtedy tak, wtedy wszystko staje się diabło(!) jasne.

– Ciemność widzę, widzę ciemność!

Oczywiście ament. W październiku. I może jeszcze w moździerzcu.

– Ognia!

22.05.2016 r.

W poszukiwaniu

Było to dwanaście lat temu. Wysłaliśmy – my, to znaczy w szerszym znaczeniu ziemianie, a ściślej mówiąc Amerykanie, w przestrzeń międzyplanetarną statek kosmiczny Voyager. W tych dniach, to jest w sierpniu 1989 roku dotarł on do ostatniej już planety w naszej galaktyce – przynajmniej nam dotąd znanej – do Neptuna. Następnie przesłał nam stamtąd trochę zdjęć i poleciał w nieznaną sobie i nam przyszłość. Naturalnie jego zakres prac był znacznie szerszy, ale nie czas i miejsce na ich opisywanie. Chodzi o coś zupełnie innego, mianowicie – urzędnicy będą jeszcze na nim pracowały przez około dwadzieścia pięć lat. Ćwierć wieku, to szmat czasu – szczególnie dla człowieka. Dlatego mam nadzieję, że w tym okresie dotrze wreszcie, jeżeli już nie do samego Boga (może nawet Jego fotkę nam prześle?), to może chociaż do innej cywilizacji pozaziemskiej. A jeżeli i tak się nie stanie, to życzę mu, żeby nie zaznał spokoju i... i trafił do piekła, gdzie dokona swojego nędznego żywota w jego płomieniach (jeżeli jest tam faktycznie gorąco i, pod warunkiem, że ono w ogóle istnieje), podczas gdy my... Cóż, nam, jak zwykle, pozostanie nieodmiennie odwieczna wiara, nadzieja i niekończące się domysły. Kolejność zresztą tych terminów obojętna.

Amen.

Końcowa refleksja

Ponoć dobrzy ludzie idą do nieba. Ci, którzy nie byli dobrzy, byli np. zwykłymi lub też niezwykłymi kanalami, ale na łożu śmierci wypowiedali się i pogodzili z kimś o ksywie Bóg, też powinni się tam znaleźć, ponieważ o to zadbali już katolicy księża, rabini, albo imamowie – kumple owego Boga. Krótko mówiąc – bez względu na jakość naszego żywota wszyscy ludzie trafią do Raju, czy też, jak dla niektórych – *Ogrodu, gdzie w dole płyną strumyczki.*

Osobiście patrzę na to zdecydowanie inaczej: nie tyle czeka na nas niebo, ile bardziej kosmos. A znajdziemy się tam w momencie, gdy jakaś pieprzona zabłąkana w przestrzeni kosmicznej asteroida, czy też nie mniej ślepa kometa, przygrzeje bez żadnego zmiłuj w naszą ukochaną matkę Ziemię. Gdy ona tego nie zrobi, istnieje realna szansa, że sami to uczynimy, tzn. rozpieprzymy Ziemię w drobiazgi własnoręcznie! Albowiem w naszej naturze znajduje się głęboko zakodowany gen zniszczenia i samozagłady. Nie pokojowego współistnienia, ale właśnie totalnej zagłady!

Oczywiście nie wiem, jak ostatecznie nasz ogólnoludzki żywot się zakończy, być może nie będzie tak źle, jak napisałem wyżej. W końcu, jak mówią, cuda się zdarzają. Rzecz tylko w tym, że ja, póki co, do tej pory nie widziałem żadnego, natomiast cudaków głoszących buńczucznie owe

banialuki, muszę przyznać, widziałem już i widuję nadal od zadrżenia. Od zadrżenia ziemi, naturalnie!

Dlatego, w związku z powyższym, mam w zasadzie na koniec tylko jedno do zakomunikowania:

W trosce o zdrowie

Żeby sobie nie szkodzić,

Najlepiej się nie rodzić!

I to by było zasadzie na tyle. Reszta – w mogile.

Spis treści

<i>Przedmowa</i>	3
<i>O naiwności – nie tylko w niedzielę</i>	5
<i>Przymierze</i>	9
<i>Szatan, niczym Bóg – również dla naiwnych!</i>	15
<i>Grzech pierworodny(?)</i>	17
<i>Jeden Bóg, a religii zatrzęsienie!</i>	25
<i>Wygnanie z raju</i>	28
<i>Kiepskie nasze początki</i>	33
<i>Wszyscy splamieni, bo każdy uczynić to może</i>	36
<i>Słowo nie tylko na niedzielę</i>	42
<i>Nocna ekspiacja</i>	46
<i>My – z kosmosu</i>	49
<i>Mojżesz, czyli wyciągnięty z wody</i>	51
<i>Grzech pychy</i>	60
<i>Misja</i>	63
<i>Układ słoneczny – wszechświat – i my</i>	69
<i>Dwa ostatnie listy</i>	71
<i>Słów kilka o religijnej ściemie</i>	74
<i>Kołyska i krzyże</i>	77
<i>Duch Święty, czyli zapracowany gość</i>	81

<i>A to, to maska podła – i cała reszta też.....</i>	84
<i>Naprawdę niepodważalne dogmaty.....</i>	92
<i>Przeznaczenie?.....</i>	95
<i>25 grudnia – wielowiekowa błazenada religijna....</i>	104
<i>Współczesny Mesjasz.....</i>	106
<i>Kto ma oczy niechaj czyta!.....</i>	109
<i>Ostatnia wieczerza w lupanarze.....</i>	113
<i>Jak to odczytywać, czyli co miał na myśli J.Ch.?....</i>	119
<i>On i obrońcy Jego.....</i>	125
<i>Moje słówko do Mistrza.....</i>	131
<i>Odległy Bliski Wschód.....</i>	134
<i>Kolejne słówko na niedzielę</i>	138
<i>Bogobojne miasteczko.....</i>	142
<i>Krzyż – czym jest, a czym być powinien.....</i>	156
<i>Rozstanie z ludźmi.....</i>	160
<i>Nieodmiennie parę pytań na niedzielę.....</i>	167
<i>Epilog/ Przekleństwo obiadu.....</i>	169
<i>Religijne zniewolenie.....</i>	173
<i>Ponowne zejście z drzewa.....</i>	175
<i>W imię Boga. Ponoć!.....</i>	181
<i>W poszukiwaniu.....</i>	184
<i>Końcowa refleksja.....</i>	185